

PG
7158
L42
1876
v.2
1876
MAIN

Ms. Marcelli Slepicki

WYBÓR
P O E Z Y J

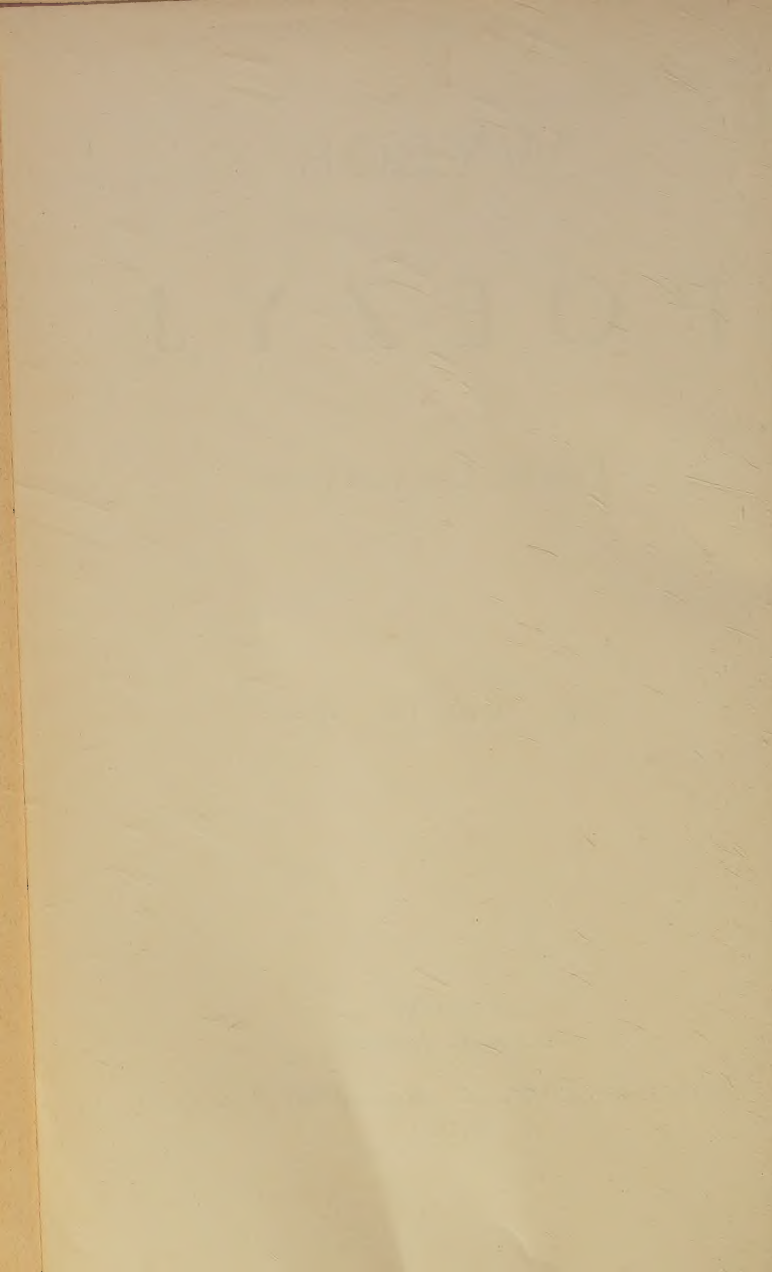
TEOFILA LENARTOWICZA.

Tom II.


KRAKÓW.

Nakładem Autora.

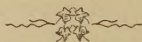
W drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.
1876.



WEZWANIE.

jczystej pieśni na ojców łanie
Tyś kiedyś szukał bracie Romanie ¹⁾,
A to ja dzisiaj kostur mój krzywy,
A duch strudzony burz długich wpływy,
Niosę na lasy ongi nam znane,
Lasy ojczyste, lasy kochane,
Poobalane, poopalane.
Słuchajże dumy ze serca głębi,
Co szuka żeru jak szpon jastrzębi
Małego ptaszka, zatapia, ściska,
Aż pisk wyciągnie, aż krew zatryska.
Siadźże ty ze mną zapadły ducha,
Zaryczec głosem przebrzmiałe dzieje,
Kraj na łańcuchu, pieśń na łańcuchu,
Z bojów i z wojów pustka się śmieje...
Wejrzyj pieśniarzu gwiazdzistej wieży,
Jaki lud płynie, jaki las leży;

Owoć i tobie kropla pio senki
Na te opadłe zamarłe szczęki.
Niechże się twoje czoło rozchmurzy,
Oto ci kołem bogi bywałe,
Nieuszkodzone, kamienne, całe,
Wynoszą głowy z pod piasków wzgórzy;
Gdzie krzak dziewanny z wydmy wyrasta,
I pérz pociąga ziemię jałową,
Z pyłu i pustek sławę ojcową
Przypomni tobie Chrobacka Własta.
A słońce białe i te miesiące
Może nad kmiecią lirą ubogą
Pokażą ranne świty wstające,
W których zaśpiewać będzie dla kogo,
I po burz tylu w ciszę się złożyć,
Na górze Jasnej, na górze Łysiej,
Pod te rodzinne dęby a cisy,
Żeby z starymi z bogami ożyć,
We dniu godowym gdy bratnie słowo
We starój pieśni uzna pieśń nową.



WANDA

HISTORYA O SMOKU.

Powieść wam niosę na tę noc szarą,
Powieść słyszaną od ojców starą.
Baśń moja wdzięczna do nóg się kłoni,
Wiejska prostaczka z wrzecionem w dłoni,
Ta moja szczerza mazurka złota,
Z wody a z wiatru cudów namota,
Co nieprawdziwe pięknie ułoży,
A im mniej prawdy, tém cięgnie sporzój.

Lecz bywa czasem bo i tak bywa,
Że gdy snuć pocznie dziwa na dziwa,
I silnéj głowie dumania zada,
Kiedy nad dziwy dziwy powiada;
A w kim do boju drży dusza młoda,
Temu i w rękę miecz silny poda,
Zdradliwa dziewczka, co ma dwa lica,
Jednym zakrwawia, drugim zachwyca...

Dawnymi czasy nad pustym jarem
 Gród się wynurzył dziwem a czarem.
 Dziady ciągnące gdzie boży Chram
 W noc księżycową zeszły się tam;
 Z Chrobacyi całej, z Polańskich niw,
 Nad Białą wodę spieszył kto żyw;
 Lira przez plecy a w ręku kij,
 A las poszumiał zielony stryj...
 Co ich pognało a Bógże powie,
 Rzecz wielka wschodzi nie w jednej głowie,
 Lecz gdy ma stać się, poruszy wielu,
 Upoi jakby napojem z chmielu.
 Daremnie badasz co i jak było?...
 Coś przystąpiło, coś przemówiło:
 Tyle ci tylko odrzekną prości:
 To cóż wam bracia po ciekawości?...

Ściągli, zasiedli kamienie płowe,
 Chmura się garnie na siwą głowę;
 Duma poważne czoło przysiada,
 A gdy się z dobrém sercem rozgada
 I miesiąc zajdzie w las kalinowy,
 A ta wciąż siwój czepia się głowy;
 I dawne dzieje mętne, splątane,
 Rybacką siecią wiesza nad duszą,
 Złote, srebrzyste, mgłami zawiane,
 Ojczyste dzieje serce poruszają;

I wraz się brzękiem odezwą struny,
 Od tego koła leśnych grzywaczy
 Naród posłucha co Bóg przeznaczy,
 Niechajże prawią luteń piastuny.

Noc, cisza senna i po cóż, po co
 Nad brzegiem Wisły zasiedli nocą?
 Ciekawa olcha drży niecierpliwa,
 Z wodą szepleni wierzba płaczliwa;
 Bożego wichru szumne prawice
 Na dęby lecą, na sosny świece;
 Gałąź sosnowa przy nogach pada,
 I siwa głowa najstarsza dziada
 Wnet się podniesie z wieszczój zadumy:
 „Coś tu się święci, coś tu się święci“,
 Zbrojne dalekie mącą się tłumy,
 A krzywda kwili w ludzkiej pamięci.
 Jakąż tu siłę stawić na wstręcie?
 Jakim tu wałem opasać kraj?
 Na dnia nowego, na rozpoczęcie,
 Dumo ojczyść słówkoż nam daj,
 Uderzmy w struny, w lasy, rozłogi,
 Niechaj pobudzą drzemiące bogi...

Zabrzmiały liry aż krucy z chmur
 Zakraczą dziadom w krzykliwy chór,
 Rozedrą gardła straszliwym krzykiem,
 Odezwą dziadom krwawym językiem:
 Wzgórze to skalne gdzie *was* tak *wielu*,
 Wnukowie mianem nazwą *Wawelu*,

A na wieszczb naszych wieczysty znak,
 Gród co tu stanie nazwie się *Krak*.
 A przy tym grodzie i po téj wodzie
 Flisak wypuści lipowe łodzie,
 Jako jelenie płowe po lesie,
 I żywność wszemu światu poniesie;
 I w tym tu grodzie i przy téj wodzie,
 Jak mąka gdy ją rozczynią młodzie,
 Świat się Chrobacki rozrośnie boży,
 Wiatrem się rzuci, skałą położy.

Więc kto piastuje lirę przestawną,
 W czym ta ręku wyrabia cuda,
 Niech ją na rolę pieśnią uprawną
 Rażno położy, a gród się uda.
 Wedle téj liry złożą się skały,
 Skała na skałę na ten gród biały:
 Gdzie ręka leży tam bramy staną,
 A zamek — kędy struny wiązano.

Zacichły głosy świat się spokoi,
 Każdy po lirze spogląda swojej,
 I tylko jeden wieszcz sławo-władcy
 Wybiegł na czoło białej gromady.
 I lirę wielką złoży na głazie,
 Niechże po Bogów zagra rozkazie.
 Opuścił dłonie — a ta jak żywa
 Tysiącem głosów wraz się rozgrywa.
 I lud ubogi z grodków na palach,
 Co jako ule bielą się pszczole,

Przy uroczyskach, jeziorach, żalach,
 Rody Jastrzębie, rody Sokole,
 Przyciąga, wabi, do pracy nęci;
 Rojem się złoty ludek zakręci,
 Gdy czarownicy, czarolirnicy,
 Porządek piękny we środku wiodą,
 I sznury ciągną jako miernicy,
 Foremnie łącząc kłodę ze kłodą.
 I tak gród — lira, cudo wszech lir,
 Złym na zagładę, dobrym na mir,
 Staje w pośrodku chrobackich łąnów,
 Chrobat Górali, Chrobat Polanów.

I budowali, tak Boże daj,
 Miasto potężne na lesi kraj,
 Długo tak, długo, krągłych sto lat;
 Aż z wszystkich jeden pozostał dziad,
 Co gdy do Bogów odejść już miał,
 Rycerzu Kraku robotę zdał;
 Na barki męża na boje, trudy,
 Wkładając klątwy czary i cudy.
 A gdy wygadał duszę swą całą,
 Grób mu otwarła ziemia pod skałą,
 I runął lirnik jak stary mur,
 Gdzie wieszczój braci czekał go chór,
 U stóp Wawelu w mogiłach sławnych,
 Z szeroką pieśnią o czasach dawnych.

Dawnymi laty kiedy z mokrzydeł
 Smok wodny ciężkich poruszył skrzydeł,

Dość było przyzwać starca znachora,
 Wieszcza o siwój wiszącej brodzie,
 Niech wezmie dudkę, wejrzy po wodzie,
 A wnet się z oną bestyą upora.
 Tylko głos puści, a klątwę włoży,
 Wnet mu się potwór u nóg położy.
 Lecz gdy ostatni z wieszczego rodu
 Ziemią się okrył pod ścianą grodu,
 Pod grodem Woja smok się nad smoki
 Wynurzył z wnętrza jamy głębokiej,
 Żelaznym grzbietem ścianę wyżłobił,
 We skale drogę do Wisły zrobił,
 Językiem, jakby sztabą stalową,
 Widny wylizał otwór nad głową,
 I dyszał w jamie, płetwy pod siebie,
 Czekając rychło stanie na niebie
 Dwunasty księżyc w pełni czerwonej,
 Wtedy na brzegi dziwo straszliwe
 Wlokło się strosząc sterczącą grzywę,
 I szczeć wiszącej brody złoconej,
 I wysuwając ócz dyamenty,
 I chwost żelazny w siedem kół gięty.
 A powiślańska dolina cała
 Milczeniem głuchła, bojaźnią drżała...

Ubogi naród przeciw potworze
 Krzykiem się bronił: gorze! hej gorze!
 Wreszcie po krzyku zdał się na wolę,
 I rok do roku srogiemu smoku,
 U Wisły brzegu, u wzgórza stoku,

Darmo biadając na swoją dolę,
 Co najpiękniejszą z chrobackich dziew
 Ofiarę ciągnął — swą własną krew...
 I rozłożyło prawo na lata
 Z Krakowa smoczą ofiarę krwawą,
 Dzisiaj ta chata, jutro ta chata,
 A każdy musi gdy stanie prawo.

Bohater grodu, rycerz doznany,
 Wychował dziewczę, cud niewidziany,
 Rosła mu w grodzie jak szczęście boże,
 Wieść o jój wdziękach przeszła za morze
 I poruszyła serca rycerzy,
 O! bo w te czasy kto dziś uwierzy
 Inaczéj biły serca pod stałą,
 Dziś się miłością dusze nie palą,
 I młódź się stała, ot taka młódź...
 Ani ją pieśnią ojczystą zbudź,
 Ani ją wzrokiem piękności wzrusz,
 Serca bez serca, dusze bez dusz.
 Lecz wtedy ręce do miecza drżały,
 Temu na Wawel ściągał świat cały,
 I każdy klął się, że smoka zsiecze,
 Siodłali konie, ostrzyli miecze,
 Wstrząsali kopie z hartownéj stali,
 I wyzywali — i upadali...

Na niefortunny nawdziana bój
 Bieli się w słońcu pocięta zbrój;

Bielą się w słońcu u wód wybrzeży
 Niepogrzebione kości rycerzy,
 Na które patrząc krakowskie dziewy
 Wpół ucinają poczęte śpiewy,
 Patrzą, wzdychają, schylają skronie —
 Któż się tu przyjdzie upomnieć o nie?

Na widok onych kości u wody
 Smutek nie schodził z lic wojewody;
 Jak rodzić przyszłość dziewy swój czuł,
 Próżno przemyślał, zamiary snuł,
 Zabrakło dawnych zaklęcia słów,
 I smok go budził ze złotych snów.
 Znał on te słowa, lecz tyle żył,
 Że je w starości z pamięci zbył.
 Zbyt długo oręż piastował w ręku,
 Słowa potracił w oręża szczękę;
 Znał tajemnicę żelaza samą;
 Lecz na rozwarte skrzele pod bramą,
 Co jak huk młotów u grodu skały
 Na ranne słońce się otwierały,
 I miecz i drzewce straciły władzę
 I powtarzały — nic nie poradzę.

Jednego ranku, przed wschodem słońca,
 Wpadła do zamku niedola drżąca,
 I szare płachty, włos rozczochrany
 Między świetlane rozniosła ściany,
 Bełkocąc słowa wargą pobladłą:
 — „Ostatnie twoje słońce zapadło,

Waży się wyrok dla ciebie młoda,
 Jutro cię rodzic smokowi poda;
 Nim w las się księżyc czerwony stoczy
 Zagasną twoje błękitne oczy“...
 A jak wróżyła tak wywróżyła,
 Panna się biała z ojcem żegnała,
 I raz mówiła i raz nuciła:
 — „Otóż ja zorzy się doczekała!
 Nie żal mi życia choć piękne życie,
 Gwiazda jutrenka, słońko o świcie,
 Nie żal mi życia choć piękne życie,
 Lecz mi żal ojca rycerza grodu:
 Kto mu do czaszy naleje miodu?
 Kto mu od boku oręż odpasze?
 Czoło obetrze, w dłoń poda czaszę?
 Kto piękny ogień w zimie nanieci?
 Kto mu ogarnie sierotki dzieci?
 Żal mi niebodze, żem nic nie znała,
 Żem co pięknego nie pokochała,
 I tylko znałam smutek od mała.
 We snach schodzili moi obrońce,
 Noc ich rodziła, morzyło słońce.
 Hej! dobre Bogi, Bogi łaskawe!
 Na co te nogi do skoków żwawe?
 Na co te oczy nieba ciekawe?
 Na co to serce kochania chciwe?
 Na co to życie, to nieszczęśliwe?
 Oto mnie młodą, mnie niedoroślą,
 Do jamy spieszne popycha wiosło“. —

Tak się żaliła nieszczęsna ona
 Na krwawą pastwę smoku niesiona,
 Aż głązy szare słysząc dziewoję
 Poczęły pękać na dwoje troje.
 Aż się Bóg jasny na niebie wzruszył,
 Powiał nadzieją i łzy osuszył,
 I złotym palcem na męża skinął,
 Skinął — i śliczny młodzian podpłynął.
 Pięknie się skłonił rycerskiej córce,
 Łódką zawinął po wód lazurze
 I kazał wracać do zamku łodzi:
 — Niech mi ta gwiazda z nieba nie schodzi.

Na jego łódce, przy jego sterze,
 Baranek leżał, zakłute zwierzę,
 Po śnieżnym runie słońko igrało
 I wietrzyk igrał z tą wełną białą.
 — Wracaj do ojca dziewczeczko, rzecze,
 Co nie zdołały kopje a miecze,
 To ten baranek martwy podoła...
 Przybiła łódka, prysnęły koła,
 I młodzian złożył smoku ofiarę,
 Co już na brzegi toczył się szare;
 Pewny, że panna biała tam leży,
 Smok nienasyte gardło rozszerzy
 I skłute zwierzę pochłonie chciwy.
 Aż tu po chwili złociste grzywy
 Wstrząsą się na nim jak las przed burzą,
 Aż się po chwili nogi przedłużą,

I stalne boki ogień prześwieci,
 Aż ci zeń płomień w górę wyleci,
 I jak żelazo w pośród płomieni
 Smok się rozpala, bieli, czerwieni,
 A gdy wciąż zaru wewnątrz przybywa,
 Rzeką żelaza w krąg się rozpływa,
 Z ziemią się mięsza, w wód nurtach syka,
 Kurczy się, zniża, płaszczy — i znika.
 I tak w ten dziejów naszych poranek,
 Ojczystą pannę zbawił baranek.

Ludzkie radości i któż wypowie,
 Takiego cudu nie ma we słowie!
 Na to być trzeba ptakiem w błękicie,
 Szczęście — to niebo, niebo — to życie.
 Tak z wielkiej burzy lunął dészcz mały,
 Starzy śpiewali, panny śpiewały,
 I świat się zrobił czysty jak wprzód;
 Młodzieniec pannie skłonił się młodej
 I poprowadził w dwór Wojewody.

A w dworze radość rzewna i szczerą,
 Usty się śmieje, łzami nabiera,
 Jako za Bogów potężnych sprawą
 Najżywsza radość spogląda łzawo,
 Największy smutek uśmiech okrasza,
 Taka tu częśćka na świecie nasza.

Starzec w radości zapomniiał słów,
 To się pogląda, to płacze znów,

I rzecz: woju przemyślny mój,
 Jakoż nagrodzę czyn piękny twój? —
 Ale nasz Krakus w dziewiczym wzroku
 Szczęścia swojego szukał wyroku.
 Niedługo czekał, dłoń śnieżną, białą,
 To cudo świata doń wyciągało,
 I szczęśny Krakus z dzieweczką oną,
 Jakoby liry strona ze stroną,
 Na grodzie został długi wiek cały,
 Szczęśliwe wiatry wciąż na nich wiały
 A gdy dobiegli setnych lat dwoje,
 W zmarłych odeszli ciche pokoje.

A z ich potomstwa rycerz wiekowy,
 Krakus jak ony, głowa nad głowy,
 Sprawiał tę ziemię i lud ochoczy,
 A miał też córę z boskimi oczy
 Co serca brała jedném spojrzeniem,
 Że kto ją ujrzał gorzał płomieniem,
 I w całym kraju, po świecie wszędy
 Wieść się rozniosła o wdziękach Wendy,
 Tak ją Flisaki wodne przewali,
 Że brała serca jak rybki z fali.

Wróciły czasy cudów na ziemi,
 Szczęście poczęło wiązać się z niemi
 I złote wianki niteczką wić,
 Bogdaj to, bogdaj szczęśliwie żyć.

Siedem lat dziewięć, pogoda trwała,
 Sama swoboda miód rozlewała,
 I przechylona nad ludzkie głowy
 Szeptala duszy wesołe słowy;
 Śmiech płochym skrzydłem po świecie latał,
 A w czyje ręce smutek kołatał,
 Wnet go życzliwe rycerzu bogi
 Goniły zgodnie jak psa za progi.
 A już o smoku nikt się nie badał,
 Nikt nie wspominał, nikt nie powiadał, —
 Tylko czasami przy węglach w zimie
 Wieść o nim rośla w wieśniaczym dymie,
 I małe dziatki i dziewic grono
 Zwracały w baja twarz zadziwioną.
 Kółka się białe zdzierzały w biegu,
 A kiedy wichry zawieją śniegu,
 W szerokiem polu huczały, wyły,
 Chata się trzęsła, dymy się wiły,
 Strach z niejednego wyglądał oka:
 Czy to nie skrzydło żelazne smoka?
 Czasami tylko śród gromów, burzy,
 Gdy piorun grzmotnie, dąb się zakurzy,
 Ubogie chłopie wsłuchane w gromy
 Słyszcy huk straszny, głos nieznajomy,
 Przelatujący w błyskawic krasie:
 — Czas mnie pochłonał, wróć po czasie!
 I znów mi ziemia ofiarę spłaci,
 Wróć ja, wróć w innéj postaci! —
 Ale te głosy przeczucia, twogi,
 Spokoju dobre głuszyły Bogi

Ptaków spiewaniem po mokrym lesie
 I biegiem wody co perły niesie
 I rzuca niemi rozrzutna pani
 Na płowe brzegi, brzegi kochane.
 O śliczne brzegi, kto wam przygani,
 Śpiewak wiślaną zbiera wciąż pianę,
 Krótkie uśmiechy dawniej swobody,
 Szczęścia nadzieje... perełki z wody.

Krakowski zamek z wieżycą w górze,
 We skałę wrosły wyzywał burzę,
 I z każdój burzy wynosił z sławą,
 Jak buhaj w polu skroń kędzierzawą,
 Rogami wieżyc czerniąc z daleka,
 I grożąc temu kto się zacieka.
 A piękna Wanda pod jego schroną
 Snuła swą młodość z kwiatów plecioną.



DZIEWOSŁĄB.

Na stroméj skale co grodu strzeże,
Nad wodą stoją dwie czarne wieże:
Na jednéj gołąb prostuje piórka,
Gołąbek biały jak biała chmurka;
Na drugiéj wieży, nad ściany mszyste,
Orzeł wyciąga skrzydła sążniste,
Z nogi na nogę stąpa ptak srogі,
Skrzydła pokryte, żelazne nogi,
Dziób zakrzywiony gniewliwie ściska,
Z pod czoła dziwne oko mu błyska.
Pod brwią orłową myśl siedzi krwawa,
Co dojrzy okiem, szponem dostawa.
Skowronek wiosnę zawieszcza młodą,
A ptaki z wieżyc rozmowę wiodą,
I biały gołąb orłowi rzecze:
— Czerwone słońce dogrzewa, piecze,

Żyto zakwita, wiatr gładzi zboże,
 Hej! łany, łany, zbożowe morze,
 Moje to lato doba miłosna,
 Gołębi żywot, spokojna wiosna.
 Za moim lotem, za mym przykładem,
 Chrobacki ludek zatańczy stadem,
 Hej! stado, stado, chrobackie stado,
 Cieszące się żywo, tańczujże rado.
 — A na to orzeł, do przyszłych prób
 O głąz prostując skrzywiony dziób,
 A oglądając szary swój pierz,
 Rzecze: gołębiu ciesz się tam, ciesz,
 Twoją pszenicę, dostałe żyta,
 Do ziemi wdepcą końskie kopyta.
 Zanim to zboże dojrzeje, wpierw
 Szerokiem polem padnie tu ścierw;
 Ogniem się zetlą ciche poddasza,
 Dla mnie tu żywot! moja tu pasza!
 Temu mnie trzeba do uczty onéj
 Nakować dzióba, naostrzeć szpony,
 I wyprostować skrzydeł zawiasy
 Na czarne skały, na głuche lasy.
 Z Świstem-Poświstem, z Lelem-Polelem
 Zakraczą orły krwawem weselem,
 Ziemia orlętom zastawi stół,
 Oj będęż krwawił szpony a kuł.

Tak ptaki gwarzą na wieżach grodu,
 A wietrzyk błogi ciągnie od wschodu,

I młoda wiosna dziewczą wieżę
 We mchy odziewa zielone, świeże,
 Ze szczelin, głązów, powoje zwiesza,
 Srebro a złoto łączy i miesza,
 I świat szczęśliwie dzień na dzień składa
 Na wianek życia, Bogom na chwałę,
 Zakwita świeży gdy zwiędły spada:
 Ostróżki, maki, powoje białe,
 A jeśli czasem przegrodzi ostem,
 Albo piołunu list puści płowy,
 Żal co po sercu przeciąga prostem
 Zaciera spokój bożek domowy.
 I łązy swój urok dla serca mają,
 Zamarzłe czucia we łzach zostają.
 I życie świeci pełne jak wprzód,
 Śmieją się Bogi, pracują ludy.

I Krakus rządzi lud po zakonie,
 W dobreż się naród powierzył dłonie.
 I Bóg téż ludziom rai niebieski,
 Jest miecz i przezmian, sądowa ława,
 I prawodatne złocą się deski
 Pod starym dębem, ochroną prawa.
 Tak rządzi Krakus jak zakon każe
 Władarz nad wszystkie kraju władarze.
 Broda mu chyba nie pójdzie dłużej,
 Trzy razy tyła jak samy duży,
 Więc mu za biały srebrny pas służy.
 Gdy ją rozpuści, kiedy rozwinie,
 Rzekłbyś: kraj siedzi a tu San płynie,

Wije się srebrny około nóg,
 Dunajec, Wisła i San i Bug.
 Na onój brodzie dla swój pamięci,
 Gdy ojciec Krakus węzeł zakręci
 To jakby całą spisał przygodę,
 Na ryby wspomnień węzły na wodę.
 Karb też lipowy nasza nie szczupły,
 A najszczęśliwszy, gdy w wianku dzieł
 Patrząc na one srebrzyste supły,
 Od latek dawnych lata do latek.
 A rumak myśli szybszy od czasu
 Zostawia miłość, leci na boje,
 Wynosi grody na zrębach lasu,
 I w skałach świeże otwiera źródło.

Ze statku pozna co człowiek może —
 W Krakusa szarych komorach siadło:
 Miecz z bratem szczytem, łuk przy toporze,
 Wębór na bronę, brona na radło.
 Na skroś otwarta ona komnata,
 Wróg czy druh jedno, chleb znajdzie, sól,
 Chlebem a solą chata bogata,
 Soli a chleba żyje w niej król.

Kto nie roboczy radła nie skradnie,
 A kto nie rybak wędek, więcierzy,
 Sycony plaster dla wszystkich leży;
 Temu się Krakus bezpieczny kładnie.

Jego bogactwo sławne uczynki —
 Niemi się dobre lico uśmiecha,
 Więc jeno widać dwie złote skrzynki:
 Piersi na serce, na zbroję strzecha.
 Drewniane bożki, bożki ciosane,
 Mieście wy nad nim baczność a stróżą,
 Niechże się wieczne oczy nie mrużą,
 Kiedyż was sprosił pod swoją ścianę.

Po dziennych łowach siadł Wojewoda,
 Przy boku panna stawa mu młoda.
 Nad jagodami dwa słońca świecą,
 Dwa wielkie oczy iskrzące żywo,
 Ale piękniejsze i większe dziwo
 Gdy z tego słońca źródło wód lecą.
 A jój jagody dwa krasne wzgórza,
 Na każdym kwitnie lilja a róża.
 Na wpół otwartych ustach czereśni
 Zasiadł czar lasów i urok pieśni,
 I rządkiem ząbków perłowych dzwoni,
 Jak lira kiedy uderzą po niej.
 I znów te lica, oczy i zęby,
 Skałą się robią mrocą a chmurzą,
 I piękne niebo robi się burzą,
 Choć łamać lasy, wrywać dęby.
 Co błysk to radość, co błysk to gromy,
 Tysiąc w niej uczuć gra na przemiany,
 A wszystkie palne jak suche słomy,
 Uczucia leki, uczucia rany.

Słońce w padołach schodzi za wieżą,
 Za głuchym siołem, za lasów kołem,
 A ta ze strzały igrze nad stołem
 Złote jak ptaki co się już pierzą
 I tylko onym spróbować lotu:
 To dębowego pociągnie łuka,
 To krzemiennemu przyjrzy się młotu,
 To na swe ramię tarczy poszuka.
 — Dziewko ty moja, nie tobie prawie
 Zazierać między łuki a zbroje,
 Sława niewieścia na chaty ławie
 Srebrzyste płótna rozciąga swoje.
 Lecz w tobie zamysł odmienny świta,
 Jeśli tak Bogi rządzą, niech będzie;
 Rumaka grzywy dziewa się chwyta,
 Nie ręka, głowa złotą nić przędzie,
 A bogdaj złotą bogdaj niekrwawą;
 Otby cię lepiej zwieńczyć przystało.
 — Hej! co mnie ojciec gonicie sławą,
 Tego mi wiele, tego mi mało.
 A kto mnie zwieńczyć pragnie za żonę
 Niechaj zagadkę życia odgada,
 Oto ja łuku naciągła stronę
 Nakaz łukowi niech odpowiada...
 A struna łuku, którą uplotła
 Ze złotych włosów swego warkocza,
 Szarpnięta warkiem takim zagrzmotła,
 Że zamek zadrżał i skała smocza,
 Aż topielice, boginki, wile,

Włos mokry wlokąc wyszły na chwilę,
I Flins Bóg, który rządzi oryle.

A stary Krakus sierdziste dziwo
Ręką zatoczy obłęcznie krzywo,
Kędy się przed nim prości dziewoja
I rzecze: pójdź sam Wando, krwi moja,
Niechże mnie Bogi strzegą życziwe,
Bym kiedy gasił ognie tak żywe.
Zanim wyrośnie mały ten Lech,
Ogniu niebieski strzeż mi tych strzech. —
Tak prawi ony, a w téjże porze
Ode zarzewia gdzie ogień gorze,
Kędy ognisko kupą popiołu
Poważne wielkie bieli się zdala,
Guślarz co suche chrusty podpala,
Wierny towarzysz boju i stołu,
Głucho wciąż gwarzy: „hej złe coś kowa,
Smoki na smoki i drugie smoki,
Połowa paszczy ponad obłoki,
Na ziemi leży druga połowa.
Ku nam pogląda, oczy z łba wiszą,
A ognie lecą, a boki dyszą.
Czy to na bydło co schodzi w doły,
I ciągnie wolno wiślaną wodę?
Czy na te reny, czy na bawoły
Co się na wody patrzą pogodę?
Leż ty mnie strzało! co ciebie budzi?“
Pies podniósł trąbę, na wiatr zaczuwa,

Składa, podnosi, łapy rozsuwa,
Warknie, przylegnie snem oczy ludzi.

— Cóż mu tam śni się? śnią ci na jawie,
Ku Wandzie Krakus rzeczce ponuro,
Jeśliż pomnisz o Burta strawie,
Jeśliż mu pokarm ponieśli córo?
— Dziwo to stare, Wanda odrzeka
Już trzecia gwiazda jak swoje szepcze,
Lice zapuści we skopek mleka,
A słowa dziwne pluska a chłepcze.
Więc się rycerski Krakus rozchmurzy
A płomień pęka, wciekają chłody,
Aż naraz trąbka brzęknie od wzgórzy,
Gwiazda na niebo, druh do gospody.

Zorzo zachodnia jakże na niebie
Świecisz się błogo złotemi blaski,
Gdzieś tam daleko patrzą się w ciebie
Wybiegłe sosny, gaiki, laski,
I wzrok nie jedno człeka a zwierza,
Leci tęskliwie na te wybrzeża;
I ptak co skrzydła na gniazdo niesie,
Pewnoż to zorza co zorzą zwie się?
Czy samo niebo za dobrym człekiem
Spogląda okiem tęsknem, dalekiem?

Na głosy trąbki głowa się Burta
Z popiołów strząśnie, legawy ruszy,
A tam już dziatwa wesoła kłuszy,

Gdzie skrzypi biała lipowa furta.
 Otwarli, patrzą, rycerz nieznany,
 We zbroi jaką noszą germany,
 Na ciężkim koniu błyszcząc od złota,
 Z harfiarzem, z giermkim o włosie lnianym,
 Wjeżdża powoli w szerokie wrota,
 W kraj przeciągnięty koszoném sianem.
 Płaszcz na rycerzu czerwony, długi,
 Świecą się guzy złotój kolczugi,
 We blasku zorzy wszystko się szkliwi,
 Aż się i miesiąc niebieski dziwi
 Co się podnosi licem rumianem,
 Nad chatą, w dołach i nad bocianem.
 Wjechał, do swoich nieznana mową
 Raz po raz krótkie przemówił słowo;
 Lecz co przemówił trudnoż tam z tem,
 Chłopiec trząsał włosów złocistych lnem,
 A stary brodą — tyleż i wiem.

Patrzy spokojny chrobacki dwór,
 Tam góry świecą, tu ćmi się bór;
 Krasne dziewice ciągną żórawia,
 Ta konia poi, ta wiadro stawia,
 Śpiewne jak ptaki, czyste jak woda,
 Jacy gospodni, taka gospoda.

Kędy stąpała rycerska noga
 Głos brzęczał „Witaj!” z każdego proga,
 I z każdój ławy i z każdój ściany.
 Alić obcemu głos był nieznany,

I do harfiarza prawił zdziwiony:
 Zaczarowaneż słychać tu strony?
 Lipowe ławy w świetlicy białej
 Wzdłuż się ciągnęły, po bokach stały,
 Ławy jak matki, stołki jak dzieci,
 A stół w pośrodku jak ojciec kmieci.

Krakus przysiadął rycerskie siodło,
 Nad nim skórzany szczyt, bojów godło,
 Od balek ujrzał niemiecki gość
 To wielkoludzią, to zwierzę kość,
 I wrzкомо lasów kościanych wzór,
 Rogów jelenich wiązał się bór;
 Okna w świetlicy téj wojewodziej
 Kościane, — nimi cichy sen wchodzi.

Skłonił się rycerz, a wódz mu wzajem
 Chleb i sól świętym poda zwyczajem:
 — Co bądź was w nasze przywiodło progi
 Jedno Chrobatom goście a Bogi.
 Witajcież miły knieziu zdaleka,
 Dach wchodzącemu Bogów opieka,
 Jaki bądź do nas prowadzi Bóg.
 Miodem nie wadzi napełnić róg.

Alić przybyły nie ściąga dłoni.
 Jeśliż mu zwyczaj zamorski broni
 Wychylć czarę, jeśli myśl druga?
 Milczenia chwila krótka a długa
 W Krakusa sercu budzi niewiarę,
 Złożył chleb biały, odsunął czarę,

Wyciągnął szyję, nasrożył brew,
A w ustach ważył dumę i gniew.

— Ha gdyć tak zda się to prędzój mów,
Jeśli złe wieści, dość krótkich słów.

— Wodzu chrobackich lesistych plemion,
Ta rosa biała u złotych strzemion
Z Hercyńskich leśnych zebrana kniei,
Rytygier pan mój, syn matki Frei,
Władca od białych do późnych zórz
Król spokrewniony z królami mórz,
Którego białe łabędzie nawy
Czekają w portach na krwawe spławy:
Rytygier książę, któremu w darze
Korony niosą świata mocarze,
Rusy, Awary, pewni że zyszcze
Kto się pod króla tarczę powierza,
Spojrzał na twoje leśne ludyszcze,
I oto śle mnie, swego rycerza.
Każda mu z dziewic Rusów, Awarów,
Kolana kornie obejmie dłonią,
Lecz on twój dziewy zapragnął czarów,
I na twój Wawel posyła po nią.

Wielkaż to dla was sława Chrobaty,
To niechże spiesznie kończą się swaty,
I dziewa wasza w pogodny czas
W nasz się Hercyński wybiera las,

Kędy król czarę słodkiego płynu,
 Wielkich rycerzy otoczon gronem,
 Spełnia potężny, nad złotym tronem,
 Nad złotym tronem czarę z bursztynu.

Potęga króla tam się rozciąga
 Kędy się zachód ze wschodem sprzęga,
 Gdzie północ drżemie w śniegów obszarze,
 Południe ludzkie poczernia twarze.
 Rytygier mocny pan wód i pól,
 Zwycięzca świata — niech żyje król!

Skończył, a na to z dumną swobodą
 Krakus za dziewczą zwróci się młodą,
 Spójrzy i w krótkim odeprze słowie:
 — Spytaj, ma rozum, niechżeć odpowie.

A wtedy Wanda, wsparta o łuk
 W téj białej szacie dłuższej do nóg,
 Co w ciągu pysznych niemieckich słów
 Kraśniała pełnią, bladła jak nów,
 I pod napiersia rybią oponą
 Powstrzymywała dyszące łono,
 Które jak wichher lecący w dal
 Wzruszała dumy i gniewu fal.

— Jeśli dziewice zamorskich krajów
 Łakome waszych bogactw i darów,
 Pocóżes zaszedł do naszych gajów?
 Czemuś nie szukał Rusów, Awarów?!

Tamby poselstwo króla przyjęto
 Z grzbietem do ziemi, głową odkrytą,
 Jako na Bogów potężnych święto
 Ognie palono i czołem bito,
 Świece niesiono, krzyczano hura!
 Lecz w naszej ziemi niedoczekanie,
 Sokół niemiecki traci tu pióra,
 Nie wam tu górnice latać germanie!
 Na pyszne słowo duma tu stara
 Słowem swobody leśnej odeprze:
 Ubóstwo nasze wolne nam lepsze,
 Do chaty prosim — do karku wara!

O waszych bojach kto nie powiada?
 Niemieckie hełmy z nad wód topieli
 Kiedy na brzegi statek wykłada
 Do ryb straszliwych podobne skrzeli:
 Na bujne pasze spokojnych stad,
 Śród cichych trwogę roznoszą chat.

I coraz szerzej krzyk się rozchodzi,
 O złotych zbójcach od złotej łodzi.

I jażbym miała, o miły Boże,
 Z wrogiem mych braci podzielać łoże!
 Przy blasku krwawym szerokich łąn
 Miałabym słuchać harf złotych strun,
 I w gromach, z więdźmy, po świata kres,
 Lecić gdzie królów prowadzi bies?

Nie wam, o Niemcy, łudzić nas słowy,
 Lżejsze niż słowa wasze okowy.
 Lepiej mnie, niżli przed złotem łożem
 Z pieniącą miodu rozsміać się czasą,
 Jelita rozpruć kamiennym nożem
 I tu pod ziemią zagrześć się naszą,
 Z dzikimi ludy, z wolnymi ludy
 Wichrami bogów ojczystych gnana.
 Wracaj rycerzu, próżne twe trudy:
 Nie ma tu żony dla twego pana.
 Powiedz, żeś zaszedł w tę leśną stronę
 Gdzie więdźmy ludu błotną pustkowią
 Chodzą a brodzą, a węże łowią,
 Najjadowitsze węże zielone ²⁾;
 Że w ich truciznie maczają strzałę,
 Żeby gdy ziemię najdzie morderca,
 Strzały trucizną przesiąkłe całe
 W okrutne rzucać niemieckie serca.
 Strzały nam gadać, młotów ołowiem...
 Słyszałeś wszystko: więcéj nie powiem. —
 Zmilkła — i ręka ku stronie wrot
 Skinie gdzie pyszny złocił się Got,
 A owy z prędkim słowem nie zwleka:
 — Nie takiéj wieści Rytygier czeka.
 Lecz ta czy druga, miła nam wieść,
 Jedno nam pokój czy wojnę nieść.
 A dla was, dzicy wodzowie hord,
 Oto ma tarcza, rycerski kord,
 A owo pancerz w żelazne pióry:
 Żelazny pancerz ze smoczéj skóry

Gdy walka będzie po kraju grzmiała,
 Nagie Chrobatów okryje ciąła.
 — Rycerzu — na to odpowie stary —
 Wstyd nam żelazem okrywać bary,
 Jak gdyby życia nie były godne
 Ziemia i nasze lasy swobodne.
 Komu za wolność żywota żal,
 Niech się jak Niemiec obleka w stal
 I na bezbronnych śmiało uderza:
 Chwała żelaza, hańba rycerza.
 Piersi nam starczą za stalne zbroje,
 Duch a odwaga: jeno to dwoje.
 Przysięgi Niemca słuchał Chrobata,
 Niemiec przysięgał na pokój świata,
 Niechże was własne klątwy ugodzą;
 Kto gwałci pokój wojny krwawemi
 Niech będzie z całej wypędzon ziemi:
 Gdzie trawa wstaje, zboża się rodzą,
 Gdzie człęk ognisko swoje zażega,
 Kędy niemowlę „ojcze“ szepleni,
 Gdzie słońce błyszczy, gdzie śnieg pobiega,
 Gdzie tarcza świeci, dąb się zieleni,
 Gdzie sokół w chmurne leci przestworze,
 Mgły na niebiosa, wody na morze.

Zabierz swą tarczę i długi miecz,
 I spiesźnie odchodź od miejsc tych precz!
 Pogróżki wasze tyle mi ważą
 Co psa skowyty około woza,
 Co żab krakanie gdy z błot wyłazą:

Tyle mi waży niemiecka groza.

Krew za krew Niemcy...

aż z kątów ścian

Lud co pługami przerzuca łąn,

O płowym włosie i rzadkiej brodzie,

Tak zawdy bliski wodza gospodzie,

Wpół dzikim śmiechem w progu zawtórzy,

Świstem przez zęby, początkiem burzy.

I piękny rycerz z spiewakiem społem

Odszedł, olbrzymów otoczony kołem,

Śród których Niemcy szły jak dwa karły,

I tak za nimi wrota się zwały.



WIECE.

Nim na granicach wojna zagorze,
Zapłoną wici w chrobackim borze,
Śród nocy głuchéj, w górę to w dół
Dym się po drzewach wkrąg będzie snuł,
Przez kłęby grube, konary ćmawe,
Ogień zaświeci by słońce krwawe;
Na trzask gałęzi, jastrzębi krzyk,
Czarny pod sosną budzi się dzik,
Staje, najeża żywiczną sierć;
Tam wilk zaczuwa walczących śmierć
I leci paszczę kładąc na wiatr;
Tam orły świszczą od śnieżnych Tatr,
A zadymioną śród nocy błoń
Wichrem przelata Tatosza koń.

Sosnowe czoła w powiciu z chmur
Płomieniem kraszą zamglony bór,

Na wojnę krwawą płoną w krąg wici...
 Hej wy Lutycy! hej Obotryci!
 Wilcy w puszczone zapadli dzicze,
 Nury, Drewlanie i Radymicze!
 Dalej za wicią na wodza gród,
 Ci gór grzbietami, ci brzegiem wód.
 Lecą mężowie, za nimi w ślad
 Lud się wynurza z zacisznych chat.

Chrobacki topor, żelazny grot,
 Sorabów sierpy, krzemienny młot,
 Owdzie pod mgliste zaciągi nieb
 Radymiczanów wije się cep.
 Wilcy na karkach z skóry wilczemi
 Na smigłych koniach pędzą przy ziemi;
 Kły, uszy, skóry, wilcza postawa
 I trucht szalone stado udawa.
 Mężę skór wilczych, kosmatych usz,
 Lecą wierzchami zamglonych wzgórz.
 Tam zastęp tętni Chrobackiej kmieci, —
 Odzież ich zbroi z rogowej sieci,
 Oklep na koniu jako wiewiórka,
 Na głowie jeno płaska misiurka, —
 Wzniesiony dzierżąc żelazny glew,
 Skacze po wzgórzach jak Bogów gniew.
 Nad nimi Radgość i inne Bogi
 Lesiste błędne wskazują drogi;
 Szum, wrzask w powietrzu, społem z wojaki
 Na ścierw łakome ruszyły ptaki,

A widno spieszno do boju im,
Kraczą a wietrzą wiciany dym.

Za nimi z cichych nadrzecznych siół
Pieśni się żałą jak brzęki pszczoł;
Tam ojciec Radym, stuletni dziad,
Opiekę trzyma nad setką chat,
Nad dziećmi wojów, nad niewiast tłumem,
Przód dzierży wiekiem i swym rozumem;
Kręcą się kółka srebrzystej przędzy,
A dusza rada skoczyć co prędzój,
Kręcą się kółka lecz rwie się nić,
Żonie bez męża ciężko bo żyć.
Żonie bez męża, siostrze bez brata,
Za miłym sercem jaskółką lata.
Spojrzały na się siostry od kółek,
Zaświegotały krzykiem jaskółek,
I od rodzinnych zielonych siół,
Od orzechowych przęślic i kół,
Wybiegły siostry, kochanki, družki;
Znane im w kniejach drogi a dróżki.
Lecą dziewice z ptasim świegotem
To cieniem gajów, to słońcem złotem;
A gdy im gęsty przekazi las,
Przemkną leciuchno jak mgłany pas;
A gdy im w drodze rzeka przegrodzi,
Wpław jak cyranki przemkną bez łodzi,
Tylko bieluchne wyniosą ręce,
Tylko różane odrzucą wieńce,

Wodnicom z czoła odmiotą kwiat :
 Nie dla nich urok dziewiczych lat ;
 Zagrały serca na inną nutę ,
 Spalone chaty , wesele strute ,
 Dalej wodnice , boginki hej !
 Wodo rodzinna fale swe lej .
 Przypatrz się słońce krasie tych dziew ,
 Jasnym jak zorze , szybkim jak wiew ,
 Za ludem one na Kraka gród ,
 Boginki leśne lecą na wschód .
 To nad wełnisty szumiący San
 Czyste wodnice na wietrzny tan ,
 Przy brzęku złotych pszczołek i much
 Lekie ich szaty lecą jak puch .

Znikły , za nimi z pod starca straży
 Któż się w las boży zwrócić odważy ?

Działki pod drzewy w szczęśnych gromadach
 Siedzą spokojne w jabłecznych sadach ;
 Nie tak spokojne jak znać z pozoru :
 Orłęce oczy lecą ku boru ,
 Zgorzałe lica , w półnagie ciała
 Czyby zimnica sroga zawiała ,
 Że tak zadrgnęły ? rozległ się krzyk ,
 I w cieniach lasu tłum dzieci znikł .

Za dziećmi matki , u chaty bram
 Stuletni Radym pozostał sam .

Wyszedł, powieki podniósł na sioło —
 Z martwotą cisza rozmawia w koło,
 Żadna się dusza nie pozostała,
 Ścięty się zęby, drży głowa biała.
 Spojrzał na chaty, na leśny świat:
 Tu mu ubiegło krągłych sto lat,
 Tu widział lud swój, pocziwe plemię,
 Pługiem tę czarną przewracał ziemię,
 Dziś go świat cały pożegnał wraz,
 I starzec głowę obrócił w las,
 I zdał się czekać, stał długo, stał
 Jak jedna z siwych karpackich skał,
 I w chatę powlókł kroki nie spore,
 Wnurzył się w chatę jak borsuk w norę;
 A z chwilą niosąc krzemienny młot,
 Stuletni Radym ruszył do wrot,
 I jakby zamiar w sercu się chwiał,
 Patrząc na chatę łez deszczem siał.
 Trząsał się jak wiatrem wzruszone zboże
 Co gnie się, pada a iść nie może.
 Znać przyrósł starzec duszą do chat,
 Kędy mu zbiegło krągłych sto lat.
 I nagle młotem uderzył w stal:
 Chato Radyma teraz się pal...
 Niechaj starego nic tu nie wiąże,
 Za wami dziatki w lasy podążę. —
 I dziad ku boru w drogę się miał,
 Szedł, drżał, a klątwy straszliwe piał,
 Kłął, wrogie Niemcy przeklinał w pień,
 Na dym spoglądał, chwiał się jak cień,

A wściekłą, dziką chęć zemsty w nim
 Od chaty gęsty podzegał dym.
 Porwał się, zatrząsł, krwi wrogów rad,
 Rzucił się naprzód, jęknął i padł.
 Myśl rozognioną i ciała ruch
 Na boje wolny wyprzedził duch,
 Wyrwał się — ciała zostawił pruchno,
 I ptakiem wzleciał, gdzie lasy głuchną.
 Skrzydła sokole poczuł u bark,
 Szum ciemnych lasów i wichrów wark,
 Nad czołem poznał nie włosy, pierz,
 Wzrok bystry powiódł na wzdłuż i szerz,
 Miasto nóg ostrze rogowych szpon,
 I dzióbem krzyknął wrogom na zgon,
 I stary Radym, gdzie jego ród,
 Zatoczył siwym skrzydłem na wschód.

Do grodu wodza na krwawe wici
 Spieszą Lutyci i Obotryci,
 Lecz pierwsi Wilcy skały dobiegną,
 Szeroką ławą w okół zalegną,
 I po chrobackiej w oddal dzielnicy
 Zawyją głosem krwawej wilczycy.
 Za wodzem woje, by wilków stada
 Na przemian w dziki chór odpowiada.
 Gdy Wilcy scichli przy skalnej ścianie
 Zaszumią sosen szumem Drewłanie,
 Zahuczą głosy rogowych surm,
 Jako północny po lasach szturm,

Zda się, że lasów przestrzeń cienista
 Pada w objęciach Boga Pochwista.
 Po nich na góry, na lasów dzicze,
 Lutycy hukną i Radymicze,
 I lud u grodu, u czarnych skał,
 Na wodza woła: „Czemuś nas zwał?”

Więc na Wawelu w zorzy jasności
 Starcowie staną srebrnej białości.
 Dwunastu starców bieluchnych bród,
 Z ziemi powstało na szary wschód.
 Jutrzenka skryta w chmur ciężkĩ szmat,
 W dymach lesisty przegląda świat,
 Na skraju ziemi czerwone blaski,
 Na skałe starcy wsparci o laski,
 I lud, gdzie Wawel fal rzeczna myje,
 Wilczymi głosy huczy i wyje.

Starcowie grodu, ponure dziwy,
 W górę poderwą kij długi, krzywy,
 Zatrząsą dłońmi, cisza się stanie,
 Zgłuchną, przypadną Wilcy, Drewlanie.
 Na wiece, ludy, wszystkim czas będzie,
 Po co się badać, na co orędzie?
 I wnet paroby szerokich plec
 We dzwon żelazny grzmotną na wiec.

Siłaż to siła, choć rozbij mur,
 Zajękła woda i gród i bór,

Leją się fale rykiem gardzieli,
 Zcichli Drewlanie, Wilcy zmilknęli.
 O Karpat jeno oparty złom
 Przeciągłym gromem warczy Bóg Grom,
 I usta śmiechem błyskawic krasi,
 I oczu iskry we Wiśle gasi.

I owo bracia jakoż wam rzec:
 Piękny był, piękny chrobacki wiec!
 Krakus najwyższy gdy zajął głaz
 Trzykroć się brodą okręcił w pas,
 Włos mu od innych spadał obficie,
 Który obwiązał sznur srebrnej nici,
 Dębowy wieniec po nici wkół
 Po tym się czole stuletnim snuł;
 Od bark mu biała spadała szata,
 Jak chmura biała, co wiatr przelata,
 Srebrzyste strzępy od niej wisiały,
 Jak od okapów w zimie lód biały.
 Stopy we skórniach z lipowych łyków,
 Ręka oparta na mieczu prawa,
 W chrobackim wiecu zasiadł wśród krzyków,
 Nieustający wznoszonych: sława!

A kiedy każdy z dowódców rodów
 Zasiadł po prawie głaz nieciosany,
 Dziewica grodu wśród wojewodów
 Pochyli białe plecy poszany,

I z niewiast śnieżnym stanie orszakiem
 Przy głazie ojca tak, że dotyka
 Jego sandału, jego rzemyka,
 Jakoby onym stanęła ptakiem,
 Co u nóg Jessa we słońcu pływa,
 Gdy grom pogrzmiewa i pobłyskiwa.

Z za chmur przecierać począł się świat,
 Gdy Krakus siwy dźwignął się, wstał,
 Ciężki jak gdyby ciężkich sto lat,
 I cięższych z głazu wstało sto chwał...
 Wyciągnął rękę i cisza głucha
 Ze serca dusza wchodzi do ucha.

„Na ważne rady przyzwałem woje,
 Moje to sprawy, własne to moje,
 Więc naprzód zważcie klnę was na Bogi,
 Na dobro waszych rodów i wasze,
 Bo nie czas biadać, gdy zlecą wrogi
 I ogień z gniazda wypędzi ptasze.
 Lepiej zawczasu rozwagą starą
 Wymierzyć przepaść nim się w nią kiną,
 Mężę niech mierzą rozumu miarą —
 Prędkim się łącno nogi powiną.
 Naród przed człękiem, człek za narodem,
 Takiemu prawu łożyłem życie,
 Wodzowie bracia! wy mi świadczycie,
 Żem w bitwach jeno wybiegał przodem,
 Anim też prosił niech mi kto zawda
 Dźwigać gdy było dźwignąć ciężaru,

Czym wyrzekł prawdę?“

Śród wieca gwaru

Stare Chrobaty zawrzały: „prawda!!“

„A teraz rzeczy mojej przedmiotem

Téj mojej dziewczki bezwinnéj sprawa,

Temu tu ona we wiecu stawą,

Wejrzyjcież na nią i sądźcie o tém.

Rytygier książę wysoko, dumnie,

Jakby z rozkazem przysłał rycerze,

Lecz téj nie gadać o Rytygierze,

A téż i serce jeszcze jest u mnie.

Wymawia krzywda, rozwagi brak,

Więcem odprawił posta — ot tak!“

Zamachnął dłonią, ścisnął, otworzył,

I jednym ruchem sprawę wyłożył.

„Ale co zatém, wam to nie skryta

Niemcy .u ściągną obławą wilczą,

Już ja ich koni słyszę kopyta,

Milczące lasy dla mnie nie milczą,

Wiem ja na dobę, gdy słuch nastawię,

Jak głosy idą po leśnej trawie.

Jeśliż dla waszych siedzib spokoju

Rozumnie chcecie uniknąć boju,

I złe odprawić obiata lekką;

Jeśli wam wojna strachem a grozą,

Niechże to dziecie Niemcom powiozą

Albo za włosy chwycą i wleką ---

Samo nie pójdzie po dobrej woli,

Rodzic ofiarę oddać gotowy,

Niech serce milczy, choć serce boli,
Kiedy o ludu rzecz idzie głowy.

Ale wodzowie w takowym razie
Inny na moim zasiędzie głazie;
Inny zasiędzie Krakusa stół,
Wnętrznosci ojca dla niej nie zmienię,
Ani jęj rzucę jak podłe szczenię,
Pociągnę cierpieć z niebogą współ.
Niemiec te stare oczy wybierze;
Niechaj wybiera, niech się krwią syci,
Byle spokojni, byle pokryci,
Odpoczywali nasi rycerze“.
Zamilkł i miecza żelazną głównię
Już jeno widać nad wojów głowy,
I téj dziewicy wianek liliowy
Poglądającéj tak niewymownie;
Za mieczem schylon zwyczajem kmiecem,
Zda się jakoby zniknął przed wiecem.

Szlachetne serce wolności uczy,
Porwał się Lesław władzca z nad Zbruczy,
On to, w którego grodku Swiatowie
Nad uroczyska wzgórki zbożone,
Swiatowid stoi — to czterogłowie
Od wszystkich ludów chrobackich czczone,
Któremu ognie po rzece świecą,
A rodzic woja samy jest żreca.
Chciał wyrzec słowo, brakło mu słów,
I krzyknął tylko nad światem głów

Tak przeraźliwie, że starce w mig
 Poznali, co miał znaczyć ten krzyk.
 Oczy mu zaszła gniewliwa krew,
 Dzięczą szczecinną stanęła brew,
 Zdało się w wiecu gniewny Bóg wstał,
 Język mu jeszcze od krzyku drżał
 Jak łuku Boga złota cięciwa,
 Kiedy się od niej piorun odrywa.
 K'niemu tąż myślą okiem zamruga
 Mrugacz Jarosław, władca z nad Buga,
 Mąż niecierpliwy, trudny do zgody,
 Lecz i potężny nad wojewody,
 Obszarem ziemi i ludem bitnym,
 A więcój jeszcze umem podchwytnym.
 Oczy na słońce czułe, puhacze,
 To je wciąż mruży, to nimi skacze,
 Dobrze ci ojczy, gdy w to graj mruga,
 Mrugacz Jarosław władca z nad Buga.
 Lesław niedarmo puścił wrzask dziwy,
 Przemko niedarmo swój szuka grzywy,
 Poszycie boże targa a skręca,
 Jak leśne sosny, jesienne tucze,
 Jak jego brzegi wezbrana Drwęca,
 Co złote łąki Przemkowe płucze.
 Spytek z nad Sanu szeroko-plecy,
 Co słów połowy nie dopowiada,
 Przez rozum ludzki, przez rozum kmieczy,
 Co niepospieszny gada a bada,
 Słowo po słowie z palcem na wąsie,
 Gdy prawi słowa jakoby śnią się.

Ale gdy głosu z duszy zażyje,
 Zda się, że z puszczy sam Pochwist bije.
 Ruszył się Spytko z swojego głązka
 Niechętnie wargę w wargę zaplaska,
 „Wielmożo ludu ja się opowiem:
 Górze, kto chadza za własnem zdrowiem,
 My tu nie przyszli kosztować snów,
 Przyszli my wrogich poszukać głów,
 Na to ja zdrowie przyniósł i miecz“...
 Rozumna była Spytkowa rzecz,
 I ludzkie serca łącno wzruszyła,
 Spytkowa była rzecz Bogom miła.

Zbyszek z nad Nidy, co węzem leci,
 Pełka z nad modréj łowca Noteci,
 I drugich dwojgo głowa na głowę
 Wpółturywaną zwarli rozmowę.
 Tylko tam brody trzęsły się cztery,
 I cztery szczyty skórzane grały,
 Jakoby ptaki nie bohaterzy
 Olbrzymie szare skrzydła wznaszały.
 Derśław z nad Białki zwany téż Lis,
 Niewielki zda się, w kamień się wciśł,
 I bystre oczy i żółte brwi,
 W których zmysł lisi igra i skrzy,
 Puścił przed siebie uważny taki,
 Jak lis szeroką, gdy zwinie kitą,
 I na zwierzynę, na niedobitą,
 Niezaprawione puszcza lisiaki.

Mieszek z nad Łaby głuchym pomrukiem,
 Niehamowane rozpuścił miechy,
 I stał szumiący z olbrzymim łukiem,
 Jak sosna, co się zwiesza nad strzechy,
 I suchą gałąź przytułek wroni
 Pod wiechą czoła nad siołem kłoni.
 Sieciech wojwoda z nad białej wody;
 Z nad Odry Lubor rzucił się młody. —
 Lubor z Witezi najmłodszy wiekiem,
 Od pierwszej chwili w Wandę wpatrzony,
 W jej cudne lica jako krew z mlekiem,
 Po szyi złoty włos rozrzucony,
 Dziki, szalony, gdy boskie wzroki
 Łza opłynęła do koła słona,
 Orzeł tarzańskiej górnej opoki
 Ha! jeden tylko krzyk wydał z łona,
 I miecz wywinął z takim zamachem
 Rycerskie ono żelazo lśniące,
 Że kręgów miecza okrył ich dachem,
 I w wiecu stalne zapalił słońce.

Ku temu słońcu jak rzek łoziny
 Wznoszą się kopije leśnej drużyny,
 Jak jednej matki rodzone syny,
 W jednym spojrzeniu duchem się schodzą,
 Wspólném ramieniem w jeden cel godzą.
 Drżą blade wargi, oczy z pod czoła
 W bojowe straszne szerzą się koła,
 Pałają wzroki, a wzgardy ślina
 Z pod kłów na usta schodzić poczyna.
 Olbrzymie stopy w ziemię się wgniotły,

Mężkie się piersi naprzód pomiotły,
 I tak ruszyli w ścieśniony zbór,
 Przed wodzem stając jak cyple gór;
 Jak las jodłowy sterczą ich dzidy,
 Lasy ich dzidy, piersi Bieskidy.
 Słuch nieprzywykły ciężkień obrazie,
 Słowo niezbożne — rdza na żelazie.
 A toż nas na to matki rodziły,
 Żeby nam krewne nie było krewne?
 „A toż nas na to pola karmiły,
 Byśmy leżeli jak trzody chlewne?
 I zwierz za zwierza krzywdę się ruszy,
 A kiedy jedno wilki obskoczą,
 Rzucą się drugie, obedrą uszy,
 I wilczym ścierwem ziemię sposoczą.
 A czy my gorsi jak trzoda z chlewa?
 Czy my niegodni ludzkiego słowa?
 Nasza to dziewa! chrobacka dziewa!
 Ojczulu u nas miecze, nie mowa.
 Więc na tę rękę klnę się roboczą,
 Na pług rodzinny i na miecz kary,
 Że mnie robacy pierwszej roztoczą,
 Nim was odstąpię Krakusie stary“.

Za głosem woja w krąg pobratymy
 Ze wszystkich głązów zawrzasną: „I my!
 I my!“ zahuczy chrobacka rzesza,
 Reszta słów w gwałtach morza się miesza.

Uśmiech rozjaśnił oblicze Kraka,
 Ptak stary poznał swojego ptaka.
 Dobry to strzelec, trafił gdzie celił,
 Pogodną twarzą zbór rozweselił,
 Kiedy nad wiecem zawołał: „sława!“
 I powstał jasny, jak Jesse wstawa,
 Kiedy świat w burzy tonąć się zdawa.
 I na swą dziewczę skinął, a owa
 Chowając w sercu wdzięczności słowa,
 Ręką pod nogi rycerzy sięże,
 Ruchomą ścianą cofną się męże,
 A ta wciąż stąpa, do nóg im gnie się,
 A włos jój leci jak słońce w lesie.

Chrobacka dziewo za wolność twoją
 Bohaterowie skałami stoją.
 A ówże Lubor w rycerskiej chuci
 W płomień się rzuci, w ogień się rzuci,
 W ziemię zakopie Lubor ów młody
 Od ognia słowa, od ocz twych wody.
 Ani on serca, ni twojej ręki
 Córo królewska w tej chwili nie śni,
 Nie żąda słowa, ani podzięk,
 Żywy obrazie chrobackiej pieśni,
 A zginąć przepaść duszy tej błogo,
 Dość kiedy Bogi wejrzą na kogo.

Zapał Witezi starzec zrozumie,
 Chwilę zostawi na przejście głuszy,

Potém szmer zbiera, co wpada w uszy,
 Potém szum zbiera w rycerskim tłumie,
 Potém ryk bojów, co gromem wzbiera,
 I piorun słowo z ust bohatera:
 Wojna! zagrzmiało, a zbornia zbrojna
 Stokroć powtórzy: Wojna, hej! Wojna!
 Aż stare Bogi, te Bogi mściwe,
 Roztrząsą włosów burzliwą grzywę,
 Olbrzymie lasy, mchowe kamienie
 Poniosły głosy w odległe cienie,
 I woda szemrze i lasy wtórzą,
 I w długich polach echa się dłużą.

I Krakus gromko krzyknie od skał
 Na wiecu wodzów wyrok się stał,
 Miejcież się k'bojom koła, pokola,
 Komu niemiecka hydna niewola.
 Rzekł, nogą silnie oparł się w tył,
 Wyrzucił topór mąż lutych sił,
 Topór kamienny siedmkroć się zwił,
 A nim na ziemię wracając spadł,
 Stuletni gromko chwycił go dziad,
 I krzyk się rozległ chrobackiej młodzi:
 Młot wojewodzi Krakus dowodzi...
 Starcy poznali mocarza broń,
 Ku wilgnym oczom podnieśli dłoń,
 Jęcząc na lata, na ciężar nóg,
 Gdy serce młode na miedzach wróg.

I wraz na skały stojąca skraju
 Sosna jedyna ozdoba gaju,
 Żywicą wonną ciekąca w krąg,
 Widna od grodu do bujnych łąk,
 Szumiąca wiecznym z wichrami sporem,
 Sosna nad grodem wzrosła i borem,
 W znak krwawej wojny iglaste czoło
 Dymem płomieniem otoczy wkoło,
 I nad stojące tłumy wojacze
 Dészczem ognistych iskier zapłacze.
 Jakoby chciała ludowi rzec:
 Baczcie, co mądry uradził wiec:
 Łzy moje wrogów niech stopią zbrój,
 Oczy niech wyżre dym czarny mój.

Oddalonemu białemu miastu
 Z laskami w rękach starców dwunastu,
 A ludów kołom u Wisły brodów
 Zagrzmiął głos wodzów, głos wojewodów,
 Jak grom wiośniany spragnionym łanom,
 „Biada Germanom! wojna Germanom!”
 I jak świat wielki gromada zbrojna,
 Wyciem i pieśnią wtórzyła: „wojna!”
 A głos zanikał aż w cieniach kniej;
 Grzmiej gromie, wichrze szalony wiej!..

I ot w bugaju nad uroczysko,
 Nad uroczysko, nad popielisko,
 Stanął wieszcz siwy, Burt słowowłady,
 Kołem przyległy leśne gromady,

Gdy wieszcz chrobacki w płótna odziany
 Okiem leżące mierzył ziemiany.
 Czary zaklęcia wyszeptał z duszy,
 Bogów je tylko słyszały uszy,
 Tych starych Bogów, co na wyprawę
 Kamienne szczęki rozwarły krwawe.

Rumak! hej rumak! i uzdo-złoty
 Koń Światowida rozniósł tempoty,
 Czarny jak chmura wyżyn Krępaku
 Postąpił rumak po wieszczym znaku.
 Karpackie wichry wiały mu w grzywę,
 Te Bogi wietrzne, te Bogi dziwe,
 I jak tumanem burzy na strony
 Potrząsał grzywą koń prowadzony.
 Spokojnym wzrokiem wodząc wokoło,
 Rumak to zniżał, to wznosił czoło,
 Na popielisku tymczasem skoro
 Złotyż złożono strzał dziewięcioro;
 Wieszcz je układał z niewiasty społy,
 Co się pomiotły nad te popioły
 Umiłowane wiedmy ludowe,
 Na wichry włosy rzuciwszy płowę.
 I zapatrzone we złote strzały
 We wszystkich członkach przeczuciem drżały,
 Przy uroczysku jak dym się snuły,
 A wpośród rumak wstępował czuły.
 Biada gdy złamie jedną z tych strzałę...
 Cisza obiegła pagórki całe,
 Każdy krok zwierza przejmował trwogą,

Zbrojną tę groźną gromadę mnoga.
 Stąpił, przystanął, kark wzniosł pod słońce,
 I jakby bóstwo z słońca lecące
 Grzbiet mu przysiadło niewidne człeku,
 I uderzyło boki po leku,
 Ruszył po chwili tak wolnym krokiem,
 Że czas się zdawał nie chwilą, rokiem.
 Jedna, dwie, cztery, już przebył cztery,
 A słońce świeci, jak sam Bóg szczery.
 Cztery po tyle, cztery po przedzie,
 Bożego konia pachole wiedzie,
 A ony ciągnie, zarzy, przystanie,
 I cienkie nogi, nogi bocianie
 Podnosi zwolna, jakoby mierzył,
 By nie zawadził, a nie uderzył;
 O Światowidzie, przesławny Boże,
 Tyś to prowadził swe czworonoże,
 Jedna już tylko po niej wrzask srogi
 Rozległ się, stare zawrzały Bogi,
 Kontyny gaje od ludzkiej wrzawy,
 Od sławy Bogom i wodzom sławy.

Strzały na białym świecą popiele
 Po ludzkich licach skacze wesele,
 Ale wieszcz siwy z pola nie schodzi,
 Ani nie schodzi zbór wojewodzi.
 I wzroki ludu z nadbrzeżnych wzgórz
 Zwrócone kędy bieli się wróż.
 Znać te czekają lesiste ludy
 Na nowe czary, na nowe cudy.

Dziad pochmurzony dziewięcią strzał
 Nad głową trzęsąc k'sobie się śmiał,
 I wróżki ciągnął i głowę chwiał.
 I przysiadł siwy kamień omszony,
 A przy nim wiedmy, karpackie żony.
 I do zebranych przemówił wraz:

„Héj! nam orzechy w szczęśliwy czas
 Na biedę próżny, na szczęście zdrowy,
 I dłoń szeroką podniósł nad głowy.
 I uroczysta cisza znów zbieży.
 Na świat do boju drżącój młodzieży:
 Siedmiu stanęło przed wieszczem w krąg,
 Siedm się ku niebu podniosło rąk,
 Cetno czy lichy, zgadule przetną,
 Cetno czy lichy? cetno, hej! cetno,
 Cetno! i całą ludu gromadą
 Jako żórawie po niebie stado
 Gdy na jesieni w drogę się biorą,
 Lud zatańcuje, zakrąży skoro
 Jakby pijany bojowym szaleń,
 Wkoło się polem zatoczył całym,
 I w przeddzień wielkiej bojowej drogi
 Radością poczcik życzliwe Bogi.



NIEMCY.

Dawnymi czasy, bardzo dawnymi,
Ciemnymi lasy bardzo ciemnymi,
Wonnymi łągi, czystymi smugi,
Rwały potoki, ciągnęły strugi.
A na jeziora, na łąki błotne
Szumiały skrzydła ptastwa przelotne.
Kiedy wiosnowy dészcz ziemię splucze;
W górze jęczały żórawi klucze,
Bocian by żaglem sterował piórem,
Tam dzikie gęsi ciągnęły sznurem;
Jaskółka wiośnie ciesząc się młodój
Wylatywała z pod chłodnej wody.
One drzémliki czerwonoookie
Opisywały koła szerokie,
Jastrzęby, wreszcie orłowie dzicy,
Odyniec w wonnej tarł się żywicy,

A pod lasami, na trawie młodej,
 Na łąkach pasł się Tur gęstobrody,
 Jeleń krzaczysty i duże łosie;
 Zajączek w chrustach kicał po rosie.
 Gdzie spojrzysz, wszędzie wesele, cud,
 Od lip kwitnących aż pachniał miód,
 Krzyku w bugaju, ptastwo tam mieszka,
 Na każdą wiosnę toż to uciezka,
 Gdy one gniazdka poczną układać,
 Gdy one młode poczną wysiadać,
 To tylko słuchać ptasiego wrzasku,
 Czy to na łęgu, czy na podlasku;
 Słoneczko świeci nad czystym polem,
 Skowronek wzłata nad jarzmem wolim,
 I wszystko było jakieśi nowe,
 Albo dziecińskie, albo ojcowe.
 Gęśl podzwaniała w cichy poranek,
 I głos pastuszych leciał śpiewanek.
 I tylko płakał moczając chwost ony,
 Cieśla bóbr wodny, zwierz niezganiony.
 I pod szczęśliwą zrodzony gwiazdą,
 Snuł człęk swą przędzę jak remiz gniazdo,
 Łuczywem świecił w wieczory ciemne,
 I Bożki one czcił nieforemne.

Pod dobrych Bogów czułą ochroną,
 Co gorsze zawdy leciało stroną,
 I mazur czysty nur ziemiorodny,
 Spokojnie patrzył na świat pogodny,

I wołki wodził i kołki grodził,
Z braćmi się kochał, z biedą się godził.

Rzemiosł nie brakło i w owe czasy,
Krasne wełniane noszono pasy,
Z dalekiej łąki, z głuchej doliny
Dudniały stępy jak ninie młyny.
Kołodziej z lipy wycinał koły,
Smolarz po lasach wypalał smoły,
A garncarz śmiał się z onej przyczyny,
Że też potrzebny i statek z gliny,
Czy to na strawę dla ludzkiej siły,
Czy na spaloną kość do mogiły.

I wszyscy bracia siedzieli społem,
Młot w nakowadło brzękał za siołem;
I było błogo pod Bogów strażą,
Piwa naczynią, miodu nawarzą,
I róg napełnią i z pełnym rogiem
Przed bożym progiem, przed samym Bogiem,
Staną, przypadną z miodem, z kołaczem,
Uraczą Bogi sercem prostaczem.
I ptaku dadzą i Bogu dadzą,
I ludziom radzą i sobie radzą.

Koń Światowida wypasa błonia,
Bo i Światowid dosiada konia,
Jakoż inaczej mógłby świat mierzeć?
Ni mu też pieszko przystało biec,

A niejednego sto cudnych koni
 O srebrnych uzdach po łąkach goni,
 Na Czarne morze, błękitne Tatry,
 Na konie siada, na cztery wiatry.

Na las sosnowy, na las iglasty
 Dzbanki, kozubki niosą niewiasty.
 Sosnowa puszcza głęboka, głucha
 Toż się tam wabią uha! a uha!
 A tu paproci do koła wieszczéj,
 A tu się wodna lilija niebieszczy,
 A tu grzyb miły, dębczak rozsadni,
 Bedłęk zielony i kurek ładny.
 A jagód leśnych brusznic, poziomek! —
 Ciesz się na to chrobacki domek.

Kumkają żaby w dobrane głosy,
 Czy to w południe, czy na porosy.
 Łąka rozprawia, woda rozprawia,
 Ciesz się żaby śmierci żórawia.

Taki to świat był onych tam czasów,
 Gdy jeszcze Lesia nie wyszła z lasów,
 A owo spojrzeć w niemieckiej burzy,
 Jak się ta ziemia zmienia i chmurzy.

Na Babiěj górze, w czepcu z mgły siwéj
 Zasiadły biésy niemieckie dziwy,
 I pokurczone, czarne, skrzydlate,
 Wpatrują wzroki w chrobacką chatę.

W powietrzu dziwny toczy się gwar,
 Przeklęty bięsy rzucają czar,
 Dosiadłszy gęste szare obłoki,
 Oczyma złymi sieją uroki,
 Poklusy lecą i nocne zmory,
 Leleki, sowy, smoki, potwory,
 A nad snem ludzkim ciężkim, głębokim,
 Wiesza się czarny strach z wielkiem okiem.

Od lasów Herty, z za siódmych wód,
 Z za gór dziewiątych przyciągnął lud,
 Białe ich włosy wiatr rozgartywa,
 Przyszliż nam, przyszli na krwawe żniwa.

Wokoło wodza Cymbry, Germany,
 Ciągną olbrzymów ruchome ściany,
 Na postrach świata mgłami szaremi
 Lecą a wrzeszczą: ziemi! hej ziemi!
 Hełmy ich ciężkie ze stali kutěj,
 A ich koszule kręcone druty,
 Na hełmach rogi sterczą na czole,
 Rogi jelenie, łosie, bawole. —
 A ktoby z dala we mglisty czas
 Ujrzał te dziwy, rzekłby: mknie las;
 A ktoby bliżej w świetle miesiąca
 Ujrzał jak ściana pomyka lśniaca,
 Rzekłby: potwory wyszły z pod ziemi,
 Z głowy wolimi, z głowy smoczymi,
 I na świat niosą dziwo i strach.
 Nie widzieć takich nawet i w snach.

Król morza, rycerz Rytygier ów
 Na licu nosił czar dziwnych snów:
 Broda w nieładzie na pierś mu spada,
 Za uszy włosów kudły zakłada.
 Nad czołem jego hełm wieńco-złoty,
 Ze smokiem przednich mistrzów roboty.
 Milczący rycerz uglądał bacznie,
 Gdzie pole wytknie rzeź, kędy zacznie.

Przy wozie Frei tarcze nad koły,
 Wieńczone zwolna wóz ciągną woły,
 A wkoło wozów więdźmy straszliwe
 Szły przecierając wzroki swe krzywe;
 Bosymi nogi w ziemię zagonów
 Tłocząc nie palców ślady a szponów.
 Wicher z siwymi włosami grał,
 Na dzikich licach więdźm biés się śmiał,
 Odzież ich biała ciągnęła się, wiała.
 Brązowe pasy ścisnęły ciała,
 Żadnego krzyku szept tylko głuchy
 Z ust wypuszczały więdmy czy duchy,
 Jedna ku drugiej w zadarte słuchy...

Pieśni po stronach zawodził gmin,
 Kiedy do Frei jął prawić syn:
 „Owo chrobacka sławna opoka“
 Toż stara Freja spojrzy z pod oka,
 Zatrzęsie w siwe olbrzymie kudły,
 Skurczą się palce dłoni wychudłej,

I zatajona w wichrów podróży,
 W srebrnej koleby kąt się zanurzy.
 U nóg jej kocioł miedziany stary,
 Kocioł miedziany brzęknął na czary.
 Rzuciła wzrokiem i oczy bure,
 Oczy pantery, zaszły pod skórę;
 Zda się, że drzémie, że ją sen bierze,
 Lecz snu téj wiédźmy niech nas Bóg strzeże,
 Przez białych rzesów porość złowrogą
 Dojrzy, gdzie drudzy dojrzeć nie mogą.
 Ile tam było grodków a siół,
 Gdzie dym niebieski dołem się snuł,
 Gdzie Wawel cichą zalega błoń,
 Biadaż nam! Freja zaklasła w dłoń.
 I stare wiédźmy podbiegną wraz,
 I tłum się wstrzymał, ruchomy las...
 Dojrzała Freja chrobacką twarz,
 Brat w Niemców ręce popadł się nasz,
 I skępowany powrozy w tył,
 Śród wrogich Niemców rzucał się, wił
 Jak jesiotr, gdy go straszna sieć trzyma,
 A grad pocisków tłoczył olbrzyma.

Z skrwawionych kolan żywa krew ciekła,
 Na czole plamą czerniała spiekła,
 Skudłone włosy i broda złota
 I ramię, co się napróżno miota,
 Plamy okryły proch, dym i krew.

Noc cicha, księżyc wschodzi z za drzew,
 Gęste mgły siwój nocy ponurój
 Rozniosły ciemne swe płachty, chmury,
 I dziką wiodą z lasy rozmowę;
 Ponure dęby schyliły głowę,
 A mgła wciąż niemym językiem gada:
 „Oto już więdźma kociół pokłada,
 Oto chrobacka pierś się wypręża,
 Oto błysk noża, oto syk węża“.
 Ha! krew wytrysła leje się sznurem,
 Chciwe jęj więdźmy zawrzasły chórem,
 I na przebite ciało poskoczą,
 Oto go szarpią, żywą krew toczą.
 Krew płynie czysta, koralem spada,
 Na dnie czarownic kotła osiada,
 I kształt wypukłej tarczy nakreśli,
 Nad krwią się stara Freja zamyśli,
 Iskrzące wzroki w żywy szczyt wpije,
 Warzęchą z żelaz koral rozbije.
 Alić rozbita tworzy dziw nowy,
 Okrągłe kształty jak Chrobat głowy,
 Więc je powtórnie mięsza i siecze,
 Aż z głów się krwawe rozciągną miecze.
 Zawrzasła stara okrutném wyciem,
 I pod namiotów szarych okryciem
 Zawyła z gardła, a wilcy leśni
 Chórem odparły niemieckiej pieśni.

Ledwie mgła skończy, wzbije się w górę,
 Skłębci się w dymy, w ogromną chmurę,

I wieść poniesie porannéj zorzy,
 Gromem swe wieści zorzy powtórzy,
 I lice słońca zaćmi chmur szmatem,
 I piorunami zagrzmi nad światem.
 Rytygier powstał, uderzył w szczyt,
 I dźwiękiem tarczy zawieścił świt;
 We chmury nagi obrócił miecz,
 W dészczu Zmijogród, Jasło i Biecz...
 Ruch, szczęk i wrzawa po świetle stawa,
 Niemców się rusza krwawa obława.
 Dzieci, niewiasty, świata włóczęgi
 Na konie ciężkie miotą zaprzęgi.
 Gdy Niemiec biczem po drodze skinie,
 Gotowe w pochód ciągną Niemkinie.
 Wzrusza się cała Niemców gromada,
 Jedno się wiedźmie gniazdo układa,
 W pokrytym wozie to gniazdo rysie
 Kurczy się, drzémie, a biés im śni się.

Rytygier książę sam, wiecznie sam,
 Bitwa mu jedną z Walhalli bram;
 Tam on zasiędzie w srogich bóstw rzędzie,
 I czaszką wroga zapijać będzie.
 Na jego przyjście, na powitanie
 Tor kozłowozy pierwszy powstanie,
 Walkyrja bojów miodu namierzy,
 A Odyn czarą w czarę uderzy...

W piersi rycerza szum morskich wód,
 Szeroko-światy roznosi chłód,

Aleć to serce gardzi spokojem,
 Żyjące gwałtem bijące bojem,
 I tylko w krwawej pracy dech bierze,
 W bitwach serc ogień gaszą rycerze.

Co mu ta Wanda, co dziewic lik,
 Usta mu krasi bitw straszny ryk.
 Na jego zbroi, pod jego boki
 Dziewa się zwinie chmurą, obłokiem,
 Lilją się zwinie, spadnie powojem,
 Łez pereł czystych stoczy się zdrojem,
 A z męskiej piersi miłości słowa
 Nie wydrze biała męża połowa.
 On ją otoczy z brylantów czary,
 Lecz sam zostanie jak Tor bóg stary,
 I świat ten górny wód, dolin i skał,
 W podstawach będzie pod przejściem drżał.
 Nie miłość Wandy zwiodła go sam,
 Lecz że ktoś wolny głos podniósł tam.
 Wnet go rozpałił gniew, co świat burzy,
 Krew go chrobacka jedna rozchmurzy.
 Kto się ośmielił drwić mu w oblicze?
 Krzyki dziewicze? jęki słowicze?
 Ale ten starzec i kmieci tłum,
 Pobudza ogień rycerskich dum.
 Zedrę łeb siwy wodza narodu,
 Czaszkę wypełni płyn złoty miodu,
 A w gardło chłodne, gdy płyną piany,
 Z dymem w wiatr pójdzie ten świat słomiany.
 Dziewę do wozu łańcuchem złotym
 Sam przymocuję, przykuję młotem;

Tak się Rytygier cieszy w swój dumie,
 Obliczem radość wzniecając w tłumie,
 Który tę postać zamkniętą w sobie
 Wita jak słońce w porannój dobie,
 Hucznym okrzykiem Odyn! i Thor!
 A echo wtórzy ogień! i mor!

Powstał, płaszcz długi obfity zwił,
 We złotym płaszczu pół lica skrył,
 Po znakach boju powiódł spojrzeniem,
 I pierwszym strażom z złotym jeleniem
 Znak ręką rzucił, brzęk wypadł z stal,
 Smug porosisty poniósł go wdal.
 Lecz czemuż samy zapatrzon w świty?
 Koń jego ziemię szarpie kopyty?
 Matka to Freja zbliża się z gór,
 Ponura, czarna, najdziksza z chmur,
 Do ucha wodza z poszeptem głuchym,
 Wznosi się, rośnie, zwiesza nad uchem,
 I długo radzi, radzi a gwarzy;
 Słowa wyrazem kwitną na twarzy,
 Co słowo powie, co myśl weń wleje,
 Na licach widne osty, szaleje.
 Aż się we śmiechu wszystko pomieśza,
 Wróżba go burzy, trwoga rozśmiesza.

Dość, dość, i dłonią zamachnie w wiatr,
 Rycerze króla zbierają szatr.
 Wicher dmie wściekły, pędzi chmur nawał,
 Podszeptom trwogi słuch będęż dawał!

O! matko moja na powieść bacz,
 Śmiech — urodzenia mego nie płacz,
 Gdy dzieci gminu z płaczem w świat wchodzą,
 Mnie burze świata, wichry nie szkodzą,
 Jam się z nich naśmiał w chwili powicia,
 W burzy jam poznał wesele życia.
 Po niezłamanój spojrz tarczy méj,
 A ufność w męża ramieniu miej.
 Jak niebądź więźnia spłynęła krew,
 Nie uspoki się wpierw mój gniew,
 Aż się w krwi końskie zbroszą podkowcy,
 Przez brzeszczot miecza aż przejdą głowy!
 Namietne prędko serca śmierć zbiera,
 Górą nad śmiercią duch bohatera.
 Moc równa mojej powiedz i gdzież?
 Jam jako jedna z cymbryjskich wież,
 Najwyższa wieża z chmury w rozprawie,
 Wróć, gdy konia w krwi ludu spławię.

Lecz cóż to dumny chrobacki kmieć
 Nieopłątany w powrozów sieć?
 O jasnych długich włosach się zbliża,
 Przed królem staje, czoła nie zniża.
 Rycerze, Freja i król zdziwiony
 Patrzą nań świetni w zorzy czerwonej.
 — Mów czego żądasz i czyimś posłem?
 — W mrokach powstałem, w świtach wyrośłem,
 A z czterech ziemi przychodzę stron,
 Odpowie dziwo głosem jak dzwon.

Broń twoja krucha, tarcz twoja pył,
 Drwię z twego słowa, śmieję się z sił.
 Spróbój, gdyś mocny, gdyć myśl nie zwodzi,
 W proch się rozwieje, kto we mnie ugodzi.
 Więc król gniewliwie mieczem tnie węń,
 Mięcz jak przez wodę przepadł przez cień,
 I biała postać rość, jęła rość,
 Nad króla wyrósł nieznany gość,
 Raz, drugi, trzeci, przejrzyste ciało
 Żadną się raną nie zfarbowało,
 Po każdym cięciu wzrost biorąc srogi,
 Aż król u pięty ujrzał się nogi,
 A on wciąż rośnie nad Karpat szczyt,
 Szata się jego rozszerza w świt,
 A gdy się wyniósł nad wały chmur,
 Słońcem na chwilę błysnął z nad gór,
 I pieśń w chrobakim zabrząkała lesie:
 „Ho Jesse! Jesse! sława ci Jessie!“

Chmury powiały, Bóg zniknął biały,
 Król stał przez chwilę zdumiony cały,
 Spojrzał po stronach spalonych strzech,
 Pycha mu w sercu zrodziła śmiech.
 I śmiał się długo, śmiał się sam z siebie,
 Z dziwa na ziemi, z słońca na niebie,
 I drugie Niemcy choć im nie sporo;
 Bo gdy przeczucia za serce biorą,
 Śmiech głupie boże nie wytchnie roga,
 Sam król się tylko miecie na Boga,

Lecz prostym knechtom twarda to rzecz
 Nawykłym nosić posłusznie miecz,
 Dzikie te ludów wiedzione kupy
 Nęcą zwycięstwa łatwe i łupy,
 Dla niewiast złote tkaniny z przędzy,
 Rozchwytac skarby aby co prędzej,
 Lecz téż i pełne przeczuć i kar,
 Snów niewyraźnych i błędnych wiar,

Podano konia, wielki król mórz,
 Już miecz dobywa, na koniu już.
 I w téjże chwili w mglistej oddali
 Sto rąk uderzy po strunach z stali,
 Zapieją Bardy, a bród kotłuny
 Wkręcą się harfy w stalowe struny,
 Grzmia w cześć rycerza nad Niemców roty
 Jakby czarowny w górze las złoty.
 Sława im skronie oplata wieszczce,
 Brody ich sieką grady i dėszcze,
 A owi jakby przepadli w głaz,
 Śród skał i lasów stoją jak las.

„Chwała twych bitew grzmi z wszystkich pól,
 Rytygier morza i ziemi król!
 Na grobach wrogów twych szumi burza,
 Z pod głazów chwast się szary wynurza,
 I duchy jęczą nad swą niesławą,
 Morze na lewo, chmury na prawo,
 Germańska chwała za tobą w ślad
 Rzuca nie błady więdący kwiat,

Ale krwi garście w wiatru przestrzeni,
 Sławą się twoją zachód czerwieni.
 Na tryumf słońce zazdrosne nasz,
 W ocean kryje gniewną swą twarz.
 Odkąd nam morze srebrnymi szpony
 Cymbrów wydarło kraj nasz zielony,
 Odkąd się w morza zanurzył męt,
 Lud nasz zwycięzki rozpoczął pęd,
 I sławą ludów usta oniemia,
 Ogień nam ogień! ziemia nam ziemia!
 Skończą wrzask z wszystkich gardł się rozszerzy,
 Chciwych na boje niewiast, rycerzy;
 Wodzowie pędzą w dęszczową błoń,
 W powietrzu śwista dobyta broń.
 Ziemia chrobacka, kwieciany smug,
 Poznała, że to nie kmięcy pług,
 I pod żelaznych mężów ciężarem,
 Jękła szerokim całym obszarem.

Chmurą się czarną zadymił świat,
 Po tarczach stalnych uderzał grad,
 Szumiała burza, mrok gęstniał, rósł,
 Aż król szczyt czarny nad głowę wzniosł,
 Jakby raz pierwszy zdjęła go trwoga
 Gradu i gromów błyskawic Boga.
 Rumak się pod nim wił, dębem stawał,
 Ziemią i niebem grzmiał burzy nawał.
 Z dębów omszonych wichr liście rwał,
 Bardowie z szarych zstąpili skał,

I między zastęp wmieszani młody,
Harfy przez ramię wiszące brody,
Dumne zwracali czoła wieńczone
Na kraj daleki pola zamglone,
Kędy król morza poprzysiągł im
Biesiadę bardów: bój, krew i dym...



WANDA.

Góra Krakusa za swymi w ślad
Długo patrzała w szeroki świat,
Stała, czekała cztery dni białe,
Piątego wilcy przyszli pod skałę
Burzą ruszone, wiatrem nęcone,
Stadami ciągną w bojową stronę,
I ośmielone pustką i głuszą
Stadem się całym od lasów ruszą;
Za słuchem idąc, kędy im dzwoni
Niedosłyszany ludziom jęk koni,
I ludzkie głosy w krwawej potrzebie,
Lecą, przystają, patrzą przed siebie.
I takich gości przed okiem dziewy
Ciągnęły stada w mgliste zawiewy,
Przeszły zwiastuny rzezi i krwi,
Oko dziewicy w błękitach tkwi,
Patrzy a śledzi od ojca znaków,
Tam lecą chmary drapieżnych ptaków:
Od lasów, pastwisk, z dalekich stron
Zwłóczą się kruków stada a wron,

Odpoczywają na polnych zbożach,
 I w dal wachlują w niebios przestworzach.
 A oko dziewy wpatrzone bada,
 Kędy gromada czarna zapada,
 I każdy zamęt w drużynie ptaszęj
 To cieszy serce, to serce straszy.
 Zda się zgadywać z zapędów stad,
 Jak liczny zastęp mężów tam padł.
 Na jeden zewłok w czerni téj rzędzie
 Kilkoro ledwie z stada ubędzie.
 Gdzie śmierć zabrała obfity plon,
 Wnet się gromada obniża wron,
 Oka jęj cicha noc nie koleba,
 Wanda spogląda na głębie nieba,
 A kiedy gwiazda spadnie w téj stronie,
 Włos się najeża, drżą białe dłonie,
 Ginąż tam giną w krwawéj potrzebie,
 Dziewiąta gwiazda rwie się na niebie.

Pod szczytem grodu z za wieży krat
 Lech siedmioletni kwili jęj brat,
 Na białém czole, na ramion ciele
 Obitych znaków sini się wiele,
 Takimi w klatkach obite znaki
 Więzione orły, słoneczne ptaki,
 Siedzą a pióra żywa krew klei,
 Krew zawiedzionéj świadek nadziei.
 Starego wodza orły spętane
 Dla was te ciemne chmury miedziane:

Wolnym na wolę — orłom na żer,
W boje wam, w boje wywinąć ster.

Serce dziewicy rozrywa burza
Tatrzańskich wichrów niepewna stróża,
Uderzą w ściany z hukiem i wyciem,
I zahulają pod nieb nakryciem.
Zmącone życie jak woda w zdroju,
Nieszukać myśli w tym niepokoju,
Myśl zakłócona w ryk się przedłuża,
Skrzydła jej ogień — imie jej burza,
A jednak, jednak sen śmierci brat
Szarymi skrzydły na Wandę spadł,
I niedojrzany pajęczy, szary,
Objął ją w swoje ciemne kotary.
Sen co się w dziwach bóstwu przedrzyżnia,
Rany otwiera albo zabliżnia,
I z pod swych opon rzuca na człeka
To co pożegnał, to co go czeka;
Kształty dziwaczne wytwarza w cieni,
Rozkoszne widma w potworne mieni,
Potworom cudne nawleka larwy,
Odmienia kształty, odmienia barwy,
Jakby żywota udawał całość,
Wieczny ruch cieni — wieczną niestałość.

I po raz pierwszy w wieży otworze
Na nieścielone upadła łożo,
Obok pająka, co nad nią w górze
Szerokie rozniósł sieci po murze,
Z czarną jaskółką w sklepionym gniaździe...
Zasnęła złota gwiazda przy gwiaździe

Zasnęła cicho — družki ciekawe
 Jako jaskółki obsiadły ławę,
 Jako jaskółki chaty przyciesie,
 I jedna drugiej słówko poniesie.
 „Po Wandy licu uśmiech się błąka,
 Śnią jój się grzedy, kwiatów nasionka“,
 A druga prawi: „śni o Luborze“,
 Zapieśmy cicho: „hej zorze! zorze“!
 Niech jój piosenka na sen nawoła,
 Wszystko co dobre Bogi nam niosą,
 Ojca gołębia, chłopca sokoła,
 Ziemię pod kwieciem, kwiecie pod rosą.
 Niech jój się przyśni i drzewo Maju,
 I to hukanie mokrego gaju.
 Jak szumi woda w potoku rwącym,
 I jak pustują rybki pod słońcem.
 I jak się wabią ptaki na drzewach:
 Niech wszystko śni się jak w letnych śpiewach,
 Tylko nie perły, bo to łyzy pono“.
 I zwolna dziewic odchodzi grono.
 Odchodzą cicho, by z za wierzei
 Swojej uśpionej pani Krakowskiej
 Zaśpiewać piosnkę ptasimi głoski,
 Piosnkę złotego błonia i kniei.
 Posiadły rzędem długo tak długo,
 Jedna przy drugiej, jedna za drugą.

Gdyby je ptasznik ujrzał z oddali,
 Wnetby zastawki pomyślał sidła.

A te okrycia barwy ze stali
 Wziąłby z łatwością za ptasie skrzydła.
 Nóżki za ptasie wziąłby pazurki,
 A główek ruchy za ptasie zwroty,
 A to nie ptaki obsiadły płoty,
 Jenó tak siedzą krakowskie córki.

I jedna drugiéj pomaga nutą:
 „Tę będziem śpiewać piosnkę czy ową“,
 A tu już ranek zawiewa rutą.
 A tu już wietrzyk hula dąbrową.
 I od brzeziny za piasku ławą
 Już tam i ludzkie snują się cienie,
 I pierwsze jasne świtu promienie
 Już się z błękitną łączą rudawą.
 I piosnka płynie: „hej roje! roje!
 Powraca Lubor, skończone boje.
 Łączą się serca, co się kochały.
 Widzą się oczy, co się czekały.
 Serce do serca ma swoje prawo,
 Lecz nie dostaniesz ptaszki sokole,
 Aż nam powrócisz z matuchną sławą,
 Aż nam łowieckie pokażesz pole.
 Wtedy nad miłą będziesz miał władzę,
 Gdy się pochwalisz piękną zdobyczą,
 Z bojów zebraną szczerą, zbójniczą,
 Kiedy pokażesz krew na ciupadze.

Posiana ruta rośnie na grzędzie,
 Lubor powraca, wesele będzie.

Niemiecką tarczą, niemiecką stałą
 Nasze bojniki świata się chwala.
 Ostrzą siekierę co zetnie kosę,
 Dziewiczy warkocz pleciony długi,
 Wracaj sokole po złotowłosę,
 Nie znajdzie takiej na świecie drugiej“.

Tak przyśpiewują górskie dziewoje,
 Ale sen Wandy odmienny wcale:
 Ani to zdroje, ani to boje,
 Ani rodzeni bracia Górale.
 Ledwie zawarła znużone oczy,
 Zda się, że schodzi pod modrą Wisłą,
 A piersi ciężar nieznany tłoczy,
 Jakby coś dobre serce przycisło.
 Spojrzy po górach, spojrzy po niebie,
 Spojrzy po sobie, nie pozna siebie...
 Jakoś przez jednąnockę wyrosła,
 Tak się wysoko wybiła w górę,
 Żeby wziąć mogła świerki za wiośła,
 I na swe piersi wyzwać wichurę.
 I ni to wiatrem leci, ni wodą,
 A krasnoludki wkoło się czwanią,
 I jakieś dziwne duchy rej wiodą,
 A węże skaczą przy niej i za nią.
 Syczą, łby gniotą u stóp dziewoi,
 Oczyma sięją zarzewie szczere,
 A tam gdzieś słyhać Kraka siekierę,
 Jak się rozbija na twardój zbroi;
 A tam Lubora koń skacze samy,

Obiega pola, chrapy żar miecie,
 I niby stoi u modréj jamy,
 Na wielko-morskim szerokim świecie.
 Wkoło niebiesko, kończy na ziemi,
 Kropel by żywych, pereł bez liku
 Niby pod wały ciągnie sinymi,
 Pod wełnistemi falami Bałtyku.
 I niby idzie i niby płynie,
 I jakby nici własnej roboty
 Na złoty kłębek fali nawinie,
 I wije, wije kłębek swój złoty.
 A nici zda się z serca się wleką,
 Jak łyzy po licu dobrego człeka,
 Jak pieśń kochana w przestrzeń daleką,
 Co na świat niby cały narzeka.

Aż naraz w sercu głosy posłyszysz,
 Głosy bez głosu, muzykę ciszy.
 Spójrzy, aż przed nią w morskiej otchłani
 Żmij się rozciąga jak wzrok zaleci,
 I oczy dzierży otwarte na niej,
 Skórą by blachą okrutną świeci,
 A grzywą wieje ni morską pianą,
 By dyamenty sypał szuflami,
 I paszczą błyska z srebrnymi kłami,
 Całego świata krwią obluzganą.
 Od brody porost po srogiej grdyce
 Niby złociste płynie sitowie,
 Grzebień od nozdrza po płaskiej głowie,
 Aż gdzieś się w morskie ciągnie mgławice,

Kędy raz po raz nad fale białe
 Uderza ogon zacięty w strzałę.
 A od dwóch boków, z lewój i z prawej,
 Srebrzyste sterczą okrutne pławy.
 Nogi pod brzuchem wodę wciąż miela,
 By wodne srogie młyny pływacze,
 I to raz chlapnie przez morze skrzela,
 To łapy stalne wysunie kacze,
 To puści dechy z dziwego krtania,
 Aż się nad morzem podniesie bania,
 Jako błękitna wyspa daleka
 I rzecze głosem jak się w śnie rzeka:
 „Próżno coś szepczesz na Goga noga,
 Nic cię nie zbawi od Czarniboga.
 Zechcę to zetrę w cieśniach przeguba,
 Zechcę to spalę w piersi mych żarze,
 Kochanko boża! pójdź moja luba,
 Tobie królestwo moje pokażę.
 Z Czarnego Boga poznaj się dworem,
 Pójdź sam lubeczko w moje uściski“,
 I wnet świat wężów błyszczący śliski
 Zaświśnie całym morza przestworem;
 W górę się fale wzniosą, podskoczą,
 Poszumia witać królowę smoczą.
 Już to nie wały a chłodne żmije,
 Depce białemi stopki trwożliwa,
 A tam gdzieś na dnie burza pogrzmiewa,
 I wał po wale chlasta i bije.

Spojrzała Wanda aż ci odmiana,
 Smok się przedzierzgnął w cudo młodziana.

W złotego woja z pyszną koroną,
 Co niby zdala patrzy za oną.
 Niby się kłoni przy Wandy nodze,
 Wpatrzyła wzroki w nieznany bodze.
 I już się niby chwieje i chyla,
 Gdy strach obleci i zgroza duszę,
 Konia Jessego napoić muszę,
 Leci w przepaściach, co krok⁴ to mila.
 Koń Światowida białego Boga,
 Daléj, hej daléj, spieszna mi droga.
 A ów pan złoty za nią jak sokół
 Kajdany wlecze sieć całomorza,
 I jużby pewnie niebogę okuł,
 Gdyby nie kłębek, nie miłość boża,
 Rzuciła kłębek, aż tu nic biała
 W chrobacki kraj się cudny rozwiała.
 Ojczyste pieśni brzmią w suchym lesie,
 O złotym kłębku, o białym Jessie,
 Pieśni czarowne chrobackich cór
 I sen się rozwiódł jak pereł sznur.

Westchnęła, słucha, jęk się rozbrzmiewa
 Ucho jój trąca, serce jój trąca,
 A tam już wietrzyk ranny zawiewa,
 I zorza bledzi lice miesiąca.

Żaden tak sokół z góry nie spada,
 Jak wieść trwożliwa, jak słowo: „biada!”
 Szybciej kamienia, gwiazdy ognistej
 Spada w dzień biały, w ranek rosisty,

I zorzę gasi i słońce mroczy,
 Serce zakłóca, wzrok łzami moczy.

O wieści smutna, czém ci tak skoro
 Zakłócać ciche serca jezioro?
 Jakiż Bóg ciebie na skrzydłach nasza
 Na opuszczone ludzkie poddasza?
 Zły to Bóg pewno, gdy mu tak skoro
 Zakłócać ciche serca jezioro.

Zbudzona Wanda z wysokiej wieży
 Z orszakiem dziewic sokołem zbieży,
 Mężka odwaga serce uzbraja,
 Myśl się w zakątku serca zataja,
 Jasna spokojna wznosi się głowa,
 Co serce czuje, to w głębi chowa,
 Stała w progu chleb niosąc, sól,
 Dobre dla ludzi, dla siebie ból.
 Spokojnym wzrokiem dobry lud wita,
 Choć smutny ranek we wzrokach czyta.
 Bogi chrobackie, jakież nam wieści,
 Jakie radości, jakie boleści
 Stary mój ojciec, jeśliż to on,
 Jegoż to strata, ojcaż to zgon?
 Jeżeli Krakus — komuż przysłało
 Jak nie mnie trwogą oblec się białą,
 Zanurzyć w żalu serce sieroce
 Na dni bez słońca, na bez gwiazd noce,
 A przecież bracia otom gotowa,
 Kędyż się wasze podziały słowa?

Zgłuchłe jaskółki niech zaszczebiocą,
Sowy niech huczą bolesną nocą.

Rodzic ci każe baczyć ogniska,
I cóż tak wasze serca przyciska?
Prędzěj niech serce trwogą nie pęka,
Nie męka wiedzieć — nie wiedzieć męka.

„Héj! hej! niedola wroga nowina,
Ojciec utracił dobrego syna,
Matka straciła wieku ozdobę,
Żal nam na barki rzuca żałobę.
Lubor, ach Lubor najduższy z młodzi
Już odpoczywa, już nie dowodzi...
Ani imienia twego nie wyda,
Zdmuchła Marzanna, duch Bohowida.
Kamienne serce w piersiach by miał,
Ktoby nie biadał, włosów nie rwał.
A jeśli tobie nie poćmi lica,
A nie pobledzi jagody kwiatka,
To cię rodziła chyba wilczyca
A nie serdeczna chrobacka matka.
Jak nie zabiadać, gdy naród biada,
Prawić, że biało, gdy w świecie czarno,
W boleści sobą człowiek nie włada,
Łży się do oczu garną a garną“.

I płacz się niewiast podniesie taki,
I drobnych dziatek, co nic nie wiedzą,
Na rękach matek u piersi siedzą
I za matkami płaczą biedaki,

Starzy się chylą w ziemię pałaki,
 A płaczka ludu żywe nieszczęście
 Do bladych oczu podnosi pięście
 Targając włosów wiszące strąki.

I huczy straszne morze niedoli,
 Gdy człek się smuci, wszystko się smuci,
 Kochana ziemia i tę też boli,
 I woda sobą gwałtownie rzuci,
 Piaski się szarym cieniem pokrywają,
 Czołami brzozy o ziemię biją.

Może go skarał Bóg jasny za to,
 Że się za ojców nie spojrział chatą.
 Żebyś ty miała serce jak wtóre,
 Lecz teraz na nic, wszystko nie w porę.
 Twego imienia więcej nie wyda.
 Zdmuchła Marzanna duch Bohowida.

„Ach! ach! niedola, kto go powróci,
 Młot Czarnoboga ziarno nam młóci.
 On jeden wrogie obalał szyki,
 Ani go wstrzymał niewiast krzyk dziki,
 On zabił Freję, on spalił wieżę,
 Mostem Luboru padli rycerze
 I nie od miecza zginął mąż władzy,
 Zatruty źródła srogimi jady,
 Lubor pochylił rycerskie skronie,
 I nad potokiem, pod dębem ścianą,
 Pierś uspokoił niespracowaną.
 Ptak nie steruje ku męża stronie,

Na zgasłych oczach gwiazda nie mruga,
 Nie wznoszą tchnienia piersi olbrzymie,
 Na niemych ustach nie brzmi twe imię,
 Umarłych taka długa noc, długa.
 Rycerz na wieczny zasypia czas,
 Wojak nad woje opuścił nas,
 Takie to wieści hej! dziewo hej!
 Zapłacz ty z nami, serce téż miej“ ...

Skończą, a dusza dziewicy wzniosła
 Świętym się ogniem cała zapali,
 Jakoby w oczach narodu rosła,
 W oczach Polanów, w oczach Górali.
 I głosem dziwnym, żałośnie dzikim,
 Co był i nutą, co był i krzykiem,
 Szaloną, straszną pieśń im zaśpiewa,
 I taniec pocznie Krakusa dziewa.
 I łuk potężny w górze wykręci,
 I pieśń rycerzu sławnej pamięci:
 „Żal nad grobami żalu dodawa,
 „Gdzie łza upada, ramię opada,
 „Zginął bohater, sława mu sława!
 „Śmierć bohaterów, Bogów biesiada.
 „A kto żałuje życia ofiary,
 „Za ziemię ojców i za ognisko,
 „Wieczne mu wstydy, wieczne mu kary,
 „Wieczna pogarda i pośmiewisko.
 „Mogiłę jego wichry rozrzuca,
 „Pamięć przepadnie po chatach norach,

„Pieśni walecznym góry zanuć,
 „I wody w polach i wichry w borach.
 „Gdy serce spodli zaraza trwogi,
 „A lica kiedy strachy pobledzą,
 „Zakrzyczą sława! ojczyste Bogi,
 „Co opuszczone po drogach siedzą.
 „Wamże to bracia żalu zadawa,
 „Że zginął Lubor w ojczystym trudzie,
 „Sława Witeziu! Luboru sława!
 „W górę topory hej! bracia ludzie.

Pieśni ty pieśni, w tobie zaraza,
 Zatargał duchy zapal dziewiczy,
 I wyskoczyły w górę żelaza,
 I krzyk się wylał szalonej dziczy,
 We młot kamienny, strzałę zatrutą,
 Wskoczyła dusza za sławną nutą.
 I co przed chwilą włosy targali,
 I co łązy leli i kroki wlekli,
 Oblicza niewiast zemsta rozpali,
 Dzieciątkiem rzuci, mężów rozwściekli.
 Sława hej sława! leca szaleni,
 Żeni się strzała z drewnianą kuszą,
 Terazże hulaj w żalu przestrzeni
 Dzika a czuła dziewicza duszo.
 Teraz ci wolno odejść milczącój
 Na białych dziewic wspartej ramionach,
 I łązę poświęcić swemu obrońcy,
 Myśl po rozpierzchłych wypuścić tonach.

Ale przed światem niech cię nie zdradza
 Ni brak wytrwania, ani łza cicha,
 Bo tylko w takim ręku jest władza,
 Co wszelką ludzką tkliwość odpycha.
 W każdéj przygodzie i w każdéj dobie;
 Czuj ziemię w sobie, czuj ducha w sobie;
 A jak to drzewo z słońca i ziemi
 Pożywne bierze do życia soki,
 Z ojczyzny siłę bierz piersi twemi;
 Do jasnych Bogów lataj w obłoki.

Odeszła... Za nią do murów grodu
 Ciągnie się biały sznur korowodu.
 I głucho, cicho, jak w ludzkiej myśli,
 Kiedy znużona w krwi głębiach drżemie,
 I tylko orzeł karpacki kryśli
 Wyższe, wciąż wyższe koła nad ziemię.

Na ucztę grobu naród się schadza,
 Swoje rogate prowadzi Reny,
 A żadna zbroja tam nie odgradza
 Owe rodzime kmiece haleny³⁾.
 Sierpy za pasem, zębate szczerbce,
 Gdzieniegdzie biały nożyk, a kółko,
 Gdzieniegdzie wianek okręca czołko,
 Góralskie one guńki a kierpce;
 Krzemienny młotek, nożyk, siekierki,
 Otóż i cała zbroja ludowa,
 A głowa szumna jak górskie smerki,
 A pierś by mchowa kora dębowa.

Schodzą się, gwarzą od bud budniki,
 Na skrawe żary ściekają tłuszcze,
 Pieką się w ogniach jelenie, dziki,
 A płomień bucha na całą puszcę,
 Wonną gałęzią, a krwią bydłą,
 Zrece ludowe chodzą a święcą
 Gliniane, w piecach palone miski
 Pasieczni złotym naleli miodem,
 Łzy się mieszają, słowa, uściski —
 Bogdaj ucztować z takim narodem!
 Starsi rządzący gromadek stami,
 Ludu chrobacki błogoć tu z wami,
 Płomień ogniska wśród lasów cieni
 Drzewa czerwieni, liła rumieni;
 Czeka ją nasi w zamglonym borze,
 Kogut już białą okrzyknął zorzę;
 A dziewy grodu nieskore nogi,
 Jakież ją zdala zdzierzają Bogi?
 Niewieście lice, a serce mężne,
 Co żniwa o niej bucha okrężne.
 I złotym kłosem miecie u stop,
 Pierwszy jój wianek i pierwszy snop.
 Takimi wieńcy wieńczą te kmiecie,
 Wianku zbożowy, pszeniczny, żytny,
 Więcej ty warty, więcej zaszczytny
 Niż wszystkie wieńce ludzkie po świecie.

Bogi hej Bogi! wszak wam to w cześć,
 Naród się garnie chleby te mieść.
 Nie raczaż Bogi wśród ludu sieść?
 Podniósł się lirnik najstarszy z koła,

Obfite włosy odrzucił z czoła
 I między ludem gromadnym wprzód
 Bogom ofiarny wyrzucił miód.
 Krople rzucone nie powróciły,
 Życzliwe Bogi czarę wypili.
 Na chłodną ziemię przechylił drugą,
 Na dobre Bogi nie czekać długo,
 K'woli się ludu życzliwie skłonią,
 Piją, wzdychają lesistą wonią.
 Lecz kiedy trzecią podnosił czarę,
 By ojców duchy ugościć stare,
 Aż nad zebrane starce i młódź
 Żłowieszcza sowa zahuka: „pójdź“!
 Aż od konarów krzywego buka
 Kukułka matka w płacz się rozkuka,
 Aż nad głowami z dalekiej strony
 Zakraczą kruki wieszczce, a wrony,
 I stary orzeł świszcząc od lasa
 Na ogień pada, ogień zagaśa.
 Szerokiém skrzydłem dusza skrzydlata
 Gasi ognisko, płomień rozmiata,
 Rwie się, gliniane rozbija czary,
 I na mrok z świstem miecie się szary.
 Więc lud się spłochnie a stary prawi:
 „Oto Bogowie uczcie łaskawi,
 Lecz pokąd miecze niemieckie dzwonią,
 Ojcowe dusze od uczty stronią,
 Jadła, napoju przyjąć nie raczą,
 Na wojnę wabią, jęczą a płaczą“.

Lećże jeleniu na leśne knieje,
 Łowca za tobą w ślad nie pośpieje;
 Na inne łowy, na inne strony
 Poniesie łowca łuk naciągniony.
 Dziki, niedźwiedzie, wasze łożyska
 Nie zbudzi rogu wrzawa myśliwska.
 Spać wam bezpiecznie jaźwcu, borsuku,
 Na dzikie zwierze szkoda dziś łuku.
 Gorszy niedźwiedzia, wilka, a dzika,
 Zwierz stalokryty lasem pomyka;
 Wróg mu na imię, Niemiec na imię,
 We krwi się pławi, oddycha w dymie.
 Kryj się po borach niewiasto młoda,
 Ściel sobie gniazdo w ziemi otworach,
 Na drzew konarach, w borsuczych norach,
 I gdzie sitowiem porosła woda,
 Przed tą niemiecką straszną pogonią
 Chyba cię bestyi gniazda ochronią.
 Ojcowie, dziady spieszą na boje,
 Miły się z swoją miłą rozstawa,
 Rady wy moje na krwawe boje,
 Wiecznie świecący sława ci sława!

Hukiem i krzykiem głuchy las gada,
 Na gromy, wichry leci gromada.
 Lecz któż to w bory niesie krok skory?
 Kto powstrzymuje ludowe bandy?
 Pachole wodza odnosi w bory
 Starganą złotą plecionkę Wandy:
 Staje — iskrzące oczy powleka,
 Nie ma jój, nie ma! głucho narzeka...

Jak liście drzewa, gdy wiatr pomiecie,
 Rzuca się starzy chrobaccy kmiecie
 Szukać gdzie czego wiatru po świecie...
 Złota jutrzeńko, gwiazdo różana
 Patrz, gdzie równianka leży wiązana,
 Patrz jak w ogniska popiołach kryje
 Niezapominki, białe lilije...

Gdy od Wawelu, grodowej skały,
 Z dobrą otuchą odszedł lud biały,
 Wanda chowając w sercu myśl żywą,
 Stargała dziewic złote przędzywo.
 Powisma lniane rzuciła w płomień,
 Po starych ojców przebiegła domie,
 I pożegnała ławy i ściany,
 Ławy i ściany i piec gliniany,
 I białe żłoby, gdzie konie poją,
 Dziewczecą przeszłość zegnała swoją:
 „Bądź zdrowe okno, progu bądź zdrowy,
 Bywaj mi zdrowy Bożku domowy“.
 I pożegnały okna swą panię
 I rzekło okno poblasków ścianie:
 „Kto mnie otworzy? kto mnie obudzi?
 Pogłuchną ściany bez głosu ludzi.
 Okna zaślepną, zajdą pomroką,
 Biedneż to moje zamkowe oko“.
 I wszystkie kąty, ławy i żłoby,
 Żalem się od téj pokryły doby,
 Próg ją ostatni zegnał milczący,

Próżno się w promień przyodział lśniący,
Jak łzawy uśmiech promień był drżący...

Domowe kąty, kontynne głązy
Obeszła Wanda siedm dziewięć razy,
I błogo szczęśnie w nią się wpatrzało;
Lele-Polele, Łado, Kupało,
Z głowy Radgościa ptak wznosił skrzydło,
Wdzięczne jej było boże Gonidło.
I wszystko miało jakby głos człeczy,
Słówko się śmiało z najmniejszej rzeczy.
Nuta rodzima rzeżko-żałosna,
I siostra brzoza i matka sosna
I dąbek śpiewał myśli jój świadek,
I jesion Jessa i buk drzew dziadek.
I modra Wisła, ta woda boża,
Niebieska córa kochanka morza,
Zda się całunkiem jój stóp dotyka,
Dla niój miłosna, dla drugich dzika,
Czuciem serdeczném drżała osika.
I każdy kwiatek w grządkach posiany
U nóg jój włókł się cień zakochany,
Kładł się po ziemi, łamał na ściany
Jak gdyby szeptał niemą żałobą:
„Nie długo będę włókł się za tobą,
Bo kogo Jesse w promień zamienia,
Już go oddziela od brata cienia“.

Lech pacholątko tak spał szczęśliwy,
Tak niepamiętny dziennój tęsknoty,

Jak śpią pod parą spowite niwy,
 Co się rozlała z téj strony do téj.
 Pachole włosy, jasne konopie,
 Na opaloną lecą pierś drobną,
 Że i oderwać ócz niepodobno,
 Takie to cudne krakowskie chłopię.
 Pod senną głową garsteczka sianka,
 I mchu coś niecoś, habry, wasilki,
 A pierwsze blaski błysków poranka,
 Pierwsze do niego lecą motylki.
 „Bracie! braciszku! moja ozdobo!
 Czy mnie nie będzie ciężko za tobą?
 Spij sobie cicho, spij odrobino,
 Radabym twoje oczy całować,
 Ej srom dziecino, przez sen łzy płyną,
 Boże Pochwiście prowadź mnie, prowadź,
 Bo mi coś serce mitręży i słabi,
 Zabijże we mnie pisklątko, zabij“...

Sam jeden za nią z rosistych traw
 Cicho się sunął złocisty paw,
 I nieżegnany, złoto-skrzydlaty,
 Jak trawkę skubał brzeżek jój szaty.
 Bywaj zdrów pawiu, bądź zdrów mój ptaku,
 I ty promieniu na złotym szlaku,
 Wanda wśród dziewic stawa orszaku.

Staje, spojrzeniem koło przebieży,
 Z kołczana sterczą strzały skrzydlone,

„Łuk mój i koń mój!“ słowo uderzy.
 Na strzały boje ona i one.
 Żadnego słowa gdzie? po co? kędy?
 Dwoma się dziewy pomiotą rzędy.
 Więc na krzyk Wandy tabunne stado
 Grzywy na wicher zatętni z błoni,
 One co zorza lecą tak do niéj,
 Na karki wichrów uzdy pokładą,
 Poskoczą dziewy, chwycą się grzyw,
 Zatętnią konie pośrodkiem niw.
 „Nikt nas nie ściga? nie widno nic...
 Starą wieżycę tuman zaciera,
 Radość przelata sto białych lic,
 Dusza na boje krew bohatera.
 „Nikt nas nie ściga? z dalekich dróg
 We mgły leniwo wznoszą się pyły,
 Dalejże koniu wyciągaj nóg,
 Prędzěj no prędzěj koniu mój miły“.
 A na to rumak jěj tylko saměj
 Znajomym głosu odpowie rzeniem:
 „Nie ściągaj ty mnie Wando rzemieniem,
 Niewidzialnymi mknę ja skrzydłami,
 W upale bitwy, w bojowych skokach,
 Rosną nam skrzydła po obu bokach“.
 I orszak dziewic taki pęd niesie,
 Że szata zda się, że w wietrze rwie się.

W las echo bieży, kukułka kuka.
 Lud szuka Wandy — daremnie szuka.

Orszak dziewicy z krzykiem i świstem,
 Tętni szerokim lasem ojczystym.
 Już pole równe, już góry w dali,
 Nieznany ogniem serce się pali,
 Oko wiatr łowi, pierś wichry chwyta,
 Pieni się rumak, tętnią kopyta...

W oku dziewicy Wawelskich wzgórz
 Roztoczył chmurę Bóg strasznych burz,
 Zemsta szlachetna siły jój wzmacnia,
 Żył nabrzmiewa biała dłoń naga.
 Oko zachodzi wściekłości cieniem,
 Lica się żywym palą płomieniem.
 Coraz to gęściej germańskich znaków,
 Po wzgórzach dymów, po niebie ptaków;
 Poznała lecąc w szalony bój
 I dąb Lubora i Frei zdroj;
 Zwróciła czoło we stronę drugą,
 Może by rzucić łez bujną strugą,
 A może temu, że z onéj strony,
 Niedola ściągnęła kości do onéj
 Ludzkie piszczele odarte z ciała,
 Porozrzucane po bożym świecie,
 W wieńcu, co sobie z ludzkich łez plecie,
 Może się do niéj nędza rozśmiała:
 „Ha! ha! ha! toć już ludu ostatki,
 Terazże będą ryczeć, rozpaczać,
 Do mnie sam! do mnie! o moje kwiatki,
 Pijane bólu koła zataczać“.

Za każdym krokiem lecącej wczwał,
 To dym od lasów spalonych wiał,
 To kruków czarne wzlatało stado,
 Biesiadujące krwawą biesiadą;
 To sosna stała z zgorzałem czołem,
 Żałobne drzewo nad zczeszłym siołem,
 Tam hełm pocięty, tam chaty gruz,
 Tam połamany germański wóz
 Z wyciętym Niemców gniazdem węzowym,
 Nad czarną bruzdą wiał płótnem płowym.
 Przy nim, na wzgórzu, olbrzymie chłopcy,
 Wiązane szaty nad mocne stopy,
 U ramion z żelaz blachy wytrwałe,
 Usta otwarte, szczęki strętwiąłe,
 Jakby ostatni oddając dech,
 Okraszał dziki, przymarły śmiech.

Jak oko sięgnie w górę czy w dół,
 Spalonych lasów dym w krąg się snuł,
 Kędy najcięższy toczył się bój,
 Rytygier obóz roztoczył swój,
 I wodzów gronem otoczon złotem,
 Na mieczu wsparty stał przed namiotem.
 Miecz mu podporą dłoni olbrzymiów,
 Tysiące świeżych pogorzel dymi;
 Ruszył się — ziewnął, dymem oddycha,
 Trwoga nań patrzy wybladła, cicha:
 Po drzew wierzchołkach wichr srogi huczy,
 Po wzgórkach Niemców stado się włóczy,
 Z Chrobat zdzierając białe odzieże,
 Psy ciągną łupy — kto im odbierze?

I oto znagła, gdzie mgli się bór,
 Zagrzmiął róg srebrny wojennych cór;
 Głos ukochany tym skałom znan,
 Od Karpat trzykroć odbił się ścian.
 Pastuch wynurzył głowę z za wzgórza,
 Czy grom przechuczał? czy przeszła burza?
 Nie jedno pasterz ubogiej trzody,
 Na góry wyszły karpackie ludy,
 Kędy się źródeł pięcioro sący,
 Od Sącza lud się wychylił rączy.

Cóż to za herold w oczach mocarzy
 Przed królem Niemców stanąć się waży,
 Piersi nie kryje srebrna kapica,
 Czoła nie kryje srebrna przyłbica,
 Ni rękawica odziewa dłoń,
 Herold dziewica wbiegła na błoń.



SPOTKANIE.

Znane te Niemcom dziewy Słowianki,
Toż się nie zdziwi oko królewskie,
Widziano w bojach dziewice czeskie,
Lecz nie widziano ujętój branki.
Pod ich piersiami, pod pasem złotym,
Zatruta świeci strzała zielona,
Ona im świeci po nad żywotem,
I mężki żywot zakończy ona.
Gdy ramię w ciężkim boju się znuży,
Żeby w ohydny nie paść niewolę,
Jak złota osa w serce ukole,
I jak przyjaciel wierny usłuży.

Wbiegła najmłodsza z Wandzinych druzek,
I „Królu! królu! hej królu“! krzyczy,
A pod dotknięciem dziewiczych nóżek,
Spina się, rzuca koń wojowniczy.

„Krakowska Wanda, Chrobatów córa,
 Na bój śmiertelny ciebie wyzywa,
 A polem bitwy będzie ta niwa,
 A świadkiem bitwy będzie ta góra.
 Czyli na miecze, czy na oszczepy,
 Miecz nam znajomy, oszczep znajomy,
 A chwałę poda albo los ślepy,
 Albo chrobacki nasz Bóg widomy.
 Bogi i wrogi nasze zrządziły,
 Bojowe wichry lasami wieją,
 A otworzone narodu żyły
 Czerwone krwawe potoki leją.
 Chrobackich ludów pełne zaśieki,
 Dymów, pożarów, ludzkiej krwi tyle,
 Niechże czerwone nie płyną rzeki,
 Kiedy rzecz łącno skończyć za chwilę.
 Jeśli ją w boju wezmiesz w niewolę,
 Twój będzie Wawel i twoje pole;
 Jeśli ją w boju ugodzi drzewce,
 I duch wypuści życiu niechętny,
 Na grób przesławny, na grób pamiętny
 Ojczystej ziemi nie braknie dziewce“.

Skończyła, mocarz skąpy we słowa
 Nie odpowiada, onżeby miał?...
 Na głos dziewicy milczenie chowa,
 Niewieście słowa jakby wiatr wiał,
 I sam się w sobie waha i chwieje,
 Czy się oburzy? czy się zaśmieje?

Wreszcie pogarda usta otwarła,
 I rycerz prawi śmiejąc się z gardła:
 „Na wyzyw dziewczki król się nie stawia,
 Chce wojny Wanda — dość ma żórawi!“

„Owoż ci błota, owo jezioro,
 Wolne jój przejście w miejsce to robię,
 Owo rycerzy skrzydlatych sporo,
 Śród których znajdzie godnego sobie.
 Na dziób żórawi ważyć się może,
 Równym z równymi walka przystoi,
 Za świadków staną rycerze moi,
 A ja hełm złoty na zakład łożę,
 Że rycerz żóraw, ptak niewzgardzony,
 Na wasze drzewce odpowie mężnie,
 I krzyk otrąbi w dalekie strony,
 We zrozumiałych wyrazach księżnie.
 Niechże przybywa ta wojny córa,
 Jeśli zwycięży, żórawie pióra,
 Lub szatę weźmie z drogich jedwabi,
 I też prześlęc, złoty sprzęt babi...

Więc tłum się śmieje, wiadome dzieje,
 Że skrzydła śmiechu śród gminu żwawsze,
 Śmieją się słudzy, gdy pan się śmieje,
 Ale zapłaczą z panem niezawsze...
 Patrz oto skóry zdarte z niedźwiedzi
 Jeszcze dymiące posoką świeżą,
 Niechże się skóry chrobackie jeżą,
 Niedługo niedźwiedź w gnieździe dosiedzi.

Ruszy go oszczep nabity ćwieki,
Z rykiem na pola pomknie z zasieki“.

„Potężny książę bacz ważność sprawy
O ziemię, lasy, góry i role;
Jeśliś tak pewny królu swój sławy,
Czemuż téj Wandzie nie chcesz dać pole?
Kraj to bogaty, bursztyn, żelazo,
Srebro i ołów, rozliczne zboża,
Zabierzesz wszystko za jedną razą,
Góry, szerokie pola, dwa morza,
I tysiąc grodków, grodów i siół,
Chatek jak ulów, ludów jak pszczoł.
Pod twe zwycięzkie upadną nogi
Po naszych lasach drewniane Bogi:
Jeśliś tak pewny twojej wygranej,
Potężny królu wznies ramię boże,
Królewski okręt roztrąca piany
I wały morskie bezpiecznie porze.
Cóż ci w tém królu, że fale wstaną,
Gdyś ty okrętem a Wanda pianą?
Śmiechy i gniewy trzęsą motłochem,
Czyń wielki królu, jeśli masz prawo,
Jeśli ty Bogiem, Chrobacya prochem,
Jeśli ty kosą, Chrobacya trawą...
Wszak od początku bój to nierówny,
Bezbronne ludy wciąż klęski biorą,
Niechajże spadnie głowa królownej,
Czemu się wahasz przed tą zaporą.
Cóż ci w tém królu, że fale wstaną,

Gdyś ty okrętem, a Wanda piana?!“
 Więc król z uśmiechem rzecz kłamliwym:
 „Pozwalam na bój, lecz słowem klnę się,
 Ze jeśli Wanda ramię podniesie,
 Chybabym nie był Gotem prawdziwym,
 Gdybym inaczej jak nagą dłonią
 Bez rękawicy nie sięgnął po nią.“

Wracaj a ponieś skórę zewlekłą,
 Strzała ta Chrobat poszuka skrzelem,
 Krakusa skórę ze krwi ociekłą
 Rozwieszę nad tym waszym Wawelem!
 A twą królewnę, powiedz, co czeka,
 Tylko związane ręce powrozy,
 Tylko przykutą do króla wozy,
 W niemieckie bory droga daleka.
 Żelazne prawo w kraju tym dzikim
 Zniszczenia nędznych rodów dokona,
 Oderwać każe dziecko od łona
 Przemawiające Chrobat językiem!
 Moje są waszych zasiewów plony,
 Ojcowie, matki i niewolnicy,
 Mieczem rozdzielam męża od żony,
 Bez mojej woli młodzian dziewicy,
 Ni rolnik ziemi nie nazwie swoją!
 Bogi rozbiją żelazne młoty,
 Za prawo tarcze niemieckie stoją,
 Za Bogi stoją żelazne Goty.
 Idź i nieś wolę pana stu mórz,
 Tak ma być odtąd i tak jest już“.

„Będzie jak Bogi zdarzą“, lecz na to
 Król już nie raczył odeprzeć słowem,
 Piersi obrzucił szatą bogatą,
 Powiódł po świecie licem surowym,
 Po którym z Bogów uśmiech szydebnym
 Przeleciał szybko jak wężyk złoty,
 Do takiej prostej jak rzeź roboty,
 Jakież Bóg królu? na co potrzebny?

Na zwykłe ucztę rycerskiej hasło
 Miecz o miecz tysiąc mieczów zaklasło.
 Niewiasty Niemców od biesiad zdala,
 Dłonie pod piersią, to z kolan wiszą,
 Biciem serc uczcie w krąg towarzyszą,
 Brzęki roznosi pogodna fala.
 A są tam oczy z długięm spojrzeniem
 Jak kraj daleki, jak wielkie morze,
 Których się lica wydają śnieniem,
 Na niezmierzonym marzeń przestworze
 W ich dłoniach czary kute w bursztynie,
 A gdy pieśń bardy podniosą w górę,
 Jak mgły jeziora wstają Niemkinie,
 Czar sławy chwyta niemiecką córę:
 Wstaje, podnosi czasz napełnioną,
 Z bardem się łączy i z harfy stroną,
 A głos rycerzy pola oniemia,
 „Ogień nam ogień! Ziemia nam ziemia!“
 Jedna z tych dziewic w króla wpatrzona
 Zda się, że tęskni, zda się, że kona...

Królewskie imie z jej ust nie schodzi,
 Za każdym krokiem wzrok błędny wodzi;
 A każdy okrzyk piękne jagody
 Powleka pąsem od ocz do usz,
 Podobnie słońce we wiośnie młodej
 Maluje czoła chrobakich wzgórz.
 Dla drugich bóstwa za życia progiem,
 Dla niej on ziemią, dla niej on Bogiem.
 Serce się wzrusza rycerską chwałą,
 Czuła ta fala na cichym stawie
 Najłżejszy powiew porusza całą,
 Żyje, oddycha w królewskiej sławie,
 A on... on przyjma jak cześć należną
 Wzroki, co płoną, wzroki, co gasną,
 I ani raczy spojrzeć na śnieżną,
 I ani raczy spojrzeć na krasną...
 Westchnęła takie niewieście losy,
 Loty powietrzne i męka brzemia,
 A tu lśnią miecze, a tu grzmią głosy:
 „Ogień nam ogień! Ziemia nam ziemia!”
 I już wojenny orszak się spieszył,
 Podnieść księżęcia na srebrnym szczycie,
 Kiedy grzmot kopyt słuchy ich przeszył
 I straż obniosła Wandy przybycie.
 Hulaszcza zgraja wnet się pochmurni,
 Jakby wiatr powiał z karpackich turni;
 I gromadami po wzgórzach staną,
 Rycerze, żony, Goty, Normandy,
 A starcy po za struną harfianą
 Ciekawym wzrokiem szukają Wandy.

Ha! ha, przybywa, prosim na gody
 Ostatnia ptaszka z Krakusa gniazda,
 Héj! nie ostatnia, cepowe rody
 Z kotlin prowadzi karpacki gazda.
 A cicho idą bez rogów krzyku,
 Bez blasku mieczy, bez tarcz brzękotu,
 I niewidzialni stają do szyku,
 Drzewce do drzewca i młot do młotu.

Dumo ojczysta zagłuchła w grobie
 Pod mogiłami dumo leżąca,
 Wyjdź matko dumo na światło słońca,
 Niech i dzisiejsi świadczą o tobie,
 Żeś nie umarła — że twoje lice
 Tąż samą straszną walką się chmurzy —
 Że twoje lice to błyskawice
 Tej nieskończonej narodu burzy!
 Wyjdź matko dumo, złote wrzeciono
 Pieśniowój przedzy niechaj zawarczy,
 Rozrzuć twe włosy, rozedrzej łono,
 Pyły otrząśnij z rycerskiej tarczy!
 Rozplątaj węzły starganej przedzy,
 Uderz po strunach krwawą zagadką,
 W dniach poniżenia, w ostatniej nędzy.
 Dumo ojczysta! matko! wstań matko!...

Śród wirów piasku, który rozmiela
 Szalona Boga dłoń Pochwiściela,
 Na białym wzgórzu, na którym wstawa
 Mchowołodyga dziewanna złota,

Gdzie nie porasta najlichsza trawa,
 Tylko to jedno ziele — sierota,
 Bieli się, śnieży chmurom na wzór.
 Na wichrach koniach sto białych cór.

Rytygier dosiadł konia olbrzyma,
 Żelazne nogi, obuwie z stali,
 Kiedy się rumak w wicherze rozszałi
 Przypłaszczy żebra i dech zatrzyma,
 Jak wicher, kiedy poderwie chmurę,
 Wypuścił rumak trzy sążnie w górę,

I wraz muzyka harf cudnie brzmiąca
 Szemrze nim w burzę głosów się wzmoże,
 Jak w naszych polach we dnie gorąca
 Szemrze dojrzałe chrobackie zboże.

Z orszaku dziewic poważna, biała,
 Konna dziewczica pomknie jak strzała,
 I w tył zwrócona z drzewcem nad głowy
 Zaświeci konia czterma podkowymi.
 Oczy się z oczmi zbiegły, spotkały,
 Wrzkomo dwa Bogi — czarny i biały.
 Królewskie oczy w pysze zastygły,
 Usta odęte, pierś mężka przodem,
 Myśli zebrane w sobie nieścigłe,
 Zmarszczki zebrane na czole młodem,
 Włos na ramiona leci w kosmykach,
 I po złocistój kolczudze rzęży,

A dłoń potężna, co nawet cięży
 Na Cymbrach, morskich wód rozbójnikach;
 Za chwilę krwawym zetrą się bojem,
 On straszny burzą — ona spokojem.

„Nie znasz mnie dziewczko, ni méj potęgi,
 Smoczysz ja karków naginam kręgi“.
 A Wanda czystym słowa potokiem:
 „Znam ciebie królu, o znam, o znam,
 W śnie cię widziałam w podziemiach tam,
 Ty węzów królem, ty smoków smokiem!
 Dotąd jam była siebie niepewną,
 Dotąd jam była senną królewną,
 Lecz dziś przedemną stawa sen jawa,
 Jesse nad tobą miecz mi oddawa,
 Wiecznie świecący sława ci sława!“
 Rzekła, a urok taki z niej świeci,
 Że ręka barda od strun odleci,
 Od wianka z habrów płonących maków
 Sznur się złocisty przez pierś przewleka,
 A włos rozwiany na wiatr ucieka
 Ptak najpiękniejszy z niebieskich ptaków.

I harfy szumią jak morskie fale,
 Kiedy się lecą rozbić na skale...

„Pocóżes przyszedł do naszej ziemi,
 Nie dość ci było stu srebrnych mórz,
 Aby pod nogi duch wydać memi,
 I w kraje ciemnych odlecieć dusz?!

Musisz, gdyś przyszedł, pod miecz niezlomny,
 Musisz, gdyś przyszedł wróżby niepomny,
 Freja, pamiętasz, patrz mgła z nad łąk,
 Nie znasz téj chmury, nie znasz tych łąk,
 Deszczem nad tobą spadnie ta łzawem,
 Bóg naszym prawem, miecz naszym prawem,
 A harfy dzwonią jak srebrne fale
 Kiedy się lecą rozbić na skale.

„Gdzież twoja siła? drży ludów książę!...
 Słowo drży, Niemcu mowę rozwiąże,
 Kiedy wzgardliwe dziewicy słowo
 Brzękło okrutnie nad męża głową:
 „Nasza to siła, nasza waleczność,
 Trwogę wam niesie długą jak wieczność.
 We węże, smoki, dziwy przybiera,
 Smok czy król wężów, duch bohatera.
 Imię to moje strach w was obudza,
 Imię to moje krew w was ostudza.
 Złość zwyciężonych mężom pochwała,
 Szaleństwo słowa siłą ich całą:
 Nie bojem z tobą zakończę sprawę,
 Z mężami walczę walcząc o sławę“ ...

Nie pędsze koła głównia z popiołu
 Chwycona ręką chłopięcia kryśli,
 Jak ona grozi boku, to czołu,
 Tu owdzie spada z szybkością myśli:
 To puści konia, to cofa wstecz,
 A wiatr wykręca prochu kurzawą,

Co sięgnie Wanda, to krzyknie: prawo!
 Co ów się rzuci, to krzyknie: miecz!...
 Raz dwa po tarczy! raz dwa na drzewie!
 Dłoń się napróżno ściąga ku dziewie.
 Zły bies na ziemi wybył swój czas,
 Uderzy — Niemcu rozwiąże pas.

O ho! szczęśliwie i wnet przysięga
 Poszła zkąd przyszła, z myśli ją zbył,
 Cofnął się rycerz, topora sięga,
 Z toporem w dłoni rzuca się w tył,
 I gdy ta z ciosem wybiega wtorem,
 Jak błyskiem w oczy pomiótł toporem...

Zwiło się w wietrze żelazo krwawe,
 I tylko Wandy spadł włosów promień,
 I tylko żywszy z ócz błysnął płomień,
 Słońce upadło na złotą trawę;
 Ścięta dziewanna upadła sucha,
 Na kwiat, na włosy polny wiatr dmucha.

A harfy szumią jak srebrne dzwony,
 Gdy głos w powietrzu brzmi rozniesiony.
 To zagrzmie nuta, to drży daleka,
 Niby ze świata dusza ucieka...

O wielkie Bogi! cześć wam o! cześć.
 Sam Jesse musiał rękę tam nieść,
 I cios odeprzeć, co w łono biegł,
 Topor odleciał, Jesse jój strzegł...

Z Lelem-Polelem, z Świstem-Poświstem,
Z całym orszakiem Bogów ojczystym.

Po górach oko powiodła skrzące,
I znać dojrzała oszczepy lśniące.
Zatacza z koniem z lewój, to z prawój,
Hulajże, hulaj dziewico sławy.
Jako rozbita na skałach rzeka
Tym więcej huczy, im głębiej spada,
Tam na wierzchołku przejrzysta, lekka,
Zda się taflami srebra układa,
Lecz gdy na brzegi przyjdzie Siklawa,
Na skałę, co jój bok jasny bodzie,
Aż ci w téj cichój, spokojnej wodzie
Taka okrutna burza powstawa,
Rzuca się, pieni, szaleje, wali,
Srebrnym ramieniem wiszącój fali,
W dłoń bierze tęcze, burzy się sroma,
I wije mieczy złotymi stoma.
Drżą pod jój siłą świerki, kamienie,
I pędzi w przepaść we wieczne cienie.

Z tą samą siłą Wanda się ciska
Na puklerz, co jój w oczach wciąż błyska,
Falą Siklawą zabłysła ręka,
Dosięła tarczy i tarcza pęka.
Wrzкомо pod słońcem wiosenną porą,
Kiedy zamarzłe pęka jezioro,
Promień słoneczny krysa przez lód,
Tak stalna tarcza pękła królewska,

Przez złotą zbroję krwi poszła kreska,
 I rycerz poczuł bojaźni chłód.
 Z za pozłocistéj szyszaka kraty
 Zda się go żegnać rycerskie życie —
 Jakiś Bóg jasny, straszny, skrzydlaty,
 Boki mu w chłodne ściska powicie:
 Miecz zadrżał w dłoni i w otwór krat
 Oszczep dziewicy piorunem wpadł.
 I węże oko wtłoczył aż w mózg,
 I zbroję zboczył złocistych łusk...
 Rytygier z konia stoczył się sreber.
 Rozdarta zbroja spada od żeber,
 Zwinął się u nóg Wandy zwyciężkiéj,
 A z tłumu Niemców krzyk wypadł klęski...
 Wandę otacza orszak dziew zbrojny,
 Straszliwe pole nieznanéj wojny,
 Mieczem z książęcia wydartym rąk
 Kark, co się z głową żelazną sprzągł,
 Rozprzągł się krwawo u Wandy nóg
 I wisi brocząc proch górskich dróg.
 Na widok boju wodze górali
 Z zastępy ludu pomkną z oddali,
 Gdy w pierwsze Niemców ciągnących rotę
 Kopije dziewic jako dėszz złoty
 Uderzą z brzękiem, gwar, bitwa wstawa,
 Wiecznie świecący, sława ci, sława!

Ze śmiercią króla w chwili zamieszek
 Orłem na Niemce uderzy Zbieszek,

Przemko sokołem, tarcza Lesława
 Górą, gdzie bitwa toczy się krwawa.
 I długa kopja żelazna sięże
 W ścieśnione jednym łańcuchem męże ⁴⁾.
 Sieciech i drudzy czynili swoje,
 Jako skorupy trzaskały zbroje,
 Młot nie próżnował z rana do zmroku,
 Śmierć na niemieckim siadała oku.
 Pod ołowiane wzbita obłoki
 Grabarzy trupów dzika gromada:
 Orły, jastrzęby, kruki, a sroki,
 By czarnym śniegiem na pole spada.
 Wilki a lisy, leśna czereda,
 Na wiatr zadarte uszy kosmate,
 Skrzydlatéj braci ubiedz się nie da,
 Bogi téż sutą biorą objatę,
 Krew, co w ziemie z ludzkich ran ścieka,
 Poświst niebieskim przelata szlakiem,
 Po czarnych chmurach piorun się wścieka,
 I gdzieś ognistym spada zygzakiem,
 A wrony, krucy z wilkami w sporze
 Wiją się, wichrzą, lecąc na padło,
 Dajże im Boże, piorunów Boże
 Na każdą wiosnę takowe jadło.

W kotlinach Karpat, kędy po żwirze
 Szeleszczą bystrej Białki strumienie,
 Wylękłe echa swe skrzydła hyże
 Niosą na skały szare kamienie.

Gdzie oset szumi i róża dzika
 Nieśmiało z skalnych szczelin wynika.
 Z wzgórza do wzgórza wiesć się, obnosi
 Od mchu, co stopy pacholąt rosi,
 Do wonnych gajów, do wirchów jodeł.
 Od pięci stawów do siedmi źródeł,
 Bawole rogi bojowym krzykiem
 Jakby je senna przyniosła zmora,
 Strumienia lecą srebrnym wężykiem
 Szumią rybiego falą jeziora.

Aż do téj skały, u której stoku
 Giermański spiewak z harfą u boku
 Przyległ, ugodzon chrobackim cepem,
 Sięgając ziemi skroplonej dłonią,
 Jakby przed mrokiem wieczystym, ślepym,
 Jeszcze się pragnął zadzierżyć o nią.
 Nie uspiał — ręka na harfę spada,
 W skałach się tkliwa struna rozgada,
 Żałosnym jękiem o klęsce nowéj,
 Starcowi pobok dziewica biada,
 Po piasku włócząc długi włos płowy.
 W jéj oku klęska odbita cała,
 Nic nie brakuje z wojny obrazu,
 Jak upadały ciała na ciała,
 Jak szło żelazo przeciw żelazu.
 Daremnie ręką zetrzeć się sili,
 Śmierć je usłużna zetrze po chwili.
 Chrobacka strzała pod piersi śnieżne

Wpiła swe złote usta lubieżne,
 I pocałunek wciska zatruty,
 I krew dziewiczą z pod serca toczy,
 Na starca pieśni, na harfy druty,
 Mgłą zachodzące powleka oczy,
 A usta szemrzą klątwę straszliwą,
 Na harfę złotą, na głowę siwą:
 „Bogdajby wichry niemieckich mórz
 Szarpały barda za pieśni run!
 Bogdajby gromy chrobackich burz,
 Rozbiły harfę złocistych strun!
 Wasze to czary śpiewy przeklęte
 Po krajach świata rycerzy wiodą,
 Po cudzych ziemiach tarcze wygięte,
 Żagle wydęte nad cudzą wodą;
 Waszym to pieśniom krew się należy
 Tylu rycerzy — tylu rycerzy!
 Gdyby nie struny te sławą brzmiące,
 Oczom by moim nie zaszło słońce.
 Przeklęte struny! przeklęte łona!
 Przeklęta dusza zapłomieniona!
 Przeklęta strzała, co krew mą pije!
 Przeklęty świat, co w oczach się wije!“

A bard wieńczzone unosząc czoło
 Srogiego cepu grzmotem strzaskane,
 I dłonią kreśląc ostatnie koło
 I tocząc usty konania pianę
 Odeprze pięknej królewskiej córce:
 „Szalone serce boje przeklina,

Rycerskie życie wichry a burze —
 Ramię rycerza, ramię Odyna...
 Śmierć przeznaczona spada z wysoka
 Poskokiem wilka srogięgo Loka.
 I tylko podła dusza się żali,
 Gdy się jęj życia brama zawiera,
 Piękniejsza brama ojca Baldera,
 Piękniejsza brama złotęj Walhalli.
 Tylko niewieścia dusza się chwieje,
 Schwycona w szpony hydnej obawy,
 Nie dla niej miody Walkyrja leje,
 Nie dla niej złote Walhalli ławy.
 A czyjeż dłonie, jeśli nie wasze
 Rycerzom złote podają czasie?
 Wam to niewieście, płochliwe plemię,
 Rycerz przynosi ogień i ziemię.
 Wam, co ogniska strzegąc popiołu
 Dzierżycie wzroki nad wilczą rodem,
 Na radość niewiast chmurnemu czołu
 Sławy swęj rycerz przypija miodem.
 To milczeć tobie i konać w ciszy,
 Ponury Loke z wichrów się schyla,
 I żarem śmierci złoty wąż dyszy
 Okręcający pień Idragsyla.
 Nie ludzkie czyny a boskie drogi,
 Wicher niebaczne słowa rozmiata,
 Co tobie harfa? — przeklinaj Bogi!
 Niemieckie Bogi chciwe krwi świata.
 Nadejdą czasy, stary świat spłonie,
 Bogi się w inną skórę obleką,

Pokoju nuta po świata stronie
Opłynie ziemię srebrzystą rzeką,
Lecz te dni nowe...

I z tymi słowy
Na harfę śpiewak pochyli skronie,
A pod ciężarem upadłój głowy
Pękać poczyna strona po stronie,
Ale królewska córa nie słyszy
Germańskiej harfy srebrnego żalu,
W umarłych głuchój spowita ciszy
Na roztoczonym krwi swój koralu.

Wicher śród Karpat zawodzi ryk,
Księżyc w natłoku chmur czarnych znikł.
Hej to nie księżyc, nie mgła to sina,
Nad duchy świeci tarcza Odyna.
Srebrzysty miesiąc, a pod nim tam
Duchy powietrzne, znam was, o znam!
Rytygier groźną wznosi buławę,
Tłumy go niosą, bard śpiewa sławę,
Niemcom naprzeciw z strony odległej
Mgłami Chroboty drogę zabiegły,
Widzę Lubora z chrobackim cepem,
Pod nim starego ptaka Radyma
To pod miesiącem, to nad wertepem,
Na wałach czarnych wódz stopę trzyma.
I szumią wichry, kłębią się chmury.
Pod srebrną tarczą nad szczytem góry.
Rrwą się w objęcia, wódz gromem gada,
Huk, łomot młotów, krwawy dėsycz pada:

Przepadał, obmył z krwi czarnej pole
I lecą dalej w górze, to w dole...

Od skał kotliny, od serca gór
Na rogach wodzów dwunastu chór
Karpacka skała skale podawa:
„Wiecznie świecący sława ci, sława!”



MOGIŁA KRAKUSA.

Na wieży grodu, na czarnéj wieży
Orzeł w szerokie skrzydła uderzy,
I leci w niebo na chmury sine,
Cień na srebrzystą kładąc dolinę.
A gołąb prawi z wieżycy wtórej:
„Kędyż lot orle sterujesz skory?
Oto pogoda, oto żniw doba,
Kędy wesele, po co żałoba?
Jakież cię sprawy we słońce gonią,
Orle twe pióra kędyż tak dzwonią?
Czy je chcesz spaleć we słońca żarze,
Kto ci na słońce wybiegać każe?“
A na to orzeł: „Pacholi ptaku
Po krakusowym lecę ja znaku,
Lecimy w słońca żary, płomienie,
Tam lecą orły, gdzie poszły cienie.
Za wodzem lecim, dzień zaszedł nocą,
Po wodzu orły krzyczą sieroco“.

Wyżej i wyżej skryła go chmura,
Poleciał orzeł spaleć swe pióra.

U skały Kraka, przy białym grodzie,
Stały smutno dwie szare łodzie:
Na jednej męże, w prawicach miecze,
W prawicach miecze, łza z oczu ciecze.
Na drugiej łodzi wielkiej z modrzewia
Spoczywa władza tarczy a glewia.
Odziany szatą w strzepy złociste
Krakus we strony wraca ojczyste;
Tylko o dziwo, z pod szat okrycia
Żadnego znaku nie daje życia,
Czyby tak zasnął mąż mieczo-władzy?...
Nad nim lirnicy chylą się dziady,
Trącając struny, żałobne struny,
Ojczystej pieśni tęskne piastuny.

I głos się z złotój liry dobywa,
Pierwszy głos leci, po nim łza spływa,
I mięsza fale Wisły kryształu,
Śpiewają wodzu, śpiewają ciału;
I lica w bruzdy zmarszczek pokryte
W prawice kryją i łzy obfite...
Innymi czasy krzyk sławy ptaka
Ze snów najcięższych budził wojaka—
Lecz dziś on czoła nie dźwignie senny,
Sen go ogarnął ciężki, kamienny,
Z dalekich brzegów, gdzie drzewią lasy,
Łowieckich słyszeć rogów hałasy—

Lecz wodza huczne nie zbudzą rogi,
 Wyprostowane kamienne nogi.
 Zwlokły się starce, ojce Chrobaty,
 W ślad ich westchnęły otwarte chaty,
 Niewiasty lecą nad Wisły brzeg,
 Śnieg szat, oblicza zawstydza śnieg,
 I jęki słyszać z żalu wybrzeża,
 Wawelska kniejom poda je wieża.

Kiedy łza ludu popłynie szczodra,
 Niegdyś on chwycił za miecz u biodra,
 Dziś się nie ocknie, darmo nad tonią
 Jastrzębie skrzeczą, kukułki dzwonią,
 Znużony wiekiem, nie wrogów mocą
 Krakus się wieczną otoczył nocą,
 Po bitwie zasnął, a sen znać błogi,
 Tak śnią we chwale potężne Bogi.
 To niechże liry we dniu pogrzebu
 Chwałę rycerza niosą ku niebu.
 Dajcież mu topór, złote pieścienie,
 Co je nakładał na męzkie ręce,
 Mieczem okręcim garnek palony,
 A jak u bioder lśnił zawieszony,
 Tak niech okręca garnek z popiołem,
 Mogiłę sutą wzniesiem nad czołem,
 Któżby się wahał garść ziemi nieść,
 Ziemi rodzinnej rycerzu w cześć.

Więc od kamienia nad wodą białą
 Siedm wraz złocistych luteń zabrzmiało

Niemiecką klęską, chrobacką chwałą.
 Uciekaj biesie, człek dary niesie,
 Chwała ci, chwała potężny Jessie!
 Już się i słońce chyliło w dół,
 A naród wodzu kopiec wciąż suł:
 W rękawach zniosło chrobackie plemię
 Na grób Krakusa ojczystą ziemię.
 Ziemią się sławy zwłoki pokryły,
 Komuż nie zajrzeć takiej mogiły?..
 Miotą ziemicę, płaczą żałośnie,
 Pierś ludzka rośnie, mogiła rośnie,
 Ponieśli drzewo, złożyli stos,
 Płaczki się rozległ krzykliwy głos,
 Żałobna płaczka lice by szpony
 Rwie paznokciami do krwi czerwonej.

Już ogień mężki otacza zwłok,
 W ogień ciekawy zadziera wzrok.
 Gdzie piękne lice starca się świeci,
 Mężką powagą, uśmiechem dzieci,
 Olbrzymia tarcza świadek twych dzieł,
 Z białych, śmiertelnych błyszcząca żgieł
 I przez płomienia falę ruchliwą
 Twarz miał ojcowską, cichą, szczęśliwą,
 Tylko ten jeden nie świecił wzrok,
 I zdał się ruszać z boku na bok,
 Dziwną jasnością śmiało się niebo,
 I stos ojczysty był mu kolebą.

Aż ci od Karpat tentent daleki
 Uderzył w brzegi ojczystej rzeki.
 A była chwila, gdy uczta tryzny
 Miodem koła bóle ojczyzny.
 I spowijała tę przedzę złotą,
 W której żar bucha za łez tęsknotą;
 I nowe boje wstają z dna czary,
 Biesiada święty, obyczaj stary.
 Kiedy bawoli róg zagrzmiął zdala
 Nutą tak błogą uchu górala,
 Jakby na zdrowie starostów, kmieci,
 I dwojgu młodych, co skokiem leci
 Po wieniec sławy na żerdzi smolnej,
 Głośny huk rogu przyniósł wiatr polny,
 Przyniósł i rzucił i skrzydła zwinął,
 Wichrem przyleciał, Wisłą popłynął.

Na tentent koni ucichła wrzawa,
 Biesiadne koło ucho podawa...
 Lech tylko jeden na brzeg wiślany
 Zwraca zdziczały wzrok obłąkany.
 Znają ci Niemców głucho podkowy,
 Niemców podkowy, wicher zimowy.
 Pędzą na błonie orły czy konie,
 Przed białe stoły orły, sokoły,
 Oj nie sokoły a sokolice,
 Na Wawel tętnią, na swą ziemię.
 Nie Niemiec szumi, nie wicher zawiewa,
 Od Karpat spieszy Krakusa dziewa.

Długie jój włosy wicher rozwiewa.
 Jak wicher Wanda przybiega lotem,
 U nóg jój wisi hełm z wieńcem złotym.
 Schyli się k'żebrom konia bez strzemion,
 Zaświeci hełmem królowa plemion
 I czerep dumny wyniosło-czoły
 I hełm na zgliszcza rzuci popioły
 Z oczu jój spadnie łez bujnych zdroj,
 „Tobie to ojciec umarły mój!
 Z tym hełmem złotym ty możesz rzec,
 Szczęsny, kto z zemstą w grobie mógł leż.
 A wam Bogowie, cześć jaką dam,
 To co najdroższe, co jedno mam:
 To co się chwałą przez wieki płaci,
 Rycerską dumą i łzą współbraci“...
 Rzecz i pędem puści się w dal,
 W wiślaną z koniem rzuci się fal.
 Srebrnej się wody fale rozbryzną,
Cześć tobie starych Chrobat ojczyźnie!!!

Pękły podwoje szklanego łoża,
 Gdzie na dnie złota świeci się zorza,
 Teraz jój łożo družki wyścielą,
 Białym księżycem ściany wybielą.
 Chór złotych rybek senną otoczy,
 I wyciątuje niebieskie oczy.
 Jutrzenka gwiazda w niej się zakocha,
 Spiewak ją wyśni, słowik wyszłocha.
 Nogi jój wikle rokita skryje,
 Pierwszy co rano promień obwieje,

A wieczna sława i wieczny żal,
Wleją się w bełty Bałtyku fal.

Taką wam dumę na lirze złotej,
Śpiewa po wielkich ojcach sieroty
Przekłęte dziecię wydziedziczone,
Że dłoń na wolną składało stronę,
Chwała wam wielcy wodzowie kniej;
Chwała wam starzy ojcowie hej!
Grzmiej burzo! wicherze szalony wiej?



DUMKA WYGNAŃCA.

Na dolinie na zielonéj
Widzę w dali wioskę małą,
Domek płotem ogrodzony,
Na zakręcie brzozę białą;
Do gościńca droga długa,
Na niéj lipy i topole,
Poza wzgórzem srebrna struga,
A za strugą szczere pole.
Nawet kwiatki także prawie,
Na pagórku, na przydrożu,
Dziki piołun w bujnéj trawie,
I bławatki rosną w zbożu.
Gdyby jeszcze tam na boku
Krzyż się chylił na rozstaju,
A dąb siwy u potoku,
Tobym myślał: żem już w kraju.

Jaka cicha szczęsna chatka,
Przy niéj matka, dziewcząt dwoje...

Czemuż to nie moja matka?
 Czemuż to nie siostry moje?
 Słońce zaszło za lasami,
 Lud wesoły idzie z pracy,
 Czemuż się nie cieszę z wami?
 Czemuż wyście nie Polacy?

Ptak powrócił w swoje gniazdo,
 Zwinął skrzydła utrudzone,
 Chmurna losów moich gwiazdo,
 Gdzież mnie wiedziesz, w którą stronę?

Płyńcie! płyńcie łzy tęsknoty
 Nieutulne łzy tułacze,
 Może jeśli dzień przepłaczę
 Noc przyniesie mi sen złoty.



Matko moja! Matko!

Miaśto moje rodzinne, tyś nad Wisły brzegi
Rozniosło domki swoje rybackie szeroko,
Co jak dzieci wybiegły patrzeć na komiegi,
Jak śmiało przecinają Wisłę modrooką.
A twój zamek poważnie przez wyniosłe drzewa
Ojcowskimi oczyma ze wzgórza migoce,
A twych dzwonów litanja falą się rozlewa;
Pomnęż ja twoje ciepłe nadwiślańskie noce,
I te orylów głosy z daleka od saskiej,
Dolatujące słuchu, i te wiosel pluski,
Kędy wietrzyk na falach drobne zbiera łuski,
A na nich gwiazd miljony drżą srebrnymi blaski.

Ileż razy, z daleka od pałaców gwaru,
Patrzałem upojony siłą twego czaru,
Wiśło rodzinna wodo, jak na twym przestworze
To sieć rybacka duma, to ognisko gorze,
Gdzie moknie drzew spojonych długa giętka tratwa,
Na której słomą kryta pochyla się budka,

A na wicinach lega małodbała dziatwa
 O wygodę nocleżną, gdy noc letnia krótka,
 Więc i skrzypek przygrywa, aż gwiazdy pobledzą
 Pierwsze promienie świtu — ciągnie się dym szary,
 A owi niby dęby zadumane siedzą,
 A tu już proporczyki wiewają galary,
 Już rybitwa skrzydłami wodne fale muszcze,
 Hej! lasy, moje lasy, Nieporęckie puszcze,
 Tylem się razy w one wpatrywał sierotka,
 Że mi tych czarów piękna Italia nie skłuci,
 I zda mi się że woń ich ogarnia mnie słodka
 Jaskółka w duszy lata i młodość mnie czmuci...
 Choć przygody i lata włos odwiały z głowy,
 Choć się szeroko zmarszczki po mym czole piętrzą,
 Choć doli wicher szumi ponury, grudniowy,
 Dusza nigdy nie była jak dzisiaj gorętszą.

Miasto moje rodzinne, tobie ja z oddali
 Posyłam pozdrowienie: Witaj matko stara,
 Codzień tobie śpiewają aniołowie biali,
 Których ta zawsze pełna Nadwiślańska fara,
 I na twój rynek lecą ich godziniek słowa,
 W serca dobrego ludu, co rzeźki i gwarny
 Broni się hożą pieśnią przeciw myśli czarnej.
 Warszawo! matko moja, ty matko ludowa!
 Ruchoma a wciąż jedna jak wiślane łożo,
 Pozdrawiam cię z oddali:

Matko szczęść ci Boże!



JASKÓŁKA

Dudo nasze, dziewczę nasze
Wybiegło za sioło;
Jaskółeczka drobne ptasze
Lata przy niej w koło,

A tak czasem szybko bieży
Ptasze uprzykrzone,
Że o ledwie nie uderzy
W jej włosy kręcone.

„Daj mi pokój moja miła“ —
„Nie mogę, nie mogę,
Twój braciszek mnie wysyła
Do ciebie na drogę“.

„Codzień on z za rdzawej kraty
Śpiewa piosnkę swoją,
Jaskółeczko leć do chaty,
Zobacz siostrę moją.“

Czy j  j modre oczy du  e
Cicha łza nie rosi?
I czy jeszcze biał   r    
W jasnych włosa   nosi?..



Za Aniołem.


Aniele! pójdę za tobą,
Matkę i ojca zostawię,
I brata, z którym się bawię,
Nic a nic nie wezmę z sobą.
Zostawię ogródek, drzewa,
I naszą cichą izdebkę,
Moją plecioną kolebkę,
Przy której matka mi śpiewa,
Siostrę w pieluszkach malutką,
Co jeszcze mówić nie może, —
Kij z dziadkiem, z kościaną bródką,
Na którym jeżdżę po dworze; —
Zostawię nawet sukienkę,
I tak w koszulce jak stoję
Mój srebrny — podam ci rękę,
I pójdziem sobie we dwoje.

Jak nam gdzie zbójcy zaskoczą,
Lub ciemna gradowa chmura,

Twoje mnie skrzydła otoczą,
I ja się skryję pod pióra, —
Jeśli mi nóżki zemdleją,
Albo zmęczony zadrzemie,
Ty mnie nieść będziesz kolejną,
I znowu spuszczać na ziemię. —
Jak będzie świtania blisko,
Zanucim pieśni w niebiosy,
Pod wieczór pójdziem na rzysko
Po złote pszeniczne kłosa. —
A jak noc ziemię okryje
I gwiazki zaświecą jasne,
Ja cię obejmę za szyję,
Główkę pochylę i zasnę.



KOŁYSANKA.

d wieczora do poranka,
Od poranka aż do zmroku,
Niech mi dzwoni kołysanka,
Aż usiedzie sen na oku.

Słodkie dźwięki wiejskiej nuty,
Jak szemrzącej potok wody,
Jako pereł sznur rozsuty,
Na kolanach panny młoděj.

Nawołana z brzegów Buga,
Prześcignęła ptaki w locie,
I snuje się srebrna, długa,
Jak dziecinny sen po płocie.

„Co przynosisz mi z oddali?”
„Nie maliny, nie orzechy,
Nie sznur pereł, ni koralí,
Lecz westchnienia i uśmiechy.

Szum żywicznój polskiěj sosny,
 Świeżość ojczystego chleba,
 I z pod piersi coś żałosnój,
 I coś z wiosny i coś z nieba“.

„Jakże ja cię ptasze wieszczę
 Piosnko płocha przyłaskawię?
 Gdzie najlepšíj cię pomieszczę?
 Czém najlepšíj cię zabawię?“
 „Gdzie chcesz... dla mnie wszystko jedno,
 Mnie piastunka twa przysyła,
 Żebym, gdy ci lica zbledną,
 Rumieńcem je pokrasiała.
 I mówiła mi piastuna,
 Polska twoja matka droga:
 Weź ze sobą do bieguna
 Miłość ludzi z wiarą w Boga;
 Niech z modlitwą oczy zwierza,
 A śmieje się, gdy otwiera“.

Wieczorami, gdy blask słońca
 Pooświeca szare ściany,
 Odezwiéj się tęskna, drżąca,
 Głosem siostry zapomnianéj:
 Niech oparłszy się na rękę
 Zasłucha się w twoim brzęku.

Ja podówczaś z Karpat śniegiem,
 Z dwu morzami, z cieniem borów,

Z rzek ojczystych płowym brzegiem,
 Z obfitością moich zbiorów,
 Z ludy, z trzody, z ptastwem w jarze,
 I z grobami się pokażę.

Poodśłaniam mu przed okiem
 Zmarłych śpiących snem głębokim,
 Po kościołach w murów cieniu,
 Przy bijącym nań promieniu,
 Z górnych okień, gdzie prześwieca
 Przez obrazy tarcz księżycy,
 I na piersi śpiących zniża
 Przenajświętsze znamię krzyża.

O żórawiach, orlich piórach,
 Przeprowadzę dziady mężne,
 I aniołów jak na chórach,
 W długie trąby grzmiać mosiężne,
 Chór błękitną mgłą owiany,
 Białło-srebrny jak organy.

Za anielską nutą cichą,
 Wyjdzie ojciec piast z Rzepichą,
 Z nad jeziora, z pod jawora,
 Co zasępia się w błękicie,
 Nago-piersi w lnianej świcie
 Za obuwie z lipy kora.
 Postrzyżony w krąg na czole,
 Obyczajem swego rodu,
 Białe chleby, plastry miodu,
 W zakasanej niesie pole;

Za nim szczęsne swemu rado
 Pobrzękuje boże stado,
 Moc narodu, a w spokoju,
 Jako pszczoły na wyroju.

Potém święta pieśń Wojciecha,
 Rozlegnie się w długie echa,
 I w perłami dzianej szacie
 W modrzewiowej gdzieś komnacie,
 Gdy powietrzny chór zaśpiewa,
 W gronie mężów stanie dziewa,
 Aby wieczna była zgoda,
 Nie lubemu rękę poda,
 I z mężami skrzydlatymi,
 Nie tykając prawie ziemi,
 Zasłuchana w hymn godowy,
 Pocznie taniec dwuwiekowy.

Potém ciężki dzwon Zygmuntów
 Podniesiony aż ku niebu,
 Zawrze w sobie jęk pogrzebu,
 I straszliwe hasło buntów;
 I wystąpią cienie Wazów,
 Jakieś nieme jakby z głązów. —
 Przy powolnym tańca zwrocie,
 Ujrzy miecze, orle strzepy,
 Ale stary miecz przytępy,
 Orle skrzydła na odlocie.

Potém jakby od kolebki
 Dźwięk roztrąci wiatru fale,

Kosa błysnie w dłoni krzepkiej
 I mąż wyjdzie w samodziale,
 I rozpoczną dawne tany,
 Same świty i sukmany.

Potém zgłuchnie pieśń rodzima,
 Cienie znikną przed oczyma,
 I ustami jakby kwiecia,
 Co się barwnie w polach wije,
 Odezwie się myśl stulecia,
 Jeszcze żyje, jeszcze żyje.
 I miecz żaden jój nie zgładzi,
 Lecz kto taniec poprowadzi?

Czy skrzydlaty? czy sukmany?
 Wierny sługa Maryi Panny?
 Pacholątko co zasłuży
 Na niebiańskiej łaskę róży.
 Że z uśmiechem mu dozwoli
 Wziąć na ręce zbawcę ludu,
 Jakiś kłosek z polskiej roli,
 Szczere dziecko jego trudu;
 Co i samo nie wie o tém:
 Ile wyda pod omłotem. —

.

A jeżeli się zaszlocha,
 W świat uderzy bezprzytomnie,

To znak będzie, że mnie kocha,
 Że pamięta jeszcze o mnie.
 Wtedy wierna moja słuگو
 Idź za każdym dziecka krokiem,
 I śpiewaj mu długo, długo,
 Jak sierota nad potokiem.
 Biedny będzie, czy bogaty,
 Znany w świecie, czy nieznany,
 Czy za kratą, czy bez kraty,
 Czy kochany, niekochany...
 Nieś mu codzien z swój oddali,
 Nie sznur pereł, ni korali,
 Ale zapach polskiej sosny,
 Świeżość ojczystego chleba,
 I z pod piersi coś żałosnej,
 I coś z wiosny i coś z nieba.

Niech przy gminnej pieśni strunach,
 Gdy niewiernych otchnie trwoga,
 Kołysze się na biegunach,
 Na dwu skrzydłach, Polski — Boga.
 Niech mu gorycz będzie błoga,
 Chmura jasność ma szafiru,
 Aż dłoń brata, czy dłoń wroga
 W ciemny grób mu sypnie żwiru.

Kołysanka już nie śpiewa,
 Choć nie śpiewa, słyszę przecie,
 Jak w ojczyźnie szumią drzewa,
 Jak usypia matka dziecko,

Jak jaskółka u przedsieni
Srebrny pacierz swój szepleni,
Jak tajemnie na uboczu
Łza upada z jasnych oczu.



ORZEŁ POLSKI.

Roztocz skrzydła orle białe
Od Wawelu skały,
Od Tatr śnieżnych aż do Dźwiny,
Aż po Bałtyk siny.

Roztocz skrzydła orle polski,
Od Czarnego morza,
Ode Dniepru do Pomorza,
Aż po kraj Podolski.

Poostrz dzioba po skał grzbiecie,
Spojrzyj się po świecie,
W twojem gnieździe stariej sławy
Siedzi ród plugawy.

W cudzém ręku stary Kraków,
Lwów i Halicz sławny,
Szukaj orle swych Polaków,
I ojczyzny dawniej.

Patrz gdzie Wilno, gdzie Warszawa,
 Gdzie Dniepr szumny bieży,
 Orle polski twoja sława
 W ciemnej toni leży.

Gdzieżeś podział swoją chwałę,
 Siłę swą młodości,
 Gdzieżeś podział berło białe
 Ze słoniowej kości?

Złote jabłko Jagiellonów
 Wypuściłeś z szponów,
 Powiedz orle, gdzie się chowa
 Korona Piastowa?

Z nad skał szczytu orzeł kracze:
 „Héj! a kto tam płacze?
 Co za pisklę orła wzywa,
 Co we słońcu pływa“.

„Ja nie ptaszę z niskich dachów,
 Szarpię chmurę ciemną,
 Ja król ptaków i król Lachów,
 Pioruny podemną“.

„A korona leży w chacie
 Aż do przejścia burzy,
 I w swą chwałę majestacie
 Rychło się wynurzy“.

Ocalała we dniach próby
 Unieśli ją męże,
 Pod nią Litwa dawne śluby
 Z Polską zaprzysięże.

Nie pytajcie, kto ją włoży,
 Komu przeznaczona,
 Na kim będzie palec Boży,
 Na tym i korona.

Kmieciu dały niebios gońce
 Z polskich dziejów wschodem,
 Nim zabłysła jako słońce
 Nad Krakowskim grodem.

Może wróci jak przed laty
 Do Piastowój chaty,
 A może ją naród Boży
 Przed Bogiem położy.

I zabłysną złote świty:
 Prawdy, męztwa, zgody,
 I nauczą się narody
 Rzeczypospolitěj.

Tėj rycerskiěj i ofiarněj,
 Wiary, cnoty, miru,
 Od murzyńskiej ziemi czarnej,
 Do lodów Sybiru.

Skończył, szumią skrzydła ptasze
Od brzegów do brzegów,
W dali dzwonią gdzieś pałasze
Rycerskich szeregów.



NOWY NASTRÓJ.

Po chałupach w noc zimową
Kołysałem dzieci,
Teraz śpiewak z piosnką nową
By ptasze podleci.

I zadzwoni struna głośniej,
Jak Bóg żywy w niebie,
Rośnijże mi serce, rośnij,
Ojczyzno dla ciebie.

Alboż ja to zapomniałem
Moją Polskę drogą?
Alboż ja tam nie kochałem
Nikogo? nikogo?..

Alboż mnie tam nikt na świecie
Myślą nie przytomni?
Alboż mnie tam żadne dziecko
W modlitwie nie wspomni?

A zkądże mnie dochodziły
Westchnienia więzienne?
Z czegoż mnie się dnie złożyły
I marzenia senne?

Z jednéj Polski, z jednéj ziemi,
Z jednego zakątka,
Między braćmi wygnanymi
Ja — mała pamiątka.

Co zaśpiewam, krajem wieje
Jak wiatr z naszéj błoni,
To boleści, to nadzieje,
To szczęk polskiej broni.

Możeć Pan Bóg mi pozwoli
W nasze lasy wrócić,
I przyjaznym sercom k'woli
Przy ognisku nucić.

Gdy w ojczyźnie nie usłyszysz
Ni wrzawy, ni jęku,
Tylko jedną piosnkę ciszy,
I ptaka w okienku.

I organy po świątnicach,
Gdzie lud Bogu śpiewa,
I śmiech dziewcząt przy krynicach,
I szumiące drzewa.

Wtedy! wtedy! lecz to jeszcze
 Daleko... daleko...
 Szumią skrzydła polskie wieszczce
 Po nad czasu rzeką.

A co w czasie? o nie jedno
 Serce się zatrwoży,
 I nie jedne lica zbledną,
 Przy świecącój zorzy.

I nie jedno, bracia wierni,
 Serce bić przestanie,
 Nie jeden się krzyż zaczerni
 Na ojczystym łanie.


Wszystko, wszystko w Bożej dłoni,
 Ja patrzę w niebiosy,
 I wiem, że mnie tam zadzwoni
 Dziadek siwowłasy.

I że z tymi spoczną razem,
 Co skończyli dzionek,
 I że gniazdko pod mym głazem
 Uwije skowronek.

A gdy wiosny powiew świeży
 Wzbudzi kwiatów roje,
 Nad dolinę ptak wybieży
 Jak te myśli moje.



KURPIE.

zumi gaj, szumi gaj,
Po kraju, po długim,
To mi świat, to mi kraj
Nad Narwią, nad Bugiem.

Szumi bór, szumi las,
Sosna rośnie smolna —
Zboża nic, piasku w pas,
Ale dusza wolna.

Nie masz łąk, nie masz pasz,
Drogi wiatr zawiewa,
Lecz gdyś nasz, to je znasz
Po zacięciach drzewa.

Stary las — to nasz stryj,
Siwa wrona — ciotka,
Zwierza moc, zwierza bij,
Grzmoć co się napotka.

Borem dzik` pędzi w dal,
 Zacne to zdobycze,
 Strzelbę chwyć, żwawo pal,
 Dobrze schaby dzicze.

Szumi bór, szumi gaj,
 Szumi gałązeczka,
 Wolny kraj, leśny kraj,
 Środkiem płynie rzeczka.

Kurpik w nim po za pniem
 Ze strzelbą się sadzi,
 Kulka w lot nocą, dniem,
 Dzikie bestye gładzi.

Dzielny człek Kurpik nasz
 Choć obuwie z łyka,
 Prawdy chcesz, spojrzuj w twarz,
 I w serce Kurpika.

Przyszedeł bój, z Moskwą bój,
 Wrzawa się rozniesie,
 Moskal mknie — bratku stój,
 Kurpik siedzi w lesie.

Zszedeł się tłum, z kumem kum,
 Wszyscy sobie kumy,
 W lesie szum, cichy tłum
 Bierze na rozumy.

Trza się zbyć, trza się bić
Uradziła wioska,
W lasy bież, strzelbę chwyć,
W kim dusza kurpioska.

Szumi gaj, szumi gaj,
Szumi gałązeczka,
Wolny duch, wolny kraj,
A z Moskali sieczka.



KOŃ PRZYJACIEL.

Przyjaciół prawdziwy
To mój konik siwy,
Dziwnéj cnoty zwierze,
On mnie towarzysze
Jak niańka kołysze,
Jak przyjaciel strzeże —

Po polu, po lesie,
Przez łąki, przez niwy,
Kto mnie tak poniesie,
Jak mój konik siwy?

Na wrogów szeregi
Kto ze mną poskoczy?
Kto zna ich przebiegi?
Kto pierwszy zaoczy?
Kto piersią, kopyty,
Podepce te zgraje?

Kto pyłem okryty
 Do boju wciąż staje,
 Gdy trąbka zadzwoni,
 Pod lasem na błoni?

Kto rany odbiera
 Jak człowiek na wojnie?
 Kto na nie spoziera
 Cierpliwie, spokojnie?
 Jeśli nie mój siwy
 Konik długo-grzywy.

To téż tak go cenię,
 Że za złota górę,
 Za królewską córę,
 Za nic nie zamienię.

Jak się skończą boje,
 Jak pobijem wrogi,
 Nad ojczyste zdroje
 Powrócimy z drogi;
 Mój koniku tobie
 Będę owies kosić,
 Zasypywać w żłobie,
 Świeże sianko nosić;
 Napasę na trawie,
 We Wiśle wypławię.

A dziś siwku miły
 Trza dobywać siły,
 Dziś się żołnierz trudzi,
 Dziś my obaj chudzi.

Jednak z chętną duszą
 Każdy się sposobi,
 Człeka wiatry suszą,
 Koń bokami robi.

Lecz nadzieja grzeje,
 Odwaga w hułanie,
 I koń ma nadzieję,
 Że u żłobu stanie.
 Bo to mądre zwierze,
 Tyle że nie gada,
 Polskich synów strzeże,
 I jak żołnierz pada.

Kiedy kulka grzmotnie,
 Kto westchnie za ciebie,
 Nad grobem samotnie
 Konik nóżką grzebie.
 Oczy jakby łzawe,
 W dół spuszczone głowa—
 Istne serce prawe,
 Tylko brak mu słowa,
 I tylko od bólu
 Rży w dalekim polu.

Gdy żołnierz zwycięża,
 Trąba sławę głosi,
 Wie jakiego męża
 Na swym grzbiecie nosi.
 Wędzidło wciąż w pianach.
 Oko blaskiem świeci,


Że po polskich łąnach,
Polskie nosi dzieci.

Przyjdzie czas mój druhu,
Że wrócim do chatki,
A cicho jak w uchu
Na dworze u matki.
Cichutko przed świtem,
Na wschodzie blask zorzy,
Gdy brzękniesz kopytem
Chata się otworzy:
I siostra jak łania
Wyskoczy z pośłania,
I matka z alkierza
Patrzy — niedowierza.

Może czas ten blizki,
Chwila niedaleka,
Mnie matki uściski,
Ciebie żłobek czeka.
Mnie ręka kochana
Przywita znów tkliwie,
I ciebie co rana
Pogłaszcze po grzywie;
Pogłaszcze, napoi,
I chleba da jeszcze,
Nie dziwcie się moi
Że się z koniem pieszczę,
Bo to druh prawdziwy,
Ten mój konik siwy.—



Kosynierka.

iecie co to kosyniery,
A co oni czynili?
Kosyniery — naród szczery
Srodze Moskali bili.

Niech powiedzą Grochowiska,
I Chrobrza i Opatów,
Niechaj powie Święto-Krzyzka,
Jak my bili żołdatów.

Lecieli my żwawo, śmiało
Na Moskala piorunem,
A najlepiej nam się działo
Pod Francuzem — Roszbrunem.

Sam nie doje, nie dopije,
A o ludziach pamięta,
Nic nie pyta jeno bije,
Srodze sztuka zacięta.

W polu stoi naród wieski,
 Naszych kładą, a kładą,
 Aż tu leci pan Waleski,
 Dalój bracia gromadą.

Kupa ludu, staruszkowie,
 I dzieciaki ochota,
 Jak Waleski dalój powie,
 W krzakach Moskal niecnota.

Od zagaju naszych praży
 Roszbruna nam zabije,
 Wziął Waleski gospodarzy
 Wiwat! Polska niech żyje.

Jak się puści Polska szczera,
 Jezus! święta Maryjo!
 Chłopska kosa nie przebiera,
 Matko Boska jak biją.

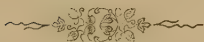
Jednym cięciem przez połowę
 Przecinali jak szczapy,
 Ten przez plecy, ten przez głowę,
 Popłatanie kacapy.

Ażć z onego zagajnika
 W jedno oka mignienie,
 Polak krzyka, Moskal zmyka,
 Jako sarny, jelenie.

Bez pamięci my lecieli,
 Uciszyły się krzaki,
 A Roszbrunek się weseli,
 Wiwat! naprzód Polaki!

Po pagórkach wiara stała,
 Cały naród się schodził,
 Na Roszbruna spoglądała,
 Co Moskałom dogodził.

Oj! żeby to nie to co to,
 Co to mówić nie miło,
 Z taką wiarą, z taką cnotą,
 Jużby Moskwy nie było.



POŻEGNANIE.

Przed progiem chaty pielgrzym wędrowny
Żegnał się smutny z dziećmi wiejskimi,
Unosząc w sercu żal niewymowny,
Że się na długo rozstawał z niemi.
Pastuszą lirę z korbeczką małą
Trzymał pod pachą i kij sękaty,
Swoją tułaczą chudobę całą,
Jaką z spalonej ocalił chaty.
Chciwie powietrze rodzinne chwycił,
Usta milczące drżały widocznie,
I patrzył w niebo — jakby się pytał,
Kędy znużony znowu odpocznie?...
Powiędłe liście dębów omszonych,
Chłodny wiatr rzucał pod jego nogi;
Dużo tych liści szronem zwarzonych
Leciało szumiąc pośrodkiem drogi.
A pielgrzym smutny o takiej porze,
Odchodzić musiał w daleką stronę,

W świat niegościnny za wielkie morze,
Na obce, puste brzegi zamglone.

„Bywajcie zdrowe dzieci maleńkie,
Już ja wam więcej śpiewać nie będę,
Pod siwym dębem już nie usiedę,
I nie pokręcę złotą lirenkę.
Bywajcie zdrowe, — niech was otacza
Zbawiciel świata swoją opieką,
Niechaj was cicha piosnka prostacza,
Piosnka miłości karmi jak mleko:
Piosnka, powiastka, którą wam plecie
Wiejska dziewczyna jedna za drugą,
O jasnym niebie — o innym świecie, —
O świętych ludziach — długo tak długo...
Aż wam się oczki do snu przymrużą,„
A we śnie do was lecą aniołki,
Na łąkę ciepłą, gdzie kwieciea dużo,
Same lilijki, róże, fijołki:
A wszystkie kwiatki do nóg się kłonią,
I aż się proszą, żeby je zbierać,
I tak przedziwnie wzdychają wonią,
Jakby z miłości chciały umierać.
Dla was świat cały bez żadnej zmazy,
Jak woda w srebrnym, żywym potoku
Czysty jak czysta źrenica w oku,
Lśniący jak świętych złote obrazy,
A miłujący jak serce matki;
A sprawiedliwy jak ojca ręka,

Niewinny jak wy maleńkie dziatki,
A miły sercu jakby piosenka“.


„O w takie światy niech was powieści
Dziwne, czarowne, unoszą zawdy;
Lepiej wam jeszcze nieznać boleści,
Lepiej wam nieznać okrutnej prawdy.
Pokąd spokoju i niewinności,
I świetnych marzeń o cudów kraju,
Pokąd nadziei, wiary, miłości,
Dopotąd szczęścia, dopotąd raju;
Potém... lecz co tam — doznacie sami,
Lub nie doznacie przy łasce Boga,
Ni długich godzin, co płyną łzami,
Ani powietrza, głodu, ni wroga“.

„Jam doznał wiele, lecz smutek skryję,
Na nowe idąc biedy tułacze;
Mógłbym już nie żyć — a jednak żyję,
Mógłbym zapłakać — jednak nie płaczę.
Bóg więcej cierpiał, a ja nikczemny,
Czemużbym nie miał wytrwać do końca?
Jeśli dziś błędzę wśród nocy ciemnej,
Da Bóg za grobem ujrzę blask słońca.“

I z temi słowy pielgrzym ubogi
Odszedł w dalekie nieznane strony,
Jak liść lecący pośrodkiem drogi
Chłodnym, jesiennym, wichrem pędzony.



MARCIN BORELOWSKI LELEWEL.

j Zwierzyniec nasz, Zwierzyniec!
Spójrzij przyjacielu...
Za Wisłą się bieli Tyniec,
Zamek na Wawelu:
Płynie galar za galarem,
Szumnym suną pędem,
Woda bieży w polu szarém,
Za topoli rzędem.
Oj! topolo Zwierzyniecka,
Oj! Wiśło jedyna,
Śpiewałaś ty dla dziecka,
Małego Marcina.
Ojciec nosił wapno w skopku,
Lada czém się żywił,
Szczęśliwszy ty stary chłopku,
Niżli pan Radziwiłł;
Szczęśliwszaś ty matko miła,
Niż największa pani,
Coś dzieciątko to karmiła,
Co Polsce hetmani.

Kołysała się dziecina,
 Aż wykołysała;
 Od Marcina się poczyrna,
 Nowa Polski chwała.
 Cześć dla ciebie Lelewelu,
 Coś nas poił chwałą,
 Lelewelów będzie wielu,
 Borelowskich mało.

Hej! ty chłopie, chłopie małe,
 Gdzieś ty się uczyło?..
 Widziałoś ty polską chwałę,
 W polu nad mogiłą.
 Naszej Wandy grób zielony,
 Na mogiłskich łąkach,
 A Kościuszki z drugiej strony,
 Krakus na Krzemionkach.

Na mogile, kiedy stanie,
 Spojrzy na niebiosy,
 Coś tam szepcze: „Krakowianie,
 Do kosi! do kosi!”
 Chłopie słucha, wzroki szerzy,
 Wisła szumi brzegiem,
 Od Maryackiej spojrzy wieży,
 Do Karpat pod śniegiem.
 Kraj dokoła malowany,
 Bujne błonia, pasze,
 Nasze góry, nasze łąny,
 A przecie nie nasze.

Nadwiślańska topól szumi,
 Liść liściu podawa,
 Kto ma serce, ten zrozumie,
 Kędy polska sława.
 Jak wzrok sięgnie po kraj świata,
 Niewola, niewola;
 Tylko z Karpat orzeł lata,
 Na ojczyste pola.
 Tylko jeden orzeł wolny
 W Karpat okolicy,
 Tylko orzeł i wiatr polny
 Co nie zna granicy.
 A tu serce rwie się k'czynu,
 Uderza jak młotem,
 A świat woła: „czekaj synu,
 Co potém?... Co po tém?
 Héj, co potém... w Bożej dłoni
 Ludzkich dziejów wątek —
 W Bożej dłoni los téj брони,
 A w ludzkiej początek.
 Coś tam w pieśniach pieją wieszczce:
 Że Polska być musi,
 Ale długoż czekać jeszcze,
 Nim się kto pokusi.
 Dosyć nam już Polskę marzyć,
 Trzeba się odważyć,
 Na marzenia próżne słowa,
 Ludzka krew się zpsowa.
 Tak to myślał Marcin sobie,
 W cudny letni dzionek,

Na Krakusa cichym grobie,
 Patrząc z nad Krzemionek.
 Jeszcze dzieckiem w ciche lato,
 Ręce w górę wznaszał,
 I czapeczką wiał rogatą,
 Jakby braci spraszał.
 Do mnie, do mnie bracia mili!
 Daléj! śmiało daléj!
 Do mnie bracia, będziem bili
 Niemców i Moskali!
 Będziemż latać za konikiem
 I gonić Tatara,
 A z Moskałem siedzieć dzikim,
 I słuchać się cara?
 Będziemż śpiewać: Wanda leży,
 A czcić ród zdradziecki,
 I musztrować się w odzieży
 Moskiewskiej,
 Wszaké nas liczą na miliony
 Ludu, co w łzach mięknie,
 Niechże raz już hukną dzwony
 I kośa zabrzęknie!
 Ale głosu nikt nie słuchał,
 Marcina dzieciny,
 Wietrzyk słówka precz rozdmuchał,
 Jak te puchy z trzciny.
 I świat piękny, ten świat cały,
 Gniótk mu piersi młode,
 Od karpackiej śnieżnej skały
 Po wiślaną wodę.

Żywot taki to męczeństwo,
 Lud się wyknął kłonić,
 A on chciał na nabożeństwo,
 Po swojemu dzwonić.
 Nie ma rady, miły Boże,
 Złe nam wiatry wieją,
 Co tu jeden człek pomoże.
 Gdy wszyscy nie śmieją.
 Czas ucieka, życie z czasem,
 Kłopot, nędza, troski,
 Powędrował borem, lasem,
 Rzemieślnik krakowski.

Cztery lat się z kijem włóczył,
 Wędrówka się wiodła,
 Ot i w końcu się nauczył,
 Jak dobywać źródła.
 Suchą ziemię wciąż przewierca
 Źródło z głębi bucha,
 Żebyż to tak ludzkie serca,
 Jak ta ziemia sucha...
 Cicho, cicho, coś w nagrodę
 Wciąż mu szepcze w duszy,
 Dobywaś ty z ziemi wodę,
 Dobędziesz i z duszy.
 Tylko szukaj między swymi,
 Gdzie się wody kryją,
 Tylko zważaj, w jakiej ziemi
 Czyste źródła biją.

Marcin spojrział w świat weselój,
 Serce się podniosło,
 A im dalej szedł tém śmielój
 Wiodło się rzemiosło.
 W niskich chatach, po warsztatach,
 Po miejskich gospodach,
 Po wędrówki długich latach,
 Zwiedział się o wodach.
 Poznał studniarz polską ziemię,
 Wmiesił czapkę krasną,
 Żyje jeszcze polskie plemię,
 Niech mnie gromy trzasną...

Héj! Warszawoż! ty Warszawo!
 Ty kochane gniazdo,
 Stare miasto, stara sławo,
 Całej Polski gwiazdo!
 Kto się smuci, temu gorzój,
 Niech go piorun spuka,
 Niech się święci ludek Boży
 I studniarska sztuka...
 Naród Polski Boga błaga
 I czci imię Boże,
 Lecz kto sobie nie pomaga,
 Bóg mu nie pomoże...
 Nie ma broni, lecz są dłonie,
 Kto tam mędrków słucha.
 Gdy są dłonie, będą bronie,
 Tylko trzeba ducha.

Jedno życie matka dała,
 Razci umrzeć trzeba,
 Na toż praca nasza cała,
 By się dobrać chleba?
 Że ktoś zginie, ot gadanie,
 To i tak trza zginąć;
 Ale Polska raz powstanie,
 I znów będzie słynąć.
 I świat o nas kiedyś powie:
 Że nie z łaski króli,
 Lecz że Polskę jój synowie,
 Po kuźniach wykuli.
 Wyszyli ją krawcy złotem
 Na Polskim obszarze,
 Nie pytajmy, co tam potém,
 Reszta się pokaże...

Ducha! ducha! wiara krzyczy,
 A pobijem wrogi;
 Kto ofiary dla cię liczy,
 Polski kraju drogi?...

Czy w czuwaniu, czy we spaniu,
 W pracy, czy przy szklance,
 Inni myślą o kochance,
 Marcin o powstaniu.
 Żadna myśl nie przeszła płocha,
 Po głowie prostaczej,
 Kto ojczyznę szczerze kocha,
 Nie może inaczej...

Polska mu się przypomina,
 Spustoszone łąny,
 Polska woła na Marcina:
 „Tyś mój syn kochany“.
 Miła żona, miłe dziatki,
 Miły domek człeku,
 Lecz on wyssał miłość matki
 W niemowlęcym wieku.

Słońce ledwie dachy bieli
 Przy świętej niedzieli,
 Ledwie złoci wieże z rana
 U Świętego Juna.
 A nasz Marcin już w odzieży,
 Po mieście się suwa,
 Śpieszy Marcin do młodzieży,
 Co pod strychem czuwa.
 Jako ptacy w domu cichym,
 Otrząsnąwszy pióra,
 Gdy dół drzémie, tam pod strychem
 Obraduje góra...
 Oj! toć ptactwo rychło wzleci
 Na wolności słońce,
 Polskie ptactwo, polskie dzieci,
 Do boju gorące.
 Stary Zygmunt się zadziwi,
 Nad ich lotem hyżym,
 Co nad miastem w dół się krzywi,
 Z pałaszem i krzyżem.

Zadziwi się Święto-Janka,
 Nadwiślańskie strony,
 Gdy jednego we mgłach ranka,
 Hukną w miejskie dzwony.
 Zadziwi się zamek stary,
 Co się w słońcu bieli:
 Bo tak wielkiój w Polsce wiary
 Nigdy nie widzieli.
 Nagie piersi krwią się zboczą,
 Wsiąknie krew do gruntu,
 I kamienie z ziemi skoczą,
 I krzykną „do buntu!“ —
 Śpieszy Marcin, drżą mu wargi
 Między chłopskie fury,
 Rankiem ciągnie lud na targi,
 Zamiejskie Mazury.
 Marcin znany wszemu światu,
 Co powie, to święte,
 I lud wierzy mu jak bratu,
 I bierze zachętę;
 Parobczaki palą z biczu,
 Śmieją mu się kmotry,
 A ulicą chłopak krzyczy:
 Héj! Moskale łotry!...

I duch jakiś w serce wpada,
 Jak wiosenne wianie,
 Jedna babka drugieć gada:
 „Dzwonią na powstanie...

Przeszły krwawe dni lutowe,
 Śpiewy, łzy i jęki,
 Naród przetań ze snu głowę,
 Ręka, szuka ręki.
 Stań! cały z świętą wiarą,
 Krwią zboczył kamienie,
 I przyklęknął przed ofiarą,
 Jak na podniesienie.
 Śród świętego ludu dzieła,
 Brzęknął im głos dziarski:
 „Jeszcze Polska nie zginęła,
 Na trąbce pocztarskiej.
 Głos ten wzbudził dawne czucie,
 Śród świętego gminu,
 Zadzwoń! mu w téj nucie,
 Wielka chwila czynu.
 Poglądni! na się społem,
 Zdjęci świętym buntem;
 Marcin stał z pogodnym czołem,
 Pod królem Zygmuntem,
 I czapeczką swą rogatą,
 Ludowi się kłaniał,
 Gdy nad Polski krwi utratą,
 Głucho dzwon podzwaniał.
 Witaj, witaj ludu dzielny,
 Powtarzał z pokłonem,
 Taki tylko nieśmiertelny,
 Kto pogardził zgonem...
 Toż się młodź weń zapatrzyła,
 Jako w obraz Boski,

Gdzie jest dusza, jest i siła,
Wiwat Borelowski!

Już go teraz nie zapomną
W ten dzień niedaleki,
Bo im duszą się niezłomną
Zapisał na wieki.
Blacharz kryje miejskie dachy,
Obija korable,
Kto potrafi kować blachy,
Ukuje i szablę.

Młódź się patrzy na blacharza,
Marcin wąs pokręca,
Siła jakby u mocarza,
Wesołość dziecięca.
A o sobie ani słowa,
Siła, praca, wiara,
Nocą tylko szable kowa,
Na gruby kark cara...

W to mi graj, do takiej strony
Tanecznicy zlecą,
Pójdzie taniec, oj szalony,
Oczy się rozświecą.
Po szerokim Polskim łąnie
Zatańczą mazura,
Kiedy krzykną na powstanie:
„Hura! bracia hura!”

Borelowski poszedł w lasy
 Na zioła swobody,
 Co tam trudy, co niewczasy,
 Co tam niewygody!
 Głód i chłód, i różna dola,
 Posłanie na śniegu,
 Głód i chłód to nie niewola,
 Nie zajdziesz tam szpiegu.
 Daléj bracia, żwawo, śmiało,
 Śnieg się biały ściele,
 Sam nas Pan Bóg stroi biało,
 Na Polskie wesele.
 Hej! do kosy, hej! na tany,
 Borelowski skinie,
 Grzmią po lesie tarabany,
 Echo w boru ginie.

Borelowski wszystkich duszą,
 On im serca grzeje,
 Chociaż nie chcą, śmiać się muszą
 Kiedy się zaśmieje.
 W sprawnym szyku bracia stoją,
 Szereg grzmi ochotą,
 Takie serce pod kapotą,
 Jak pod złotą zbroją.

Ktoś tam kiedyś pięknieńj spíše
 Ojczyste koleje,
 Ja wam śpiewam, towarzysze,
 Rzemieślnicze dzieje.

Marsz kowalski tryumfalny,
 Na cygańskiej strónie,
 Jako dzwonnik parafialny,
 Jak umię, tak dzwonię.

Różne losy leśnej braci,
 Raz górą, raz dołem,
 Raz pobije, raz potraci,
 A wciąż z braci kołem.
 Toż i liście z drzewa lecą,
 A wciąż drzewo stoi,
 I znów jasne kosy świecą
 W rękach braci mojej.

Kto powiedział, że lud kmieci
 Polską sprawę hydzi,
 Tego niechaj biédnych dzieci
 Gromada zawstydzi.
 Pokimże to pozostały
 Te chłopcy, dziewczynki,
 Pokimże to dzieci dały
 Grosz na wypominki?
 Jak nie po téj kmiecój wierze,
 Co nie żadna cześci,
 Która kosy w ręce bierze
 I ginie bez wieści.
 Kto wychodzi dla rozpaczey,
 Dla bólów bez miary;
 Lecz u chłopstwa to inaczej,
 Ci giną dla wiary.

To téż każdy kmieć zabity
 Z uśmiechem na ustach,
 Jasne lica, białe świty,
 Jakby na odpustach.

Co oddziałek jaki zginie
 Dzielnej Polskiej wiary,
 Jużci jakby nur wypłynie,
 Drugi oddział szary.
 Niechno Marcin krzyknie ino,
 Ludzie aż się proszą,
 I jak kłosa nad doliną,
 Kosy się podnoszą.
 Moskal prawi, że to czary,
 Że sztuka szatańska,
 A to siła świętej wiary
 I dusza hetmańska.

Nie rozpoznać go po stroju,
 Ze świecideł, znaków,
 Lecz go łatwo poznać w boju,
 Że to wódz Polaków.
 Bo jak gołąb' stado wiedzie
 Krążąc nad poddaszem,
 Borelowski wciąż na przedzie
 Z dobytym pałaszem.
 Bo jak w ptastwie równość wszelka,
 Lecz posłuszne loty,
 Tak w obozie jedność wielka,
 A posłuch dla cnoty.

Niech się pany w sztaby bawią,
 W rachunki, w pisanie,
 Jemu stoła nie zastawiają,
 Stół ma na kolanie.
 Po wstańce go poznać może,
 Po ojczystém godle,
 Odpoczywa w ciemnym borze,
 Na zrzuconym siodle.
 Przy nim tłumno, że aż czarno,
 Jak ul na wyroju.
 Z wszystkich stron się k'niemu garną
 Ochotnicy boju.
 Sandomierzak idzie srogi,
 Rusin od Zamościa,
 Idzie Mazur boso-nogi,
 A wódz wita gością.
 Z każdym uścisk rad podzieli,
 I pogada krótko,
 I z każdym się poweseli,
 Poczęstuje wódką.
 Jak przy ojcu dom, rodzina,
 Różne barwy, stroje,
 Nie ma miodu, nie ma wina,
 Lecz są dzieci moje...
 Między braćmi Marcin stawa:
 Trunek w usta płynie,
 Byle żyła Polska sprawa,
 Niech Lelewel zginie...
 W złą godzinę wyrzekł słowo
 Nasz hetman ochoczy,

Toż mogiłą sławną, nową,
 Kraków się otoczy.
 Dosyćby już na trzech było,
 Dość Wandy i Kraka;
 Oj mogiło, tyś mogiło!
 Wieżę dla Polaka...
 Na trzy strony kopce stoją,
 Odprawują warty,
 Rychło będą sypać twoją,
 Marcinie od czwartej...

Już domierza Marcin końca,
 Świecąc nad narodem,
 Jak największe lice słońca,
 Nad samym zachodem.
 Zanim zgaśnie twarz słoneczna,
 Pierwój świat oświeci;
 Nim go skryje ciemność wieczna,
 Podziwcie się dzieci.

Oj! wy pola Terespolą,
 Oj! ty rolo święta,
 Co to męztwo, co niewola,
 Moskal popamięta.
 Marcin gromił wrogów tłuszcze,
 Od świtu do zorzy,
 Niedobitki wpędził w puszcze,
 Jako wicher boży...

Jak z Kościuszką, kosyniery
 Szły na wrogów działa,

I na polu dziatwy szczéréj
 Wolna pieśń zabrzmiała.
 Widzieć było, jak się rusza
 Polska wiara nowa,
 Olkuszanin od Olkusza,
 Lwowianin od Lwowa.
 Zgrzyt bagnetów, świst kartaczy,
 Nie powstrzymał w dziele,
 Pokazali, co to znaczy
 Wolna dusza w ciele.
 Zarzucony obszar głuchy,
 Przez moskiewskie cielska,
 Natoczyła z Moskwy juchy,
 Ostra kosa sielska.
 Kto nie weźmie wiary żywěj,
 Nie dobędzie szabli,
 Kiedy spojrzy na te niwy,
 Niech go porwą diabli.

Spojrzał Marcin po niebiosach,
 Po gwieździstój drodze,
 Kiedy krzyknął lud przy kosach:
 Wiwat! wódz nad wodze.
 Wichry szumią, gwiazdy cieką,
 Pagórki się chmurzą,
 Gęste mgły się w dali wleką,
 I cisza przed burzą.
 Na równinie wrogów ciąta,
 Kruk leci na kości;

W oczach wodza łza zadrżała,
 Pierwsza łza radości.
 Dalój, dalój, w pochód rączy,
 Krzyknął do swój rzeszy...
 Kiedy słońce drogę kończy,
 Na zachód się spieszy.

Poszli, znikli; z niemi zorza.
 Zagasła na niebie,
 Spiesz się, spiesz się do Batorza,
 Ktoś tam czeka ciebie,
 W białej szacie, z skrzydłem złotém,
 Z opuszczoném czołem,
 Odlecisz ty szybkim lotem
 Za twoim aniołem.
 Owionie cię skrzydły swemi
 To przejrzyste ptasze,
 I odlecisz od téj ziemi
 Jasne słońko nasze.

Kto ma wolę, niech opowie
 Twoją śmierć rycerzu,
 A dziad ulży smutnej głowie,
 W ciszy, w łzie, w pacierzu.
 A dziad pójdzie na mszę dzwonić,
 Wołać lud z poddaszy,
 Bo kto teraz będzie bronić
 Jak on Polski naszój.

Zginał rycerz w wieku kwiecie,
 Wtórzac święte słowa,

Zwierzynieckie nasze dziecko,
 Chłopek z pod Krakowa.
 Idźcież bracia na modlitwy,
 A módlcie się szczerze,
 Bo raniony w ogniu bitwy,
 Prosił o pacierze.

Niechby starzy dziatki z sioła
 Do świątyń powiodli,
 Ale młódź niech w pośród koła,
 Na polu się modli.
 Przy połysku dzielnej broni,
 Co łby wrogów ścina,
 Na moskiewskich łbach niech dzwoni
 Za duszę Marcina.



NIECH ŻYJE POLSKA.

Po bitwie po skończonéj
Jęknęły głucho dzwony
Pod kościół modrzewiowy,
Gdzie matki ciągną, wdowy,
W otwarte czarne wrota
Uboga mknie sierota.
Dzieciątko w płachcie z płótna,
Duszyczka taka smutna.

Płacze bo matka płacze,
O powód łez nie bada,
Jesienne słońce spada,
I kruk przelotny kracze.
Długiem i w polu rzędy
Moskiewskie stoją wrogi,
O świecie ojciec tędy
Wyruszał środkiem drogi.
O świecie ruszył z kosą,
Pod wieczór w grób go niosą.

Przywieźli do stu może
 Obdarci nadzy cali,
 A dziecko woła: „Boże!
 Jak oni będą spali.“
 I do łez się rozczuli,
 Bo ziemia taka chłodna,
 Noc taka niepogodna,
 A oni bez koszuli.
 Pobiegło do grobarzy,
 Poznało twarz rodzica,
 Jeszcze się oko żarzy,
 Okrasza uśmiech lica.

Hej matko! dziecko woła
 I w drobne ręce spleszcze,
 Pomietli go do doła,
 A on nie umarł jeszcze.
 Wszakci umarłych tylko
 W mogiły dziadek grzebie,
 A ojciec nasz przed chwilką
 Sam wołał nas do siebie.
 Przynieśmy mu sukmankę,
 Zanieśmy pod lepiankę,
 Ta ziemia taka chłodna,
 Noc taka niepogodna.

Przed zbójcą, przed krwi chciwym,
 Nieszczęsna wdowa pada,
 Lecz próżno ręce składa,
 Zawodzi głosem tkliwym,

Litości tam nie wznieci,
 Gdzie ludzkiej duszy nie ma,
 Próżno za ojcem dzieci
 Wzniesione ręce trzyma.

Daremne jęki, krzyki,
 Słońce zgasło, mgły lecą,
 Rannego rozbójniki
 W wybrane doły miecą.
 Wicher poszumiał chłodny,
 Po suchych drzewach płota,
 Na ojca wzrok pogodny
 Wejrzała się sierota.
 A on jak dziś o świetle,
 Kiedy im z oczu niknął,
 Za Polskę niosąc życie
 Niech żyje Polska krzyknął.
 Zatoczył ręką wkoło, —
 Co mężnie kosą władła,
 I wraz na białe czoło
 Zimna mu ziemia spadła.
 Zatrzęsła się, podniosła,
 Wróg ziemię w doły spycha,
 I straszna, czarna, cicha,
 Mogiła nam wyrosła.


Na tę mogiłę głuchą,
 Gdy ciemna noc zapada,
 Pachole małe siada,
 Nachyla baczne ucho,

Pierś drżąca ledwie dyszy,
I kędy darń zielona,
Z mogiły czarnej łona,
Ojcowe słowa słyszy:
Niech żyje Polska!...



ZŁOTA HRAMOTA.

Preczystaja diwo maty
Pomóż wrohiw prohnaty,
Wid dołyny Hanczarychy,
Do mohyły Perypiat i Perypiatichy.
(Pieśń gminna.)

d Bałtyku po Karpaty,
Jak dalekie drogi, światy,
Od Dunaju do Prypeci,
Wieść po kurnych chatach leci.
Od Krakowa do Kijowa,
Wszędzie bieda jednakowa,
Od Krakowa do Kijowa,
Opowiada święte słowa.
A lud boży prawdy bada,
Z ust włóczęgi swego dziada...
Co z torbami chadza chleba,
I zna wszystkie strony nieba,
Wszystkie gwiazdy kędy cieką,
Wszystkie chmury, gdzie się wleką.

Dziad kościany wychudzony,
Kij a torba na ramieniu,

Co Kijowskie wszystkie dzwony
 Wyliczy ci po imieniu,
 Który teraz, który potém
 Po nad miastem brzęknie złotem,
 Do którego ściąga stepy,
 A nie zbłądzi, chociaż ślepy.

Ślepy... ślepy... lecz widzący,
 A co dalsze, tym ci lepsze,
 Toż dopatrzy Cerkwi lśniącój,
 I spienionój fali w Dnieprze,
 I pokaże wraz do koła:
 To Włodzimierz, to pieczary,
 To Elijasz, to Piotr stary,
 Owdzie Cerkiew Archanioła.
 I zna wszystkie dzwonów głosy,
 I jak Bogu śpiewa który,
 I powiada, że te chóry,
 Które kryją się w niebiosy,
 Pieją jak ta ziemia nasza,
 Głosem Piotra, Elijasza.

Między złote cerkwi wieże
 Jedna tylko ciszy strzeże,
 Ten najstarszy co nie pieje,
 Siwa głowa, srebrna głowa,
 Apostolska, Andrzejowa,
 Co na skrajach srebrzyścieje.

Wiatr poszumia, słońce schodzi,
 W step się ciągną długie drogi,

Bawił kędyś płaskorogi,
 Po moczarach grząskich brodzi.
 Czasem tego stanie stado,
 Woda ciecze z czarnej szczeki,
 Trzciny szumią brzegiem rzeki,
 Gdzieś skrzypiące wozy jadą.
 Z wozów kogut budzi słuchy,
 Na przestrzeni piejąc głuchój.

Nad Dnieprowy brzeg wysoki
 Dziad pospieszne ściąga kroki.

Po futorach, w gąszczach skrytych,
 Po wysepkach niezdobytych,
 Siedzą starcy okolicą,
 Ryby łowią, miody sycą;
 I za każdym takim dymem
 Z świętym spotkasz się Zozymem:
 Między złote pszczelne pieńki,
 Siedzi stary chudziusieńki.
 Rady boże raj dziadory,
 Toż dziad ściąga na futory.
 Zapadają chmury szpacze,
 Klucz żórawi jęczy w górze,
 Rzeką Nury mkną pływacze,
 Do futoru stary nurze.
 Na kraj wichrem kołysany
 Spadły dropie jak barany,
 A stęskniony twarzy człeka,
 Konik w stepie rży z daleka.

I po świata długie końce
Tylko krzyż i dziad i słońce,
Dziad się chyli, słońce spada,
I krzyż mękę rozpowiada.

I podążył w kraj zapaśny,
Na chleb biały, na miód przasny,
Na spoczynek na połacie,
W ukraińskiej białej chacie.

Bogać sen, choć zażyj zioła,
Nie przybliży się do czoła,
Gdy pod czołem duch się spiera,
Co ci oczy w szerz otwiera.

Nie na gody szedł dziadzina,
Posuwając kroki hyże,
Nie myślący i o lirze
Co się brzękiem przypomina,
Od ramiona przewieszona,
Jak dzieciątko rozpieszczona.

Wstąpił w łódkę dziadek stary,
Co Dnieprowe wody dzieli,
Między łozy a szuwary
Siwa głowa się zabieli.
Biały statek rybołowa
Na wybrzeżu stał szerokiém,
Po chałupie dym się snowa,
Miesiąc świeci rybiém okiem.

Zaszumiało — porwał statek,
 Po szuwarach płoszy szpaki,
 Młódź i starce wyszli z chatek,
 Stoją, patrzą, kto tam taki,
 Co tak pędzi łódką kłusem,
 W białą nockę, w chłód wieczora,
 Czyby święty Piotr z Chrystusem,
 Na gościnę do futora? —
 Stary lirnik nasz Hrechory,
 Z przewieszoną białą torbą,
 Wielka radość na wieczory,
 Złota lira z złotą korbą.

Wyszedł Maksym brodacz siwy,
 Ukrainiec sprawiedliwy, —
 Mądra głowa u Maksyma,
 Prym w gromadzie Maksym trzyma,
 Nasz pasiecznik na futorze,
 Co go zowią ojcem uli,
 A miód jego płynąć może
 Na biesiedzie w dzień Trzech Króli.

Chata jego jak wianeczek,
 Czysto, widno z każdej strony,
 Dziewka siedzi jak kwiateczek,
 Chlób jak słońce wypieczony.
 A na roli w każdej wiośnie
 Co tam jęczmień siać, co proso,
 Małe dziecko niech poniosą,
 A posadzą to wyrośnie. —

A jak stary kto tam powie?...
 Zkąd pamiętać przy poczęciu,
 Rosnąc gdzie tam rozum w głowie,
 Do dziewięciu lat, dziesięciu,
 A jak doszedł do rozsądku,
 Jak siał począł święte żyto,
 Żeby liczyć od początku,
 Latek byłoby obfito. —

A wojskowo gdzie nie chodził,
 Moskal wodził — gdzie nie wodził?...

Na kraj świata, gdzie tak blisko
 Przychyla się niebo k'ziemi,
 Że tu niebo, a tu rżysko;
 Pod niebami, pod jasnemi,
 Na kamieniu dziewczka pierze,
 Gdzieś na jasnym na potoku,
 To z potoku chust nabierze
 I zawiesi na obłoku.
 Całe życie swoich zdala
 Służ człowieku dla Moskala,
 Codzień po dniu pędza, gania
 Od Bałkanu do Kubania,
 A tam chata pachnie człeku,
 Dym od swoich aż zalata,
 Jakoż bo to w starszym wieku,
 Strasznie miła своя chata.
 Bóg łaskawy zdarzył ranę
 Od czerkieskiej cięcie szaszki,

Tak i w chaty ukochane
Odprawili na baraszki.

To i żenił się z powrotem,
Cudnéjż była ta urody,
Świeża — jakbyś zapił wody,
I do Boga westchnął potém.

Błogież z Praksią przeszły lata,
Więc zapłakał po niéj szczerze,
Pan Bóg sobie lepsze bierze,
A co płochsze to dla świata.
Jako woda z wiadra ścieka,
A jak ścieka w mig zasycha,
Tak Prakседа Maksymicha
Prosto nikła w oczach człeka.

Miłosierny Bóg na niebie
Ot i zabrał srebro złotko,
Ach! jak ona w koło siebie
Spoglądała jeszcze słodko.
Poszła dusza jak te pyłki
Co we słońcu lecą doma...
Maksym wywiózł na mogiłki,
Czystym wozem, wołmi dwoma,
A Iwasia dziewczka po niéj
W jego chacie czystość czyni,
A już taka gospodyni,
Że jéj wszystko rośnie w dłoni,

Córka w matkę oko w oko,
 Synowie się w ojca wdali,
 To i westchnie dziad głęboko,
 I za wszystko Boga chwali.
 Toż Maksyma z pracy znają,
 Pogarbiony nad robotą:
 Z pieńków ciecze miód jak złoto,
 Na skrzypeczkach pszczoły grają.

To i ściąga nasz Hrehory
 Po dawności znajomości,
 Jak po złotych wód jasności,
 Dziki kaczor przez jeziory.

Bywaj! bywaj! stary ślepcze,
 Złotą rybę rybak spławi,
 A dziad idzie, pacierz szepcze,
 I wszem ludziom błogosławi.
 Lecz miast dumy o Nyczaju,
 O Koreckim i Bohdanie,
 Z dalekiego dziadek kraju
 Złote niesie im pisanie.
 Jaki taki chętnie wita,
 I do dziada lud się ciśnie,
 Aż hramota w pas zaszyta
 Przed oczami im zabłyśnie.
 Złote pismo więc rozłoży —
 Powesel się ludu boży.

Od Krakowa do Kijowa
 Nowe światy, prawda nowa,

Obnasza ją nasz wędrowiec
 Od Zasławia po Lipowiec,
 Od Taraszczy do Trylicy,
 Krążą polscy wojownicy.
 Młody hetman im hetmani,
 Z nieba wieje wiatr na zmianę,
 Wszyscy ludzie pojednani,
 Stare krzywdy zapomniane.
 Lud się w cerkwiach Bogu korzy,
 Miód się leje setkiem stągwi,
 I Archanioł złoty, boży,
 Znów się złoci na chorągwi.
 Sam z hetmanem pod namiotem
 Zapijałem miodem złotym,
 To i kapkę tego miodu
 Niosę w ustach dla narodu.
 Dobrze ludzie powiadali:
 Co to carska ta hramota,
 My będziemy przysięgali,
 Jak hramota przyjdzie złota.
 Ot i przyszła wypisana,
 A ty ludu na kolana.
 Pismo jasne jak brzask dzienny,
 Posłuchajcież święcie proszę,
 Nie kijowski to wojenny,
 Co wyłudza z ludzi grosze.
 To nie carski papier prosty,
 Co nam wieści wielkie łaski,
 A miast łaski daje chłosty,
 Patrzcie bracia jakie blaski,

Jakby ludziom hetman dawał
Złocistego nieba kawał.

Nowe prawo Lach ogłasza:
Prawda Lasza, wola wasza.

Gdy hramotę hetman dawał,
To jak gdyby Doroszeńko
Z przesławnego grobu wstawał;
I przeżegnał srebrną ręką.
Zaśmiało się widne błonie,
Zaweselił ród wszelaki,
Zaśpiewały boże ptaki,
I zarżały w stepach konie.
Łzami spłynął lud sierota,
Zadzwoniła stara chwała,
Gdy mnie w ręce się dostała
Dla narodu ta hramota.

Ach tak Boże twoja wola,
Ja hramotę w pas zachował,
Dłoń hetmańską ucałował,
I pociągnął w siwe pola.
A wciąż mnie się w głowie zdało:
Że tam z grobu Doroszeńko
Błogosławi srebrną ręką,
I że pole w krąg śpiewało...
Dobra rada — żadna zdrada,
Nie ja gadam — hetman gada:
„Kraju chlebny, kraju miodny,
Będiesz szczęsny i swobodny!“

Jęk się rozszedł po gromadzie,
 Ten i owy w proch się kładzie.
 Posiwili starcy kołem
 Przed hramotą biją czołem,
 Uderzają pięścią w łony
 Jako w cerkwi przed Ikony.

Bo z hramoty Chrystus świeci
 Błogosławiąc wierne dzieci.
 Wielka pieczęć przyciśnięta,
 Z Mężem, z Orłem, z Archaniołem,
 Wierna Rusi czołem! czołem!
 Bo hramota iście święta,
 Kiedy na niej wszystko stoi,
 Bóg, łycary, orły, konie,
 Jak las, pismo, niebo płonie,
 Jak na świętej ziemi twojej.
 Gdy podnieśli siwe głowy,
 Dziad się bielił z pod jawora,
 Nim rozpoczął święte słowa
 Na gromadzie u futora.

Księżyc świecił roztoczony,
 Słowik śpiewał na jabłoni,
 I kijowskie srebrne dzwony
 Słuchać było w tej ustroni.
 I bielił się w świetle nocy
 Po nad ludem stojąc mnogim,
 Jako dawni ci prorocy
 Na rozmowach z Panem Bogiem.

„W imię Ojca, Syna, Ducha,
 Kto ma wolę, niechaj słucha!“
 Wiatr mu brodę porozwiewał,
 A ów czytał głosem brzmiałym,
 A tak czytał jakby śpiewał
 Starą dumę pod miesiącem,
 Wszystkie sławy w starca głosie
 Do serc ludzkich powracały,
 I na oczach łązy im stały,
 Jak na ziołach w noc po rosie.
 W prostych sercach dumy cucił,
 Gadał, śpiewał, bałamucił.

Aż i Maksym wśród drużyny
 Jakby w skwary zapił wody,
 Młódź słuchała, a dziewczyny
 Pokraśniały jak jagody.

Ach! swoboda, miły Boże!
 Kiedy wejdzie w serce człecze,
 To płomieniem człek rozgorze,
 A łez dészczem się rozciecze.

Nabroiły Jezuity,
 Nabroiły polskie pany,
 Ale grzech już łzami zmyty,
 I świat we krwi wykąpany.

I hramota prawi złota:
 Pochwalony Pan nad Pany,

Podniesiony lud sierota,
 Porównane wszystkie stany.
 Jednakowe wszystkim sądy,
 Jednakowe wszystkim rządy.
 I już odtąd nie sprawniki,
 Carskie, szkodne rozbójniki,
 Lecz wybrana z ludu rada
 Złote księgi praw rozkłada.
 A jak zrobią starce z sioła,
 I sam Pan Bóg nie odwoła.
 A ubogich kraj opatrzy
 I za roczek, za dwa, za trzy;
 Ani jednéj biednéj chaty,
 Ani jednéj ujrzy łaty.
 Miłosierdziem świętém bratniém
 Okryje się każda bieda,
 Matka Polska krzywdy nie da
 I pomyśli o ostatnim.

Nad to bracia hetman głowa
 Złoty obraz ludziom daje,
 Ot przeczysta z Berdyczowa
 Przed którą się naród kaje,
 Na ołtarzu poświęcana
 W sukni złotéj jak tam w niebie,
 Błogosławi ludu Ciebie,
 To kto wierny — na kolana!

Długo lud się krwawo pocił,
 Lecz dziś bożej znak dobroci,

I Archanioł się rozzłocił,
 A wróg ludu krwią się poci.
 Skończył, hucznie po rozłogu,
 Poszedł okrzyk: „sława Bogu!“

Pierś młodzieży ogniem wzgorze,
 Starcy poczczą wolę bożą.

Na hetmańskich słów przyjęcie,
 Kładą palce na hramotę,
 I na nóżki Maryi złote,
 Pocałunek kładą święcie.
 Po przesławnéj mowie dziada,
 Nie zmrúżywszy w nocy powiek,
 Naradzała się gromada,
 A gromada — wielki człowiek.
 Po zakątach szeptu, gwary,
 Ciche znowy i narady,
 Aż pasiecznik Maksym stary,
 Głosem całej rzekł gromady:

„Byle zacząć — z Lachem zgoda,
 A jak potem niech lud radzi,
 A co ludu Pan Bóg poda,
 Nikt się o to nie powadzi.
 Toż na dni te szczerozłote,
 Czy z Lachami, czy osobno,
 Zostaw dziadu tę hramotę,
 Bo mądrzejszój niepodobno.

My zakopiem jako zboże,
 Pod tę lubą, pod tę rolę,
 A gromada pójdzie w pole,
 I na wolność nam zaorze.
 Długo w biedzie człek narzekał,
 Coraz gorzej, coraz gorzej,
 Ot i w końcu się doczekał
 Gdy nie słońca, to choć zorzy.
 Bóg wam zapłać stary ślepcze,
 Znać kto depcze, taj wydepcze.

Wbili w ziemię cztery koły,
 Zastawili długie stoły,
 Patrzą ludzie na Maksyma;
 A z Maksymem dziad się trzyma.
 Z mięsiwem się kurzy misa,
 Naród boży dar spożywa,
 Maksymowa głowa siwa.
 A dziadowska głowa łysa,
 Dziewki noszą — a hramota
 Pod Jaworem wiewa złota.

Zrodziła się prawda nowa,
 Prawo rozum nad rozumy,
 Przyszło pismo z Berdyczowa,
 Cały naród prosić w kumy.
 Maksym 'ujał dłońią krzepką
 Pobielany dzbanek z cyny,
 Taj zapijmy nad kolebką
 Zdrowie Bożej téj dzieciny.

I znów hucznie po rozłogu,
Poszedł okrzyk sława Bogu!...

Toż za dobre wieści dziada,
Za tę radość, za okrutną,
Stary Maksym mu naskłada
Na koszulę białe płótno,
A ten Bogu czołem bije,
I przed swymi się pochyli,
Niech syn Boży was okryje,
Jak wy ludzie mnie okryli,
Ręka niech nie zdradzi chrobra,
Szczęście z nimi, gdzie się ruszą,
Panie! staw się przed ich duszą,
Bo drużynaż to przedobra.

Miesiąc zaszedł, wietrzyk woni
Z rankiem nikną nocne maryl,
Krąży górą sokół szary,
Do hetmana młodzież goni...
A Hrehory, nasz Hrehory,
Gdzie go wiedzie Boża wola,
Ciągnie stary jak Piotr wtóry
Gdzieś pod bramy Boryspola.

Zbieraj, zbieraj nogi sporo;
Nasz lirniku, nasz dziadoro,
Rannym świtem, nocną dobą,
Sam Pan Chrystus idzie z tobą.

Kto pieśń złoży o hetmanie,
Kto wyśpiewa jego boje,
Ten grosz weźmie za śpiewanie,
A ja bracia skończył swoje.
Ja hramotę złotą niosłem,
Na szerokie stepy, smugi,
I u promu stoję z wiosłem,
A pieśń chwały zabrzmiał drugi.
Ja wam tylko jak wiatr szybki,
Od Krakowa do Kijowa,
W srebrnej sieci rybołowa
Pokazałem złote rybki.
A ktoś drugi z pieśnią chwały,
Przejdzie polskie lasy, bory,
Może ludu wieszcz Hrehory,
A może sam anioł biały.
Gdy swobody kwiat wybuja,
W dzień pogodny w błogie tchnienie,
Na dzień boży na wskrzeszenie
Brzęknie złote Alleluja!



BOŃCZA.

Rosną dęby na nizinie,
Pod dębami Bończa siedzi,
Za dębami las się rzedzi,
Po za lasem woda płynie.
A z za lasu a z za boru
Idzie cieśla od toporu,
I kowal od miecha;
Z dębem szumią wichrów płasy,
Bończa patrzy się, uśmiecha,
I pokręca wąsy. —

Idą, idą ochotnicy,
Parobczaki, najemnicy,
Szlachcic zdąża z karabelką,
Ostrą, choć nie bardzo wielką.
A każdy się Bończy kłania,
By go przyjął do powstania.

Kto chce z Bończą bić Moskali,
Musi mieć jak dąb ten stary:

Cztéry łokcie i sześć cali,
 I to dobrój miary. —
 Jaki taki spojrzysz w górę,
 Oj biednyż to człowiek mały,
 Radby Moskwie trzepać skórę,
 Lecz dla Bończy nie udały.

Kto na Moskwę z Bończą bieży,
 Z siwym dębem wpierw się zmierzy;
 Potém Bończa go zapisze,
 Między swoje towarzysze,
 Przed takowym głowę schyla,
 Co jak zrobi krok, to mila.
 Bo nasz Bończa z końca świata
 W drugi koniec jak wiatr lata,
 I jakoby wietrznój trąbie
 Nie oprze się ćma Moskali,
 Co zobaczy to wyrąbie,
 I poleci dalej.

A do tego ma bieguna
 Co wyciąga się jak struna;
 A do tego Bończa prędkie,
 Ma okrutny pałasz giętki,
 A rękojeść się połyska,
 Jakby jaka żmija śliska:
 To gdzie żmija ta zasyczy,
 Swoich trupów Moskal liczy.

I rzemieślnik od warsztatu
 Z cicha rzecze: „daj go katu“

A szlachetka k'dębu pnie się,
 Radby dorósł dęba w lesie,
 Choćby siwce siadł na siodło,
 Jeszczeby się nie powiodło.
 A nasz Bończa wása kręci,
 I z nim wiara co w krąg leży,
 A śmieją się bez pamięci
 Że się z dębem szlachcic mierzy.

Napijcie się z nami piwa,
 Ot i droga wam szczęśliwa,
 Jak kto może, mały duży,
 Czyli z kosą, z szablą, piką,
 Niechaj płoszy Moskwę dziką,
 A Polsce niech służy.
 Na te łowy nasze sioły,
 Nasze domki w każdym mieście
 Mają charty i sokoły,
 I Bończych lwów dwieście.

Kędy prawda nie ma sprzeczki,
 Już przegląda dno od beczki,
 I czas nagli na Moskali,
 Tedy zgodnie i uczciwie,
 Z olbrzymami ludzie mali
 Serdecznie się pożegnali,
 Pod dębem na piwie.

Otarł Bończa wásów snopy,
 Małych poodprawiał.

Do góry podnosił chłopy,
I na ziemi stawiał.
Rozeszli się ludzie mali,
Jak po Tatrach chmura,
Żeby drugim powiadali,
 Że jest Waligóra.

 Że na wrogu drży już skóra,
Z duszą się rozłącza,
I że ten nasz Waligóra
 Nazywa się Bończa.



Wojciech pocziwy.

Miał stary Wojciech zboża dostatek,
Miał Wojciech w domu pięcioro dzieci;
Pięciu mu synów wykołysała
Pocziwa żona, co go kochała.
Najstarszy Józef z pługiem już chodził,
I drzewa sadził i płoty grodził.
Najmłodszy gąski wypędzał żaczek,
Dwojaki w pole nosił średniaczek,
Pietruś pomagał przy żniwach braci,
A spryt miał wielki do skrzypek Maciej.
I wszystko w chacie szło jakby z płatka,
Bieliała płótno na łąkach matka,
Płótno bieliała, len omiedlała,
Len omiedlała, międląc śpiewała,
Tłuste bydełko wesołym rykiem
Porykiwało za okólnikiem,
Dwoje żrebaków rosnących brdysało,
Śmiała się chata, pole się śmiało,

Z miodem u nóżek brzęczała pszczołka,
 Pajaczek szatę przedziwną motał,
 Na dębie rankiem bocian klekotał,
 I szczebiotała w wieczór jaskółka.
 Ogród miał pełny jabłek, orzechów,
 I świat Wojciechów pełny był śmiechów.

Z błogosławieństwem wszystko szło bożém,
 Pod okiem Jasnej Pani z nad ściany,
 Gołąbek wisiał nad matki łóżem,
 I pęczek polnych ziół poświęcany.
 I nikt Wojciechu nie pozazdrościł,
 Bo dopomagał i rady gościł.
 Kumoszki z chatki i siwe dziadki,
 Każdy zachodził jak do swój chatki.
 Bo i Jagienka gosposia miła
 Nikomu szczęścia nie zazdrościła,
 Ni złego słowa nie wymówiła,
 Dał Pan Bóg usta dla swojej chwały,
 Toż miasto waśni śpiewają długo,
 I trzaby obejść boży świat cały,
 Zanimby znalazł Jagienkę drugą.

Każdemu w wiosce nadadzą miano,
 Wojciecha zasie pocziwym zwano.
 Toż gdy wieczorem powracał z niwy,
 „Patrzcie, wołali, wraca pocziwy.“
 I był on wioski głową i radą,
 O cztery mile do niego jadą.

Niech się sąsiedzi z sobą powadzą,
 Wnet się do jego chaty prowadzą.
 A ten wezwawszy Boga na świadki,
 Siada na sądy przed progiem chatki.

Długo nasz Wojciech patrzył ku niebu
 I dopatrywał dziwy a znaki,
 Okrutną miotłę i ku pogrzebu
 Ciągące chmurą zimowe ptaki.
 A co przewidział, to się sprawdziło,
 Przyszła wojenka, wiecie jak było,
 A kto nie słyszał, to mu powiedzą
 Ubogie dziatki, co w pustkach siedzą;
 One powiedzą słowem prostaczem,
 One powiedzą serdecznym płaczem,
 A ludzkie pióro wydać nie zdoła
 Ognia, co przeszedł przez nasze sioła;
 Piórko, pióreczko z wiatrem poleci,
 Co wieje w polu na biedne dzieci.

Jednego razu nasi rycerze
 Nagnali Moskwy w swoje więcierze.
 Cała się tego zleciała rota,
 Przed Wojciechowe wysokie wrota.
 Nasi za nimi, już im na grzbiecie,
 Co kulka świśnie, jednego zmiecie.
 Daliż im nasi oj! dali łozy,
 Nakładli tego na cztery wozy.
 Reszta odbiła wrota stodoły,
 I ze stodoły Polaków zmiata.

Spojrzał się Wojciech, o! Stwórcu świata,
 Trzaćby to one wykurzyć pszczoły.
 Niewiasto moja, bierz pościel na się,
 Niech każde bierze, co unieść może,
 Bo ja téj Moskwie jeża podłożę,
 Co się krwią polską niewinną pasie. —
 Chycił za drzazgę —

hej! miły Boże,

Gdy Polska gorze, niech wszystko gorze;
 Idź mój dorobku, idź moja chato,
 Będziemy mieli Ojczyznę za to.
 Krzyknął na syna: gdy ja poniosę
 Pod nasze węgły drzazgi smołowe,
 Gdy będę palił, ty trzymaj kosę,
 A co wyleci, tnij przez połowę.

Skoczył do kosy chłopak jak strzała,
 Wojciech z drzazgami zaszedł od pola:
 Tak Bóg przykazał, boża to wola,
 Żeby i moja chata zgorzała. —
 Rzucił na dachy głównię płonącą,
 Ogień obleciał wyschłe poszycie,
 Kręci się Moskwa, miłe jój życie.
 Pod płachtą z ognia znać jój gorąco.
 Chłopak pod wrota kamień podwała,
 Co ogień nosi, niech w ogniu zginie,
 A co we wrotach zoczy Moskala,
 To łby moskiewskie kosi jak dynie.

Dym się okręcił po dachu bury,
 Płomień ogarnął chaty spokojne,

A Wojciech kosą wstrząsnął do góry,
 I krzyknął gromko: „Idźmy na wojnę!
 Błogo nam było na plennej roli,
 Lecz nam już polskiej krzywdy nie znosić,
 Oj ta Ojczyzna to strasznie boli,
 Za to Moskali trzeba wykosić”.
 „Dobrześ się sprawił synku jedyny,
 To będzie z ciebie wojak nie lada.
 Idź, idź, niewiasto, na twoje syny
 Dzisiaj podatek Polska nakłada.
 Chętnie nam trzeba ze chłopskich chatek,
 Ojczyźnie spłacić krwawy podatek.

„Niech żyją chłopci!” krzyknęła wiara.
 Z chaty została prochu garść szara,
 Lecz miłość Polski na niej zrodzona
 Ogrzewać będzie wieśniacze łona.
 Ciągną się dymy przez szare niwy,
 Nasi hułani zesiedli z koni,
 Łzami szczeremi, uściskiem dłoni,
 Łączył się z nimi Wojciech pocziwy,
 A jego żona z pogodną twarzą
 Dla wiejskich sierót bada o drogę,
 Toż jój Polacy drogę pokażą,
 I pożegnają matkę niebogę...



ROZMOWA ZE SŁOWIKIEM.

Powiedz słowiczku, powiedz mój mały,
Błagam na wszystko w świecie:
O czym ty śpiewasz przez wieczór cały,
W naszym ogródku w lecie?

Czy opowiadasz swoje przygody
W miłym rozgłośnym śpiewie,
Jakieś przeleciał wonne ogrody,
Na jakim spoczął drzewie?

Czy jak się kryjesz w liście zielone
Gdy skwarne słońce pali?...
Jak rankiem strząsasz piórka zroszone
W cichój powietrza fali?

Czy o gwiazdeczce maleńkiej, drżącój,
Na lazurowém niebie?
Czy o téj wodzie zwolna ciekącój,
Powiedz mi, proszę ciebie...

— O ja ci powiem, śliczna pastuszko:
 Spiewam piosenkę twoją,
Kiedy ci za czemś tęskni serduszko,
 I oczy we łzach stoją.

Kiedy zanika twój uśmiech słodki
 I patrzysz smętna, blada,
A z rąk ci lecą bratki, stokrotki,
 Kwiatek po kwiatku spada.



DZWONY.

Bierzcie chłopcy za sznury,
Niech dzwony huczą z góry,
Bijcie sercem w boki
Na wieży wysokiéj;
I te czarne chmurzyska,
Co w nich świszczy i błyska,
Rozpędźcie, rozgońcie.
Dzwońcie chłopcy, dzwońcie!
Rola w zboże obfita,
Ma być gradem pobita
Całą pracą Mazura,
Daléj chłopcy do sznura!
Alboż wam to nowina?
Wszak ojciec uczy syna,
Że nie można z chmurami,
Jeno walić dzwonami,
Albo z harmaty palić,
Albo we dzwony walić,

Gdyby grady pobiły,
A pioruny spaliły,
Cóżby nam zostało?
Wszystkoby zgorzało,
Zgorzałyby i one,
Nasze lipy zielone,
Jenoby z doliny
Sterczały kominy,
Więczę do pracy
Żwawo chłopacy.
Miejwa nadzieję,
W te dobrodzieje,
Co żelazne serca mają,
Czarne chmury rozpędzają,
Co na wesele
Dzwonią w kościele,
Co zmarłym śpiewają
Kiedy w grób chowają,
Co je ucho niesie
Po wodzie, po lesie,
Po górze, po dole,
Przez ojcowskie pole.



Z wygnania.

Daleko, daleko
Te wody już cieką,
Przy których widziałem,
Co tu wyśpiewałem.

I wierzby spróchniały,
Co przy drodze stały,
Pod których konary
Siadał dudarz stary,
Co się po wsiach włóczył,
I piosenek uczył.
Ale w myśli mojej
Wszystko żywo stoi.

Sosna rosochata,
I na łące strużka,
Gdzie lata skrzydlata
Jaskółeczka družka.

Nad rosy perliste,
Nad wody przeczyste.

Latała, biegała
Dokolusieneczka,
Moja ptaszka mała
Czarna jaskułeczka.
Jak moja myśl lata,
Do tego tam świata.

Cichy łąn zielony
Ciepłą parą bucha,
Z oddalonej strony
Czerni puszcza głucha.
Wyskakują drzewa,
Co je mgła zawiewa...

Polska chata mała
Z pod mgły się wynurza,
Gdzie w oknie siadała
Józia biała róża,
Jak dzionek w okienko,
Z robótką, z piosenką...

Biedna Józia złota
Już w oknie nie siada;
Piosenek nie składa;
Czarowna istota.
Złotą nić wyprzędła,
Pobladła, powiędła,

Tylko pamięć o niej
 Polną różą woni,
 Tęskną piosnką dzwoni...
 Ach w niebie kraj taki
 Jak polskie równiny;
 Ciągnę w znane szlaki
 Kraju mój jedyny!

Gdzie rodzinna rzeka
 Do morza ucieka,
 I niesie za morze
 Mazowieckie zboże,
 Ach Boże, mój Boże!

A gdy z ciepłą wiosną
 Pszenice porosną,
 Szumi świat rumiany
 Pszenicznymi łany.
 Pełno szumu, woni,
 Fala falę goni,
 To dołem, to w górę,
 Jako wilki bure.

Wiem ja co potrzeba
 Do naszego nieba;
 Za czém młodzian wzdycha,
 O czém starzec gada,
 I mogiła cicha,
 I krzyż, co nań pada.

Czego sercu trzeba
 I sercu i głowie,
 Tę kochankę z nieba
 Ach któż nam przyzowie...

Potraciłem lata
 U cudzego świata,
 Wszystko na nic Boże,
 Nie wschodziło zboże.
 Wieje wietrzyk, wieje,
 Ciepły wietrzyk maju,
 Na śmierć zatęsknięję
 Po ojczystym kraju.

Po dworach, po strzechach,
 Po wiślanych echach,
 Po gwiazdce wieczora,
 Co mruga z nad bora.
 Po głosach od niwy,
 I po pieśni tkliwój,
 Po konikach w trawie,
 Źródle, co tam dyszy,
 I po dziennój wrzawie,
 I po nocnej ciszy.



Zagrodowa.

Nasza szlachta zagrodowa,
Ta od Łosic, od Makowa,
Zawsze jedna jednakowa.

Jaką była, tak została,
Wszystko wiernie przechowała,
Dziarska, śmiała i zuchwała.

Sejmikować wielce rada,
Za sejmikiem aż przepada,
Prędka zgoda, prędka zwada.

Sejmik, szklanka, pohulanka,
Chwała braci, żarty z panka,
Taki szlachcic ze zaścianka.

A szlachcianka na zagonie
Jeszcze śpiewa o Filonie...

O rycerzach cuda roi,
Przyszłością się niepokoi,
Zadumana w polu stoi.

Wiejskie dziewczę parobczaka,
Ta powiada: ja nie taka,
Dla szlachcianki trza wojaka.

U niej mąż nie w polu kosi,
A przy boku szablę nosi,
Takić Józi, takić Zosi.

I ztąd śpiewa w cichym lecie:
Tam na błoniu błyszczą kwiecie,
Stoi hułan na widiecie.

Śpiewa, śpiewa z całej duszy,
Aż matczyny ogród głuszy,
Aż się oko łzą zapruszy.

Wtedy zwiśnie młoda główka,
Zaniemieją w ustach słówka,
Już jej ciasna ta rogówka.

I tak stoi z twarzą bladą,
Nad lebiodą, nad rosadą,
Aż ktoś krzyknie: „goście jadą“.

„Goście jadą!“ krzyczy srocza,
Zaśmieją się pannie oczka,
Aż podskoczy panna skoczka.

Może ten, a może owy,
Lecz nie inny jak wojskowy,
Z znakiem służby narodowej.

Serce puka na myśl samą,
Brzękła szabla przed ich bramą,
„On przyjechał mamó! mamó!”

W tém *on* wszystko wygadała,
Samochcący się wydała,
Kogo sercem pokochała.

Jak nie kochać, kiedy grzeczny,
Jak nie kochać, gdy serdeczny,
Jak nie kochać, gdy waleczny.

Jak nie kochać całą siłą,
Jak nie kochać kiedy miło,
Kamienneby serce było.

On za Polskę krew przelewa,
To i gdzież jest polska dziewa
Co o takim nie zaspiewa?

Nie wyciągnie tęsknej nuty,
Nie zaplecie warkocz suty,
Nie zasieje drobniej ruty?

Gdzie jest taka Polka prawa,
Co gazety nieciekawa?...

Polskie pisma ojciec czyta,
A dziewczeczka z cicha pyta:
„Czy tam nie ma pana Wita?“

— Jest coś o nim, dajcież proszę,
Niech z gazetą się ponoszę,
Oto szczęście, to rozkosze.

Teraz cały świat jój błogi,
Kto wojuje polskie wrogi,
Całować mu ręce, nogi.

Komu Pan Bóg dał zasłynąć,
Za takowym szaleć, ginać,
Ach! i we łzach się rozplynać.

Niech tam chwałą zagranicę,
Może piękne okolice,
Ale takie gdzie dziewice?

Kędy serca tak kochane,
Kędy dusze tak oddane
Co przyłożyć choć na ranę?

Bez ojczyzny miłość płocha,
Polka tylko mężnych kocha,
Nie bogactwo, nie ozdobę,
Kocha duszę, nie osobę.

Komu Pan Bóg dał zasłynąć,
Za takowym szaleć, ginać,
Ach! i we łzach się rozplynać.



HANKA ZABUŻANKA.

Po skończonym boju
Tyle mogił w polu,
W polu na Podolu,
Śpią ludzie w pokoju.
Rolnik sieje zboże
Zasiewa na okół,
Mogły oborze
Kędy krąży sokół,
Na mogiłach krzyże
Dobrzy bracia stawia,
Konik w trawkach strzyże,
Starcy Boga sławia.
Czas wszystko ulecza,
Wszystko on przemoże,
Pruchnieje kość człeczna,
Oracz ziemię orze;
Jeno serce młode
Czasem się zakrwawi,

Idące po wodę
 Dziewczę dzban postawi,
 Wzrok na groby rzuca,
 Piosnki nie donuca.

Nad zachodem słońca
 Całe niebo gorze,
 Od końca do końca,
 Na skraju na borze,
 I zorza nad borem,
 I cisza wieczorem;
 Tylko dzwonek z wieży,
 Od kościoła z wioski,
 Prosi Matki Boskiej
 Za dusze rycerzy.

Szło dziewczątek czworo
 W ten wieczór wiośniany,
 Co tam wodę biorą
 W polewane dzbany,
 I noszą do chatek,
 Dla swych panów matek. —

I stanęły róże
 Dla ulgi ramieniu
 Gdzie grobowe wzgórze
 Poszarzało w cieniu.
 A jedna poskoczy
 Garstkę kłosów chwyci,
 Wiązanek otoczy,
 Tasiemeczką z nici.

I o cichéj zorzy,
Pod krzyżem położy.

Hanko Zabuzanko,
Powiedz dziewczę miłe,
Na czyją kochanko
Kładziesz kwiat mogiłę?..
A dziewczę odrzeka:
Na groby rycerzy;
Jak tam u nas rzeka
Krętym pasem bieży,
Stał hułan na wzgórzu
Rok temu bez mała,
Wtedy wojna wrzała
Na naszym Zabuzu,
I prosił o wianek,
Ja nie dała wianka,
Za to mój kochanek
Wianki ma co ranka.
Jemu macierzanka,
I stokrotka skryta,
Jemu Zabuzanka
Wije wianek z żyta,
Jemu krzyż ustroi
Sznurami powoi.



TARG NA KONIE.

Na Podolu w białém mieście
Sprowadzili koni dwieście.
Rok do roku Turka Baszy,
Wyglądają ludzie naszy.
Turek Basza, Mahmud stary
Ma bieguny ze Sahary,
I turecka krew mieszana,
Nasza złota maść bułana.

Siedzi Mahmud w dziedzińcyku
Na tureckim kobierczyku,
Karabela suta krzywa,
Na kolanach pobrzękiwa.
Rozścieliwszy swój kilimek,
Z fajki puszcza modry dymek,
Bo turecki tytuń panie,
To dopiero używanie.
Lulka długa oplatana
Podarunek od sułtana,

Przed nim w czarce kawa moka,
 Co częstować choć proroka,
 I tytuniu aż dwa oka.
 Na kilimku się rozsiada,
 Mądry Muhmud nic nie gada.

Allach wielki — prawda znana,
 I rzecz wszelka napisana.
 Twarz poważna, broda siwa.
 Mahmud brodę pogłaskiwa,
 A nim powie jakie słowo,
 Pierwój długo waży głowę,
 I ku brodzie oczy skłoni,
 Pogłaszcze się, spojrzy po niej.

Sto miał synów, dwieście córek,
 Mahmud stary szlachcic Turek,
 To już jemu świat nie nowy,
 I dla tego szczędzi mowy.
 Przeszły cztery pokolenia,
 A on twardy jak z kamienia,
 Patrzy cicho na świat wszelki,
 I powtarza: Allach wielki! —

Dziadom naszym na bój krwawy
 Wodził konie wielkiej sławy,
 Z pustyni chwycił na munsztuki,
 Dziś prowadzi handel z wnuki.
 Z jego stada białonóżka,
 Na swym grzbiecie niósł Kościuszka.

Na bułanym jego chowu,
 Nasz Dąbrowski z ziemi włoskiej
 Do Poznania wracał znowu,
 A na karym Poniatowski.
 Burka z Turka, złote szpony,
 Konik wrony, wąs skręcony,
 Szabla mina i czupryna.
 Mówią nawet, że ów biały
 Napoljoński rumak śmiały
 Na którym wódz czynił cuda,
 Wychowan był przez Mahmuda.

Dwieście koni, dzielne żrebce,
 Koło Baszy trawę depce.
 Kto chce konia, niech ogląda;
 Tego chrapy jak wielbłąda,
 Grzywa jako jedwab lśniąca,
 A grzbiet jakby u zająca.
 Głowa sucha, na wiatr chrapka,
 Oczy wielkie jak dwa jabłka.
 Zęby jakby dyamenty,
 Brzuch okrągły, karczek zgięty;
 Szyja długa jak u pawia,
 I jak sarna nóżki stawia.
 Silne piersi choć mur walić,
 Dosyć spojrzeć co tu chwalić.
 Arab! Arab! kto go kupi,
 Nie powiedzą mu że głupi. —
 A ten drugi z orlim wzrokiem
 Wychowany pod wojłokiem,

Rady skoczyć sarnim skokiem;
 Pozwól tylko puścić nogi,
 Chmurą pyłu zaćmi drogi,
 I do pyłu jego dzieci,
 Żaden rumak nie doleci.
 Jakie ogry, jakie klacze,
 Gdy sprzedaje człęk, to płacze,
 A kto takich nie zazdrości,
 Niech psy zjedzą jego kości.

Ten pod jeźdzcem igry stroi,
 I udaje, że się boi,
 Nozdrza jak otwarte okno,
 Sierć jedwabiu czyste włókno.
 A gruchoce w zębach ziarna,
 Jako młyńskie twarde żarna.
 Tak Turczynek konie chwali.

Stary Mahmud siedzi w dali,
 Uśmiecha się, tiutiuń pali.
 A tymczasem młódź podolska,
 Co wybrańsza młodzież polska,
 Patrzy na ich zwroty, ruchy,
 Chciwa jako na miód muchy,
 I po grzywach wodzi dłonie.

— Na co wam to takie konie?
 Żeby w pole biegać z charty,
 Taki konik więcej warty.

— Héj! Mahmudzie gadaj zdrowy,
 Dziś nam konie nie na łowy,
 Mahmud w górę podniósł głowy;
 Złożył fajkę swą z bursztynem,
 I jął gadać jak ze synem,
 Gdy z nim usiadł na kobiercu,
 Położywszy dłoń na sercu.

— Allah wielki! mnie się zdaje,
 Że dziś wasza Polska wstaje.
 Powiedz słowo, dosyć słowa:
 Wielka sprawa, krótka mowa.

Mahmud mówi, Polak słucha,
 I pochylił się do ucha,
 Szepnął słówko, dziad ocenił.
 Twarzy, wzroku nie odmienił,
 Tylko uśmiech wydał lekki,
 I zawołał: peki, peki.

Więc do targu, dłoń na dłoni,
 Wielki pieniądz dwieście koni,
 Może zechce stotysięcy,
 Może stary zechce więcéj.
 Sto pięćdziesiąt na proroka,
 Mahmud spojrzął wraz z pod oka.
 Zbladła dziatwa, strach mosanie,
 Choć pożyczyć, nie dostanie.
 Aż się Turek zaśmiał siwy:
 Człowiek prędkie — Bóg cierpliwy.

Dość jest u mnie worków w lochu,
 Srebrnych piasstrów mam jak prochu.
 Córy moje u sułtana
 W dyamentach po kolana,
 A z długiego synów liku
 Każdy siedzi w paszaliiku.
 Jam znał wasze ojce, dziady,
 Jam im nieraz dawał rady:
 Moje konie własność wasza.
 Już skończone — jakem Pasza.

Skinął — koniec, targ zamknięty,
 „Zapłacone“, wyraz święty...
 Słońce świeci na dnie rzeki,
 Mahmud zwrócił wzrok do Meki,
 Zamknął oczy na świat wszelki,
 I zawołał: „Allah wielki!
 Niech pomoże swemu dziecku!“
 Tak się modlił po turecku.
 Ręce wznosił, to je składał,
 To się dźwigał, to upadał.
 Allah! Allah! prawda znana,
 I rzecz wszelka napisana. —

A gdy skończył, rzekł z westchnieniem:
 „Targ to z czwartém pokoleniem,
 Koniec rzeczy kto zobaczy,
 Niech Mahmuda wspomnieć raczy.
 Rychło koniec mojej drodze,
 Ja wam mówię, ja co schodzę.

„Niech pod moich koni stado
 Wasze wrogi w proch się kładą.
 Niech okręta w każdej porze
 Bieleją się na Bosforze.
 I wasz poseł przy sułtanie
 Niech zasiada na dywanie. —
 Gdy wzrok ujrzy co człek żąda,
 Przyprowadzą mi wielbłąda,
 Każę juczyć bydle moje,
 Worki włożę i napoję,
 I pociągnę w kraj daleki,
 Po dziesiąty raz do Meki“. —

Tak się skończył targ na konie,
 W koło cisza, tętni błonie.
 Na bój leci młódź podolska,
 Pokrzykując: „Wiwat Polska!“



SIOSTRA SZPITALNA.

Pannie Emilii Szczanieckiej opiekunce szpitalów.

Do długiem, długiem tułactwie po świecie
Powraca Polak na rodzinne niwy,
Z ojczyzny wyszedł w siedemnastém lecie,
A wraca wyschły, pożółkły i siwy.
Algierskiem słońcem ogorzałe czoło,
Morskimi wichry wysuszone kości,
I tylko oko wciąż patrzy wesoło,
Jakby z za chmury gwiazdeczka miłości.
Rodzice, bracia, przyjaciele młodzi
Wszystko powoli jakby cień przechodzi,
Wszystko utracił, co wiąże człowieka,
Wie, że nikt za nim nie tęskni, nie czeka,
A jednak spieszy z za dalekich granic.
Nie spiesz się, czekaj, — nie poczeka za nic.
Dusza wybiega za ojczystym krajem,
Wolności sztandar z polskich nizin wieje,
Jeżeli zginie, w Polsce mu się śmieje
Grób umajony niewiedzącym majem. —

Przed lat trzydziestu, kiedy pierwszą raną
Bóg go zaręczył z Ojczyzną kochaną,

Przed lat trzydziestu przed szpitalne łoże
 Stała panna, istne dziwo boże;
 W rękę jój maści, w oku czucia tyle
 Żeby się zmarły rozrzewnił w mogile.
 Ten wzrok współczucia, to cudne oblicze,
 I to milczenie ust jój tajemnicze,
 Ta puszka srebrna w której maści niosła,
 Ten wzrost szlachetny jakby w niebo rosła:
 Czy to w Paryżu na szpitalném łożu,
 Czy w dzikiéj Azyi we wojsku sułtańskim,
 Czy na okręcie na wzburzoném morzu,
 Jój cień mu świecił uśmiechem niebiańskim,
 Cień cudnéj Polki z puszką srebrną w dłoni.
 I był spokojny, kiedy myślał o niej,
 Bo w jój postaci ojczyzna mu cała,
 Do zbolełego serca powracała.
 Co żyje znika — i ta postać złota,
 Od dawna pewnie w cichym grobie leży;
 Jeśli odeszła niebiańska istota,
 Do niej się modli, bo w jój świętość wierzy.

Po długim, długim tułactwie po świecie,
 Powraca Polak na ojczyste niwy;
 Z ojczyzny wyszedł w siedemnastém lecie,
 A wraca wyschły, pożółkły i siwy.
 Lecz dłoń ta jeszcze silnie bronią włada,
 Noga nie zadrży, nie ustąpi kroku,
 Odetchnął szczęsny, widząc że się składa
 Jak było niegdyś w siedmnastym roku.

Dosiada konia, pod nim koń bułany
 Poskoczył w pole ściśnięty kolany,
 Wicher ojczysty piersi mu odmłodził,
 Krew w nim zawrzała i głos brzęknął świeży;
 Spojrzał po polu: miesiąc tak zachodził,
 Gdy kiedyś w domu siadał do wieczerzy.
 Wietrzyk tak samo po liściach szeleszcze,
 Tak samo Kraków złotą wieżą błyska.
 Może też matka jego żyje jeszcze,
 I niespalona stoi chata niska.

A wtém strzał pada, placówka podbieży,
 Do broni bracia! hej, kto w Boga wierzy!
 I równym krokiem ruszą naprzód śmiele
 Młode hułany, a tułacz na czele.
 Zawrzała bitwa w głębokim parowie,
 Strzały po strzałach i krzyki po krzykach,
 Kto widział bitwę, niechaj wam opowie,
 I o walczących świadczy wojownikach.
 Ale najlepiej spytajcie się ziemi,
 Ile w niej wrogów, ile naszych leży,
 Jeszcze tam trawa nie wzrosła nad niemi,
 Jeszcze krwi dėszcze nie spłukały świeżej;
 Zwyczajka młodzież przeszła po Moskalu,
 Dzień po dniu wiodąc ten bój nieustanny,
 I tylko jeden pozostał w szpitalu,
 Tułacz szlachetny, ich dowódzca ranny.

Łoże tak samo jak temu lat wiele,
 A dalój wkoło ranni przyjaciele.

Ten się podnosi z głową przewiazaną,
 Drugi się żali nad głęboką raną.
 Inny w malignie hasła boju słyszy,
 I rwie się z łoża na głos towarzyszy. —

I któż ku niemu w odzieży żałobnej
 W tę noc dla polskich rycerzy chwalebną,
 Do grobowego anioła podobny,
 Zbliża się zwolna z puszką w ręku srebrną?
 Po lat trzydziestu u szpitalnych łoży,
 Jawi się znowu ten sam anioł boży,
 Anioł-niewiasta i ręką życzliwą
 Przewija rany zbroczonego boku,
 Z tém samém czuciem, z tą miłością tkliwą
 I z tą nadzieją nieskończoną w oku.
 Czas przeszedł po niej jak jesień przez liście,
 Ale wzrok-gwiazda równo zawsze pała;
 Poważna, smętna, a tak dziwnie biała,
 Przy łożu jego stoi uroczyście.
 Ze krwią się dusza oddziela od świata,
 Maście już ulgi żadnej nie przyniosą,
 Siostra szpitalna ociera skroń brata,
 Oblaną zimną jak ta ziemia rosą.

— Zwycięztwo naszym dał Bóg litościwy,
 Świętej chorągwi wrogi nie wydarły...
 — Zwycięztwo nasze! — zawołał szczęśliwy.
 I na sen wieczny oczy mu się zwarły,
 A cichy anioł zakrył białe lice...



GRABARZ.

Na dalekim smętarzu
Jest grób przy grobie,
Co tak kopiesz grabarzu,
O nocnej dobie?

Słońce zaszło czerwono,
Chłodny śnieg pruszy,
W polu pusto, zamglono,
Ni żywej duszy. —

Komuż się to dół grzebie
Na tym smętarzu,
Powiedz, proszę ja ciebie
Bracie grabarzu?

Komu, komu, pytanie!
Jużci że sobie:
Kto mi zrobi posłanie,
Jak sam nie zrobię. —

Kto na długość przyprawi,
Szerokość prawie,
Kto mi domek wystawi
Jak ja wystawię...

We wsi nie ma nikogo,
Pustka, niedola;
Popędzili ich drogą,
Nędza, niewola. —

Wykopałem dla pana,
Potém dla pani,
I dla księdza plebana
Z naszej plebanii. —

Dla dzieciątek izdebki,
Łokieć trzy cale,
Co je wlekli z kolebki
Zbójcy Moskale. —

Pochowałem w mogile
Pocziwe plemię,
I ot stary się chylę,
Wyrzucam ziemię.

Poszli ludzie ze sioła
Z dziatwą pospołu,
Na grabarza coś woła:
Miej się ku dołu. —

I ja grzebię grób sobie,
 Śród nocnej doby,
 Boć nie złożą mnie w grobie
 Te krucze dzióby.

Szumi wichur, zadyma,
 Pędzą obłoki,
 Przyjaciela człek niema,
 Jak świat szeroki.

Po zgorzałym kościele
 Wichur się żali,
 Wichur piaskiem zamieje,
 Będziema spali. —

— Hej grabarzu! Bóg żyje,
 Pójdź ze mną w drogę. —
 A ów ziemię wciąż bije:
 Oj, już nie mogę...

I schylił się do ściany,
 Nieodpowiada,
 Tłoczy ziemię kolany,
 Pacierze gada.

Czołem nędzo, hej czołem,
 Wzywa Maryę,
 Wiatr podrzuca popiołem,
 W polu wilk wyje.

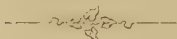
Oj, nie wilk w polu wuje,
 Jenó wróg srogi,
 Przed wrogiem się w grób kryje
 Człowiek ubogi.

Serce pęka od bólu
 I od żałoby,
 Oj, w tym kraju, w tém polu,
 Samiuchne groby.


Pod te pola jak zboże
 Lud się położył,
 Hej! ty Boże nasz, Boże,
 Pocoś nas stworzył.

Przecz się srożysz nad nimi,
 Niema sposobu....
 Młodzian chwycił garść ziemi
 Z czarnego grobu.

Ziemię w górę wyrzucił,
 Przeklął narody...
 Poszedł i już nie wrócił,
 Kamień do wody.



RAWICZ.

! sioostro moja, jak mnie na sercu tu błogo,
Ze sprzysiężonych dotąd nie wlekli nikogo,
Swój duszy zbroją on ich przed wrogiem okrywa,
Wyspiewa, krzyczą, ach tak, przed Bogiem wyspiewa...
Serce mi pęka, ilekroć patrzę na wieżę,
Wróg jego ciała, lecz jego duszy Bóg strzeże.
Co on wycierpi w jednéj męczarni godzinie,
Kiedy pomyślę, z każdego włosa pot płynie.
W duszy méj słyszę, w uszach mych słyszę ich wrzaski,
Aż mnie ukoi Anioł we zbroi, ptak łaski.

O! sioostro moja, wejrzej na drogę od wieży,
Do piersi mojej zaleciał wietrzyk tak świeży,
Jakby powiała kwiaty wszystkiemi dąbrowa,
Konwalje leśne, fijołki wczesne — to słowa.
Z za ciężkiej bramy, której przed nami wróg broni,
Miłego słowo w tę noc majową tak woni.

Nadziejo błoga! ach, nieopuszczaj strapionój,
 Ze złotą zorzą wrota otworzą dla żony.
 Ziemię ubielą i rozweselą promienie,
 A mnie mojego a mnie drogiego spojrzenie.
 Śnie dobrotliwy znijdź na powieki bezsenne,
 Gwiazdo zbawienia rozprasza cienia więzienne. —
 I zeszedł anioł, anioł spoczynku uroczy,
 Rzucił zasłonę na te znużone jój oczy.

O jasnej zorzy wróg drzwi otworzy, mnich wchodzi,
 Mnich co nie z wrogiem, lecz duszę z Bogiem pogodzi.
 Więzień wzniosł czoło, spojrzał wokoło przez kraty,
 Tam szubienica, a przy niej wrogi i katy.
 Przy pierwszym brzasku, przy wschodzącego dnia świetle,
 Widzi zwieszoną w górze skręconą tę pętlę.
 Spojrzał na mnicha, ściekła łza cicha jedyna,
 Wspomniał na Polskę, na młodą żonę, na syna,
 Ona zasypia w wonną majową tę ciszę,
 Miłości kwiecie przy niej się dziecię kołysze...

Zgoda, o zgoda! mnich dłoń mu poda na drogę, —
 Jednej dziś łaski od wroga żądać ja mogę.
 Mnichu szlachetny, nie patrz ty na mnie ze zgrozą:
 Niech mnie pod okném kochanej mojej nie wiozą.

Ulicą błotną, długą, samotną wóz zmierza,
 W okienka słońce ranne wschodzące uderza.
 Serce ofiary straszną bojaźnią zabije,
 W słowie się cichém przed bratem mnichem odkryje.
 Prócz tego mnicha on nie powierzy nikomu:
 Siądź po téj stronie bracie serdeczny, od domu.

Wszakże zaiste śmierci się strasznój nie trwożę,
Tylko ach! ona, ujrzeć mnie żona ztąd może.

Ach, już pod samą jedzie wóz bramą w téj chwili,
Więzień zbolały za mnicha cały się schyli,
Żadnego krzyku, ulica głucha tak, cicha,
Bęben grzmi w dali, tłumy Moskali... oddycha.

— O! siostro moja, cożem ja śniła szczęśliwa,
Że mój kochany więzy, kajdany rozrywa,
Przy moim boku jak wietrzyk igra swawolny,
Przy dziecku siedzie, pełno go wszędzie, on wolny.
Przy piersi mojej z nim się zespoi ma dusza,
Płaczliwe głosy na rzęsach rosy osusza.

Siostro kochana, cóż to tak z rana tłum wzrasta?
Te wojska roty, bębnów łoskoty z za miasta?
— Cicho siostrzyczko, niebo ofiarę znów bierze,
Klękniij tu ze mną, zmówmy za zmarłych pacierze. —

Słońce ozłaca tłum co powraca w tę stronę,
Czemu przystają, czemu tak patrzą na żonę?
Czemu ich oczy bujna łza moczy w pogodzie,
Wiatr tak wiosenny, blask tak promienny na wschodzie.



Zrozpaczona.

Głodzi dziewczę po ogródku
Wydeptaną drogą,
Lecz w ogródku pełno smutku,
Bo nie ma nikogo.

Bez turecki pachnie miło,
Słowik śpiewa w gaju,
Tylko krzyżyk nad mogiłą
Czerni się na skraju. —

Czemu świecisz słońce boże,
Czemu pachniesz krzaku,
Czemu śpiewasz piosnki hoże
Uprzykrzony ptaku?

Spojrzę w jedną, w drugą stronę,
Serce się zaszłocha,
Grządki moje spustoszone,
A serce wciąż kocha.

Wczora tańczyć mi kazali,
 A ja myślę sobie:
 Ja tańczę w pięknej sali,
 A wietrzyk na grobie. —

Do północy skoczne tany,
 Skroń w różanym wianku,
 Do północy gwar pijany,
 A płacz do poranku.

Nauczała matka stara,
 Że należy wierzyć,
 Dobra wiara, słodka wiara,
 Ale lepiej nie żyć.

Żal poniosę do mogiły,
 Serca anioł strzeże,
 Na cierpienie dość mam siły,
 A w szczęście nie wierzę...

Opuszczone moje krosna,
 I życie się dłuży,
 Nowe róże wzbudza wiosna,
 Ja nie kończę róży...

Złote nici poplątane
 W połowie roboty,
 Gdzież słoneczko me wiośniane,
 Gdzie mój promień złoty?

Próżno czeka smutna dusza
Na miłego przyjście,
Po drożynach wietrzyk wzrusza
Przeszłoroczne liście...

I u fali cichéj rzeki
Jak pierwéj nie spoczne...
Odpłynęły w świat daleki
Fale przeszłoroczne...

Z jego okna wiatr odmiata
Żałobną zasłonę...
Biedne serce wciąż kołata
Co spojrzę w tę stronę...



ŻÓRAW.



stanęz ja jak z młodu
W struny moje uderzę,
I do serca narodu
Rzeknę: Polsko, ja wierzę,
Wierzę w ciebie jak w Boga,
Polsko moja ty droga.

O prawdziwa ty matko
Mazowiecka z nad piasku,
Wychowałaś mnie gładko,
Wodziłaś mnie na pasku,
Podawałaś łakocie,
To i tęskno mi do cię.

Uczyłaś mnie rodzico,
Jak się zowie to, owo,
A jam patrzył w twe lico,
Chwytał każde twe słowo,

I co wiem to od ciebie,
O ziemi i o niebie.

Tyś mi ongi przed chatą
Ukazała, przed kmiecią,
Owe ptaki na lato
Co do Polski zkądś lecą,
I spiewała że z ptaki
Wrócą polskie wojaki. —

I jam czekał dość długo,
Tych wojaków powrotu,
Aż ze słotą, z szarugą
Skrzydłam podniósł do lotu.
Brzeg pożegnał wiślany,
Z Żórawiami, z Bociany.

Bom tak myślał, że może
Przypilę ich, namówię,
I że z wiosną ach! Boże
Zaklekoczęć przy głowie:
Matko, matko z gospody,
Dla konika daj wody.

Chwyć się matko na nogi,
Wioska drzemie w cichym śnie,
A ubogi koło drogi
Wojak leży, ledwie tchnie.
Oj! nie we śnie, na jawie,
Owoż twoi Żórawie...

Gdy tak wołam, aż stroną
 Lecą bracia od młyna,
 A drzew kępą zieloną,
 Wioska chwiać się poczyrna.
 Wszystko k'nam się sposobi,
 Dziecko nóżką już drobi...

Łzy, radości, witanie;
 Działki skaczą gościńcem:
 Witaj Janie hułanie, —
 Otaczają nas wieńcem.
 Rwą mi serce, rwą duszę,
 Co się spojrzę, łąą pruszę.

Obracam się gdzie swoi,
 Gdyby kurek na wieży:
 Moja lipka tam stoi,
 I głaz leży, ha leży,
 I na wodzie ta kładka,
 Gdzie bieliła len matka.

Porwały mnie Żórawie,
 Rozciągnął się sznur szary,
 A gdy raz się już spławię
 W tych błękitach bez miary,
 Lecę, lecę, wiatr gonię,
 Po dalekiej po stronie.

Przeleciałem świat drogi,
 Siła nie wiem, lecz wiele,

Wychudziły się nogi,
 Przyschła skóra na ciele,
 I włos puścił się siwy,
 I ja Żóraw prawdziwy. —

Szukam, wołam, gdzie nasi,
 Cisza, pustka wkrąg głucha,
 Może ja mam głos ptasi,
 To i nikt mnie nie słucha.
 Przy Sekwanie, przy Nilu,
 Tylu groby, ach! tylu...

Na włóczędzie u świata
 Po dalekim terenie,
 Miałem wietrzyk za brata,
 Co oblata wkrąg ziemię,
 Z wiosną musnął po głowie,
 Myślałem że coś powie.

Słucham wiatru z méj błoni,
 W jakiś ranek gdzieś złoty
 Wietrzyk przyniósł mi woni
 I serdecznój tęsknoty.
 Z wiosną rosnę, nie rosnę,
 Z bolum ryknął na wiosnę.

I znów cisza; raz w drodze
 Na padołach u morza,
 Gdy zbłąkany tak chodzę,
 Klucz żórawi z przestworza

Krzyknął wiejąc skrzydłami:
„Do Ojczyzny, héj! z nami.“

Jakby wicher o drzewo
Głos roztrącił się łzawo,
Poszły ptaki na lewo,
A jam poszedł na prawo.
Tylkom machnął w wiatr dłonią,
Za tą wietrzną pogonią.

Wywineły lot sznurem,
Szara moja drużyna,
Wódz Żórawi lazurem
Wiatr jak szablą przecina,
A dziobami w cel biją,
Jakby dzidą, kopiją.

Długo, długo, wzrok czuły,
Po zachodnim gdzieś słońcu,
Ścigał jak tam się snuły,
Aż na ziemię padł w końcu,
Kędym dziecię w grób złożył,
Gdzie mnie Pan Bóg zubożył.

Więcem utkwiał kij krzywy,
Zwiesił głowę, ramiona,
A na lirze méj tkliwój
Z przykra pękła mi strona,
Struna żalu po stratach,
Po mych kwiatach i latach.

Pożegnał mnie świat ony
 Z nitek srebrnych i złotych,
 Słońcowany, zielony,
 I nie myślę już o tych.
 Świat otoczył mnie nowy,
 Grzmiący w zbrojne podkowy. —

Czułość, miłość, nic nie wiem,
 W oczach wrogów grzmią hordy,
 Gniew mnie pali zarzewiem,
 Szarpię huczne akordy,
 Sama ręka się miota
 Po tych strunach ze złota.

Czar mnie opadł krwi, boju,
 Duchy, dziwne, przestare;
 Czasem z strun mych nastroju,
 Jak słowiki gdzieś szare,
 Zaszepeleni zdradziecko,
 Coś jak zmarłe me dziecko.

Ptaszkiem nuci przez chwilę,
 Skrzydłem trąci po dłoni,
 Lecz wraz kończą się tryle,
 Gdy głos dzwonów zadzwoni
 I grobami poruszy,
 Do zdziczałej méj duszy...

Kto to sprawia?... daremno...
 Ja wiem, że ja mgłą błędną,

Więc nie zgada się zemną,
 Duchy jakieś pieśń przędną,
 I jak każą tak dzwonię,
 Czy się bronię nie bronię. —

Precz złudzenia z méj strony,
 Precz miłości, pieszczoty;
 Burzo serca grzmiej w grzmoty,
 Wichry, gromy, pioruny,
 Przed mą duszą w oddali,
 Świat na strunach się pali. —

Płomień, dymy, wiatr wieje,
 Zniża, miecie k'rozłogom,
 Ręka skacze, szaleje,
 Usta krzyczą: śmierć wrogom,
 Pierś we wiatrach się pławi,
 Krzyk przeciągły Żórawi. —

I z tą pieśnią szaleniec
 Na kraj lecę — a poco?
 Czybym chwycić chciał wieniec
 O który się szamocą?
 Do mych lasów, do łąki,
 Lecęż zebrać o dzwonki...

Próżne, próżne tu gniewy,
 Duch się śmiechów nie straszy;
 Spiewy polskie — nie spiewy,
 W głosie żywot drży naszy,

A kto głos nasz zagłuszy?
A kto zamknie drzwi duszy?...

Tam nad Wisłą w méj stronie
Lud nasz biały sukmanny,
Przy ojczystym swym dzwonie
Wita rozbrzask poranny,
Z oczu łuska mu spada,
Héj! gromada, gromada. —

A kto zwątpił w te serca,
Kto zaprzeczył przyszłości,
Ten bezbożny, bluźnierca,
I nie nasza kość z kości.
Życie ludów wśród świata
Kto policzył na lata?

Waga w rękach anioła
To się wznosi, to zniża,
I świat kreśli swe koła
Wciąż od krzyża do krzyża.
Kto się spodlił przepada,
A któż podłość nam zada?...

Więc nie z żalem, z nadzieją,
I nie we śnie, na jawie,
Ku Ojczyźnie w świat wieją
Nasze skrzydła żórawie.
Pękną fale potopów,
Dalej pieśni — w świat chłopów!

Owiej czoła snem blade,
 Przewiąż sioła mgłą cienką,
 Na me struny dłoń kładę,
 Z polską jutrznią, jutrzeńką.
 Polsko moja ty droga,
 Wierzę w ciebie jak w Boga.

Ja co nie mam nic w świecie
 Tylko troski mrok szary,
 Nie ostatnie tve dziecię:
 Jest nas więcej téj wiary.
 Ku przyszłości w przeprawie
 Pieśni nucim Żórawie.

Wróć tobie dni wolne,
 Wolność świata — konieczność.
 Złe nas pobić niezdolne,
 Życie ludu to wieczność...
 Polsko moja ty droga,
 Wierzę w ciebie jak w Boga.



KRAKOWIAK.

Jadą chłopcy jadą,
Jadą borem, lasem,
Krzykają gramadą
Nad granicznym pasem.

Krakowiacy śmiali,
Hura na Moskali,
Bijmy wrogi nasze,
Jak we stępach kaszę.

Kto policzyć może,
Wszystko ziarno w worze?
Chociaż tego wiele,
A przecież się zmiele.

Żeby Polska cała
Jedne dziatki miała,
Niebyłoby w onój
Moskwy nieproszonój.

Krakowie, Krakowie!
 Daj ci Boże zdrowie,
 Za ten naród smagły,
 Za krakowskie jagły.

Za promnickie bochny,
 Za krakowskie wiochny,
 I za to żelazo,
 Co je w górach warzą.

Jadą chłopcy jadą,
 Jakby w dzień targowy;
 Koniki się kładą,
 Skacze wózek nowy.

Choćby stracić konie,
 Wozik szybowany,
 Lećmy ku obronie
 Ojczyzny kochanej.

Jadą chłopcy śmiało
 Na tę Moskwę całą,
 Jedzie naród szczery,
 Choć na takich cztery.

Góra polska góra
 A na górze chmury;
 Rozleci się chmura,
 A zostaną góry.

Żeby Polska cała
Jedne dziatki miała,
Nie byłoby w onój
Moskwy nieproszonój.



DO KAROLA SZAJNOCHY,

4 października 1855 r.

Hej! Karolu, bracie miły,
Czy mnie cuda się przyśniły,
Istne dziwy, szczerę dziwy,
Żeś Karolu mój szczęśliwy.
Nie sny żadne, pismo twoje
Wilży łzami oczy moje.
Czytam słowo twe po słowie,
A w sercu mi szczęście, — błogo:
„Z piękną jako aniołowie,
I jak anioł tak ubogą“
Druch serdeczny, brat jedyny,
Dziś odprawia zaręczyny.
Ba! I grajka k'sobie sprasza,
Héj! muzyka to rzecz nasza,
Wystroiłem złote strony,
To uderzę jak we dzwony,
To uderzę po wsze światy
Ode Lwowa po Karpaty,
I zaproszę orły w swaty.

Hej! ha, siwe orły z Tatrów,
 Hej dosiadać bujnych wiatrów,
 Orle gniazdo brat wasz ściele,
 Daléj orły na wesele. —
 Kiedy wołam tak wesoły,
 Orły na to: „zgoda“ krzyczą,
 Z nimi proszą się sokoły,
 A ja trzymam z całą dziczą.
 W niebotycznych Karpat ścianach,
 Gdzie Dunajec, Białka skacze,
 I po równin złotych łanach
 Podrywają się skrzydlacze,
 Zataczają wietrzne koła.
 Pokrzykując grajek woła,
 Co po świecie wiatry goni,
 Na ojczystéj lirze dzwoni. —

A ja daléj wieść obnoszę,
 Wpadam w jasne rzeczne szyby
 I swawolne złote ryby,
 Na wesele brata proszę...
 Ryby płyną, rodzaj niemy,
 Płyną ryby a ja z niemi.

Potém w bory jak dam nurka,
 Jak niepuszczę nogi lasem;
 Napiera się iść wiewiórka,
 Niedźwiedź także śpiewa basem:
 I ja bartnik idę w drogę,
 I na basach dopomogę;

Na weselu mało wiele,
Moim tańcem rozweselę.

Z boru wchodzę w czarne jamy:
Śnieżnej soli leżą łamy,
A że Mazur na sól łasy,
Jużem chciał brać na zapasy,
Żebyś soli miał dowoli,
Bo niemiły chléb bez soli. —
Ale sobie myślę potém:
Żeby to tak przyjść ze złotem...
Aż tu górnik siwy staje,
Nawytrząsa się, nałaje:
„A ty grajczy, ty nicpoto,
Będziesz ty brał moje złoto,
A to na co? kto cię prosił,
Żebyś moje złoto nosił.
A czy znasz ty jaka dusza
U twojego brata drucha?
Wszystko srebro od Olkusza
Nie pocieszy jego ducha,
Ale zadzwoń: Polska żyje,
A od słów tych się upije,
I wyprawisz mu rozkosze. —
A ja: ojczy, ślicznież proszę,
Od nadziei torba pęczy,
A ojczyznę lira brzęczy,
Że jak brzęknę, z liry leci
Płacz dla dziadów, krzyk dla dzieci;

A dziewczęta na me śpiewki
 Zaraz szyją chorągiewki.
 Ale teraz jestem w drodze
 I w górnicke jamy wchodzę
 By Skarbnika sprosić w drogę. —
 A dziad na to: „ja nie mogę,
 Bo tu skarby mam pod kluczem,
 Aż nam polskie czasy wróca,
 Słowa prawdy lud ocuca,
 Aż powstaniem, aż potłuczem.
 Powiedz jemu, niechaj budzi
 Starą prawdą młodych ludzi;
 A do ludu idź sieroto,
 Pokręcając lirę złotą. —
 I spojrział się tak łaskawie,
 Że aż cały w łzach się pławię,
 Gdy mój górnik, straszny cudzie,
 Rozpłynął się w srebrnej rudzie. —

Więcem potem prosił pola.
 „Idę, idę“ rzekła rola,
 I ruszyły z wiatrem w płasy
 Proso, jęczmień długowąsy,
 Lud od sierpu i od cepu,
 Z gór karpackich, z równin, stepu.
 Orle dziejów, na twe gody
 Przyprawiam pannie młodej
 Krakowiaka i Litwina,
 Mazowiecką młodzież mężną,

Całą Polskę tę potężną,
 Która kocha cię jak syna.
 Otwierajcież państwo młodzi,
 Bo za grajkiem Polska wchodzi.

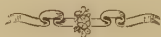
Przyjmijcież nas a z uśmiechem,
 Dzisiaj smutek byłby grzechem.
 Panie młody, panno młoda,
 Niech wam płynie czas jak woda,
 Niech wam miga niedojrzanie:
 Ledwie zmierzcha, już zaranie,
 Już południe, zachód słońca,
 Jedna błogość migająca.
 Myśli czyste jak krynice,
 Ziemia wolna w całej krasie,
 A godziny jak dziewice,
 W przenadobnym złotym pasie
 Lecą w przyszłość, trzęsąc kwiaty
 Na poszycie waszój chaty.

W waszym domku niech u progu
 Stoi jasny Anioł Bogu,
 Co nieczyste myśli zwiewa,
 Wchodzi w serca i w nich śpiewa.
 Na ogródku w sznur na grzędzie
 Niech stokrótek pełno będzie,
 Na topolach gniazda ptasie,
 I paw' złoty niech się pasie.
 Między grzędy wśród drzew cieni
 Niech makówka się czerwieni;

A ile w niej ziarenek maku,
 Tyle szczęście na życia szlaku,
 Snów spokojnych niech wam spływa.
 A gdy przyjdą wasze żniwa,
 Pracy waszej liczcie snopy
 Na dojrzałe złote kopy.

Niech za roczek bocian tobie,
 Coś przyniesie w długim dziobie,
 I położy ci w kolebkę
 Dzieciąteczko złotorybkę,
 Niech błazenek oczki tuli,
 Gdy zaśpiewa matka: luli.

Mnóż się zacne polskie plemię,
 Daj wam Boże posiąść ziemię
 Taką, jaką w sercu macie,
 Jak na kartach ksiąg twych stoi,
 W dalmatykach i we zbroi,
 I w pacholąt białej szacie.
 A mnie przy was kątek mały,
 Gdzieby moje struny brzmiały,
 A nie lasy tańcowały,
 Ale ślicznych dziełek koło,
 Napełniając krzykiem sioło.



Nad Wisłą.



Oj Stachu, miły Stachu!
Oj ciecze woda z dachu,
Oj wiosna da wiosenka,
Niedługo lód popęka!
Oj zima, twarda zima
Oryla¹⁾ w chacie trzyma,
Pod śniegiem trawkę młodą,
A jaskółkę pod wodą.
Oj zima, twarda zima,
W chałupie drzewa nie ma,
Ni chróstu na ognisko,
A słońko jeszcze nisko.

Ptaszek się w wodzie pluska,
Do lasa jedzie zwózka.
Wyciągaj Stachu wiosła,
Bo woda lód podniosła.

Pan Jezus oj łaskawy!
 Niedługo przyjdą spławy;
 A do kalety grosze,
 Co ją na sobie noszę.

.
 Oj dalej, Stachu dalej,
 Pośrodkiem kra się wali.
 Sroga jakby moc bożą,
 Wisła się rznie do morza;
 A my dzieci téj wody
 Na hulanki, przygody,
 Na galary, a śmiało,
 Ażeby aż zagrzmiało!

Hej retmany! retmany!
 Pójdźcie na brzeg wiślany,
 Słoneczko wam przyświeci,
 Kulik przodem poleci,
 I ten bocian daleki,
 Tęskny do naszéj rzeki,
 I ta wronka siodłata
 Co nad sosny podlata,
 I kruki niespokojne
 Co się kupią na wojnę,
 Co się chmurą tak garną
 Że na śniegach aż czarno;
 Poleci i skowronek,
 Żeby ośpiewać dzionek;

I po wodzie, po szklistéj
Wiatr powieje ojczysty.

Oj powieć wietrze wschodni,
Bośmy ojczyzny godni,
Czy godni, czy nie godni;
Powieć wietrzyku wschodni...



MOJA NUTA.

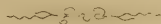
Na polskiej ziemi gad, żmija
Po całym kraju się suwa,
Co nam lilije zatruwa,
Co nam słoneczko wypija,
Co nam zaraża oddechy,
Żądłami w serca ugadza;
Z ust dziewic spędza uśmiechy,
Wesołym myślom przeszkadza,
Tak że już dzieci w pieluchach
Pojone matek rozpaczą,
O ciężkich marzą łańcuchach,
I po kołyskach śpiąc płaczą.
Tak że już każda piosenka,
Z początku poskoczna nuta,
Przy końcu widać że struta
I że kroplami łez brzęka —
I miałżebym ja wesoło,
Płócho do tańca się rzucić?...
Cierpiących opuszczać koło,
Głupią radością ich smucić? —

Och nie! z biednymi ja zawsze
 Włączyć się będę w żałości,
 Dopóki niebo łaskawsze
 Nie da nam wielkiej radości.
 Własne cierpienia zagłuszę,
 Nienawiść z serca wygonię,
 Na złotej lirenki stronie
 Wszystko co grzeszne zaduszę.
 I tylko na świat wywiode
 Z pod mojej lipowej deki:
 Posępne postacie młode,
 Z głosem nadziei dalekiej...
 Takie jak w moich tam stronach,
 Tam w ciemnych Mazowsza borach,
 Po starych widziałem dworach,
 I na zielonych zagonach.
 Niby wesołe a smętne,
 Niby w zwątpieniu a w wierze,
 Niby kryształne a mętne,
 Płasają szczerze nieszczerze.
 Niby się uśmiech wałęsa
 Na ich usteczkach koralu,
 A świadki cichego żalu
 Skroplona wydaje rzęsa.
 I chociaż w dziwnej żałości
 Po krwawej stąpają ziemi,
 Widać że Pan Bóg nad niemi,
 Widać że anioł tam gości. —



Tam daleko.

Tam daleko chata znana,
Za tym morzem, za tym krajem,
Świeżym piaskiem wysypana,
Umajona świeżym majem.
Nasza chata, a w niej Boże,
Zamiast róży dziewczę hoże,
Zamiast słońca twarz matczyna,
Zapatrzona w swego syna.
I przyjaciół wierne gronko,
I cienisty dąb przed sionką,
I bez, co się w okna ciśnie,
I ten krzyż za kołowrotem,
Wszystko jakby naumyślnie,
Żeby człowiek tęsknił po tém.
Tak tu róże kwitną cudnie,
Taka niebios twarz wesoła,
A mnie w duszy wciąż coś woła:
Wschód piękniejszy jak południe.



Doczynek do pieśni:

„HEJ TAM NA GÓRZE“.

Hej tam na górze
Jest wojsko duże;
Sztuk, puk w okieneczko,
Sztuk, puk kochaneczko,
Koniom wody daj.
Koniom wody daj.

Nie mogę ja wstać,
Koniom wody dać,
Bo mi matka zakazała,
Bym z panami nie gadała,
Muszę jój się bać.
Muszę jój się bać.

Matki się nie bój,
Siadaj na koń mój,
Pojedziemy w cudze kraje,
Gdzie są piękne obyczaje,
Malowany dwór.
Malowany dwór“.

Oj państwo moje,
 Bardzo się boję,
 Na dolinie mokra rosa,
 Mokra rosa, a ja bosa,
 To się zamoczę.
 To się zamoczę.

Jak na koń skoczysz,
 Nogi nie zamoczysz;
 Konik stoi, nóżką grzebie
 Czekający już na ciebie,
 Dziewczyno moja,
 Dziewczyno moja.

Śliczny hułanie,
 Jedź se mój panie,
 Ja nie mogę odbiedz domu
 I to jeszcze pokryjomu,
 Zachowaj Boże,
 Zachowaj Boże.

Wejrzyj aby raz
 Na ten ranny czas!
 Niechże cię mój śliczny kwiatku,
 Aby ujrzę na ostatku,
 Mojaś ty cudną,
 Mojaś ty cudna.

Już ci wszystko dam,
 Co przy duszy mam,

Na trzewiczki, na dwie pary,
 Daruję ci dwa talary,
 Jeno spojrzysz raz,
 Jeno spojrzysz raz.

Jak wyjrzę, sobie
 Biedy narobię,
 Może mi się upodoba
 Mój rycerzu, twa osoba,
 To będzie gorzej,
 To będzie gorzej.

Już mię chyba rzuć,
 Albo kiedy wróc,
 Jak się skończy wojowanie,
 Powrócisz tu mój hułanie,
 Do chateńki téj,
 Do chateńki téj.

Długo hułan stał,
 Różne myśli miał,
 Czyby prosić, czyby zmusić,
 Lecz się na złe nie chciał kusić,
 I tak powiedział,
 I tak powiedział:

Mógłcibym cię skraść,
 Na konika wpaść,
 Lecz już myślę, mój klejnocie,
 Że po wojnie wrócę do cię,

Do chateńki téj,
Do chateńki téj.

Brzęknął szabelką
Na żałość wielką,
Już na siodle, już na drodze,
Aż się zrobił żal niebodze,
Z okna wyrzała,
Z okna wyrzała.

Z okna wyrzała,
Rączką żegnała,
Spodładała cały ranek,
Gdzie pojechał jój kochanek,
Szeroką drogą,
Szeroką drogą.



DUCH ZABITEGO.



W kurnej chacie czarnego Petryły
Czy to głównie izbę zadymiły?
Czy się jaka zdarzyła przygoda?
Ciężko, duszno, jakby pod kamieniem.
Woła Petrył: „żonko, moja młoda!
Czy ja ciężkiem okryty odzieniem,
Co mi duszno dziś pod moją świtką?
Czy mię jakie przywaliło didko?
Wyrzój na świat, czy niebo nie czarne,
Co powietrze tak zaduszne, parne.“
Wstała żona, chatę otworzyła:
„Cóż tam widzisz, moja żonko miła?“
„Widzę światło, jak żółta gromnica.“
Petrył w dłonie ukrył obie lica,
Schylił głowę, siedzący na łożu. —
„Żonko moja, a cóż tam na dworzu?“
„Czarne niebo, nad rzeką pogrzmiewa,
Deszcz nie pada, jeno szumią drzewa.

Widzę światło, coraz się przybliża,
 Jak jaskółka lata koło krzyża.“
 Petrył westchnął, otarł z potu czoło,
 Po chałupie spoglądnął w około:
 Przed obrazem Przenajświętszej Dzięwy,
 Dopalała się reszta oliwy;
 I zagasła lampka dopalona,
 Petrył znowu westchnął z głębi łona,
 Schylił głowę, siedzący na łożu:
 „Żonko, żonko, a co tam na dworzu?“
 „Widzę światło, ku chacie pomyka,
 Jeno zamiast żółtego płomyka,
 Owa jasność, w polu latająca,
 Do białego podobna miesiąca,
 Coraz bliżej naszej wsi podchodzi...
 Prawdaż-li to, czyli wzrok mię zwodzi,
 Ale światło, świecące czerwono,
 Jako miesiąc ma twarz przekrojoną
 Od ust białych aż po koniec szczeki;
 Idzie prosto po drodze od rzeki.“
 Petrył jęknął, by najcięższym bolem.
 „Żonko, żonko, a co tam nad polem?“
 „Teraz weszło na nasze zagony.“ —
 Petrył znowu zagada do żony:
 „A co widzisz, moja żono wierna?“
 „Widzę... widzę... Matko miłosierna!
 Już nie miesiąc, jeno trupie lica
 Zabitego na drodze szlachcica.
 O, dla Boga! wszakże to już blisko,
 Uwiązane wyć poczęło psisko.“

I zamknęła chatę wystraszona
Petryłowa młoda, wierna żona.
Czarny Petrył w piersi się uderzył,
Chmurne oczy przed siebie rozszerzył,
I ku ścianie plecyma zacięzał,
I oparł się i patrzył... i stężał.
Młoda żona chatę otworzyła:
Nie ma światła i duszy Petryła...



BYWAŁO.

Hej! koło młyna
Szumi dębina,
Gdzie ta dziewczyna,
Co mię lubiła
Co mnie lubiła?
I szanowała,
Konia poiła
I zadawała?


Na drogę całą
Cóż nam zostało?
Hej! hej, bywało,
Hej! hej, bywało!

Hej! koło młyna
Szumi dębina,

Hanuni nie ma.
Wrony mój koniu,
Kto cię napoi?
Serce ty moje,
Kto cię pocieszy!?



Kochanka, Siostra i Matka.

e świty rumiane,
Morze rozigrane;
Nie igra-to wielkie morze,
Lecz się kąpie słońce boże;
Nie słońce-to na dnie wody,
Jeno tonie wojak młody,
Na kochankę woła:
„Gołąbeczko hoża,
Ratujże mnie z morza!
Woda wyżéj czoła,
Ręce utrudzone...
Ratuj, bo utonę!“
„Nie moja to siła“
Smutna przemówiła;
„Ani czółna, ani wiosła,
Wszystko burza odniosła.“

We świty rumiane,
Morze rozigrane;

Nie igra-to wielkie morze,
 Lecz się kąpie słońce boże:
 Nie słońce-to na dnie wody,
 Jeno tonie wojak młody,
 Na siostrzyczkę woła:
 „Gołąbko serdeczna,
 Siostro moja mleczna!
 Woda wyżej czoła,
 Ręce utrudzone...
 Ratuj, bo utonę!“
 „Nie moja to siła“
 Smutna przemówiła;
 „Ani czółna, ani wiosła,
 Wszystko woda odniosła.“

We świty rumiane
 Morze rozigrane;
 Nie igra-to wielkie morze,
 Lecz się kąpie słońce boże,
 Nie słońce-to na dnie wody,
 Jeno tonie wojak młody;
 Na matkę zawoła:
 „Matko moja miła,
 Coś mnie urodziła,
 Woda wyżej czoła,
 Ręce utrudzone...
 Ratuj, bo utonę!“
 Matka usłyszała
 Swego dziecka głosy,

Szarpnęła, wyrwała
 Swoje siwe włosy;
 Jak pasmo konopi
 Rzuca włosy siwe,
 Niech morze burzliwe
 Dziecka nie zatopi.
 „Chwyć się duszo miła“
 Przemówiła drżąca,
 „Z nimiś się bawiła
 U piersi wisząca,
 W twe dziecinne latka.“
 Kochana dziewczyna,
 I siostra jedyna,
 Lecz najlepsza matka.



MAZUR.

Hej! do tańca dziewczuchy,
Zagraj dudko Jaśkowa, —
Cóż-to grajku, czyś głuchy,
Co tak siedzisz jak sowa?
Ano! żywo do licha!
Cóż to wam się przydało,
Każden siedzi a wzdycha,
Czy złe ludzi spętało?

Bartek z boku spoziera,
Łzy rękawem ociera,
A dziewczuchy, parobcy,
Jak nie swoi, jak obcy.

Gdy tak Maciek ochoczy,
Każdy przetarł swe oczy,
A Jan stary z za stoła:
Grajże grajku! zawoła.

Chwycił Józef za basy,
 Zwawo smykiem potoczył;
 Maciek w taniec wyskoczył.
 Ognia dały obcasy.
 Oj ta dana, oj dana,
 Doloż moja kochana!

Cóżto grajko tak smutnie?
 Wesołego niech utnie,
 Bo mnie na złość kapeli
 Jakoś coraz weselój
 Oj ta dana, oj dana,
 Doloż moja kochana!

Co mam nie być wesoły!
 Spaliły się stodoły,
 Kłopot sobie nie zadam
 Kędy zboże poskładam:
 Bo je grady złożyły,
 Pocięły i zmłóciły.
 Oj ta dana, oj dana,
 Doloż moja kochana!

Co mam nie być wesoły!
 Mój majątek dwa doły,
 A w onych dołach żona
 Z małym dzieckiem złożona.
 Oj ta dana, oj dana,
 Doloż moja kochana!

Grajże dudko wesoła,
 Toć na mnie nikt nie woła,
 Nikt nie czeka stęskniony
 W méj chałupie spalonéj.
 Oj ta dana, oj dana,
 Doloż moja kochana!

Żywa dusza nie żąda,
 Próżno człek się ogląda,
 Więc tańcuję najszczerzej,
 Jutro pójdę w żołnierzy.
 Da w moskiewskich żołnierzy.
 Oj ta dana, oj dana,
 Doloż moja kochana!

Gdy tak tańczy ochotnie,
 Cóżto grajko tak potnie?
 Kropla w kroplę przez oczy
 Z twarzy grajka się toczy.

Czy się zmachał od grania?
 Skrzypki rzucił, podeptał,
 Otarł lice sukmanem
 I coś mruczał i szeptał,
 A dziewczki się spłakały —
 Że skrzypki grać przestały.

Bądźcie zdrowi wy starzy,
 Niechaj Pan Bóg wam darzy,

A gdy skrzypków nie stało
By się w karczmie hulało,
Śpiewam sobie: oj dana,
Doloż moja kochana!



KOŁODZIÉJ.

„**H**ej Macieju! kołodzieju!
Zróbcieno mi koła:
Bo dziewczę, dobrodzieju,
Wiozę do kościoła.
Jeno tam nie bardzo drogo,
Bo dziewczę ubogą.“

„Wiem ci ja, żeś niebogaty,
Ona niebogata.
Żebyście nie mieli straty,
Zapłacisz dukata.“

„Oj Macieju, kołodzieju,
Zwiodłem cię nieboże.
Toć ja ojca rodzonego
Na cmentarz wywożę.
A wyście go majstrze znali,
Boście się kumali.“

„Oj chłopaku, nieboraku,
 Wielka bieda tobie.
 To już koła ci biedaku
 Za talarka zrobię:
 Jeno co drzewo kosztuje,
 Pracy nie rachuję.“

„Kołodzieju! człeku złoty!
 Weź się do roboty,
 A dostaniesz trzy dukaty,
 Bo wiozę armaty:
 Widzisz, Francuz tam zdaleka
 Na te koła czeka.“

„Dosyć chłopcze téj swawoli!
 Nie masz u mnie wiary.“
 Rozgniewał się, lecz powoli
 Drzwi uchylił stary.
 I przed chatą ujrzał swoją,
 Że Francuzi stoją.

„A toć prawda, a niechżeci
 Matka Boska świeci;
 Nie chcę ja tam brać zapłaty!“
 I na chłopców woła:
 „Bierzcie drzewo na warsztaty,
 Robić mocne koła;
 Jeno żywo, nie niedbale,
 Bo zemkną Moskale.“

„A ty chłopcze idź wesoło
Do swoich żołnierzy,
I powiedz im, że za koło
Nic się nie należy.
Powiedz im, że już zaczęto
I że rychło będą mieli;
I dam jeszcze na mszę świętą,
By Moskali djabli wzięli!“...



Nasza dziewczyna.

Nasza dziewczyna
Kieby malina,
Usta różane
Z lilją mieszane,
Włosy złociste,
Oczy ogniste,
W tańcu sarenka;
Nasza panienka
Szczera w ochocie,
Pilna w robocie;
Czy zagon piele,
Czy zbiera ziele,
Czy z kołowrota
Złotą nić mota,
Zawdy ma w głowie
Tyle piosneczek,
Ile kwiateczek
Kwitnie w dąbrowie;

W Zielone świątki
 Lipowe prątki,
 Wierzby gałązki
 Nazbiera w wiązki,
 Chatę umai
 W zieloność gai,
 W okienku chaty
 Ustawia kwiaty;
 Tatarakami
 Uściele sionkę,
 Przed obrazami
 Wiesza koronkę,
 I białe chusty
 Na siebie wdzieje,
 Wdzięcznemi usty
 Wszystkim się śmieje;
 U niej ze dzbana
 Woda źródłana,
 I chleb ubogiem
 I cień przed progiem:
 Jak ludzie prości
 Mile ugości;
 Gdy w sianokosy
 Słyszysz piosneczki,
 To pewnie głosy
 Naszej dziewczeczki.
 Fura się toczy
 I skrzypią koła,
 A przy niej kroczy
 Dziewka wesoła.

Nasza dziewczyna
Gdyby malina;
Tego wybierze
Miła osoba,
Który się szczerze
Onój spodoba;
Najbardziej dziewczę
W serduszko wnika,
Kto w rogatywce
Dosiadł konika,
I umie gracko
Wywijać chwacko,
Szabelką machać,
Nic się nie strachać,
W boju bojować,
W chacie całować.



S E N.


S byłem jakby we śnie pogrążony,
I jak na jawie, nie tykając ziemi,
Kiedy ujrzałem jakby dym czerwony
Bijący z ziemi porami wszystkimi,
Jak gdyby wszystka ludzka krew szła w górę,
Wołając: Boże nasz, bądź pochwalony! —
I zobaczyłem krzyż schodzący w chmurę,
A na nim Chrystus, którego twarz boża
Była cierpiąca, a piękna jak zorza.

Pierwszy raz w życiu widziałem więc Pana,
Z tą wszechmiłością, o jakiej świat nie wie,
Rozwieszonego na krzyżowém drzewie;
A krwią płynęła prawej ręki rana,
Za którą miesiąc zachodził tak z boku
Czerwony jako gasnące zarzewie,
Kiedy poniżej we krwawym półmroku

Anioł wyrzucał węgle z kadzielnicy,
W przestrzeń zaćmioną dla ziemskiej żrenicy...
To ja widziałem we śnie — jakom żywy,
Pod tarczą stojąc ze stali błyskotnej,
Pod jaką rzymscy chronili się męże,
I usłyszałem głos wskroś przenikliwy
Chociaż w przestrzeni téj byłem samotny:
Zaiste wielu z braci twój poleże!..
Zaiste wielu! — grzmiał jak trąba grzmiąca
Na mnie pod tarczą jasną jak ze słońca.
I raz mnie zimném przejmowała trwoga,
To palił żarem złoty puklerz Boga,
Z którego biegły w dalekie obszary,
Światła: Nadziei, Miłości i Wiary.



DO BRACI RODU SŁOWIAŃSKIEGO.

łowiany! Słowiany, hej bracia rodzeni,
Jak kwiecie rozsiani po świata przestrzeni,
Na jednéj dolinie białemi gromady
Zastawionéj zbożem jak stół do biesiady.
Święta ziemia nasza chwalebna przez wieki
Od Dnieprowéj wody do Dunaju rzeki.

Dunaju! Dunaju, ty słowiańska wodo,
Dobrze tobie z Wisłą krakowianką młodą,
Dniepru burzliwemu z tą błękitną Dźwiną;
Po szerokich polach nasze wody płyną;
Tylko ludzkie serca zgodzić się nie mogą,
Jedne idą jedną, drugie drugą drogą.
Żyje pamięć święta w pieśni zapomnianej
Że my kiedyś byli jednakie Słowiany,
To po co nam swary i Moskiewskie cary:
Zbieżećby się dziatkom przy macierzy staréj.

Te nasze rozterki, co nas z dawien dziełą,
Polacy zaleli łez i krwi topielą,

A po krwawém morzu czarne płyną dziwa,
 Złych to carów plemię po tych falach pływa.
 Wiosłują, wiosłują przez naszych łez tonie,
 Poznajcież złośników po carskiej koronie,
 Po berłach żelaznych, po dłoniach skrwawionych,
 Po naszej krwi lepkiej, po naszych łzach słonych.

Nie ptaki to jezior Ładogi, Onegi;
 Iwany, Nikoły, wychodzą na brzegi,
 I syny Nikołów; biadaż temu biada,
 Kto w bratniej rozterce miecza nie odkłada.
 Gdzie spojrzeć, siepacze podnoszą miecz krwawy
 Nad ziemią Lechicką, nad córą tą Sławy.

Moskale, Moskale, jaka u nich wiara:
 O wolności prawią, a chowają cara.
 Za łudzące słówka, za miód od pasieki,
 Czyliż się poddamy biesowi na wieki.

Oj! czujny to żóraw ta słowiańska lira,
 Z carami, z biesami nie zawiąże mira.
 Z tą lirą złocistą o świcie, o zorzy,
 Pomiedzy słowiański wędruję lud boży.
 To może mnie serce radością zabije,
 Kiedy ja się wody z Dunaju napiję,
 Z zielonego wiadra od białego Skadra,
 Z bielonego dzbana, gdzie modra Bojana.
 Może moje smutki zatopię we Dnieprze,
 Może moje struny nastroję na lepsze,

Może ja obmyję polską serca ranę
Kiedy nad Wełtową starosławną stanę.

I poszedłem drogą daleką, daleką,
Pytałem się Wisły, czem jój wody cieką?..
Aż Wisła kochanka w rokicianym wieńcu
Śpiewa o Krakusie, o swoim młodzieńcu.
Spojrzałem w Wełtowę, aż ta wzrokiem szuka
O strumiennój brodzie ojca Światopłuka.
Gopło mi szeptało o ziemicy chleba,
Wielkopolskie Gopło, srebrzysta koleba.
Po burzliwej nocy pływałem pod wieżę,
Pod czerwoną wieżę, co popiołów strzeże.
Badałem się wieży, kędy sława leży?
Badałem się kości o stare miłości,
I burzy o grzmoty, i orłów o loty,
Badałem się grobów o ojcowskie cnoty.

I na moje serce, na pieśniarską strunę
Leciały wspomnienia jak ptaki na łunę,
I krzyczały w sercu i krzyczały w głowie,
I rwali mi duszę panowie ojcowie.

Lirniku! lirniku! zbieraj nogi sporo,
Cała tobie ziemia słowiańska komorą.
Żywie sława, żywie w Krakowie i w Pradze,
Podziwuj się dziecko ojcowej powadze.
I w Rusi dalekiej, białej a czerwonej,
Na wysoką nutę torban nastrojony,

I mogiły gwarzą, wiatr ponasza słowa,
 Wiatr ponasza słowa po ciszy stepowej,
 I wszystko się zlewa w dumie zapomnianej,
 I stare Łycary wstają nad burzany,
 Szemrzą w trawie szumnej z swój zielonej trumny,
 Szemrzą starą dumę o téj Rusi dumnej.
 A za niemi śpiewa zapieniona fala
 Nie o tym Moskalu co jój wody kala,
 O wiecowym dzwonie, o chrześcielnój wodzie,
 O złotym Kijowie, wielkim Nowogrodzie.
 I straszne powieści Dniepr niesie po skałach,
 O carze okrutnym, o krwawych opałach;
 I wszystko się stacza i huczy i leje.
 Na wzgórkach błyskają złociste Andrzeje,
 I Ławra swe bramy rozciąga w przestworze,
 I dzwony coś wtórzają po ojcu Nestorze,
 I lica Łycarskie z pod mogił się suną,
 Aż zwisną wiankami nad serdeczną struną.

I tak mi śpiewają, że słuchać nie zdążę.
 A kto nas jak struny na lutnię nawiąże?
 Aż ojciec Dniepr siwy, co szumnymi wały
 Rozrzuca po świecie jako mężmi chwały:
 — Hej! kto nas nawiąże? Ten, co ziemię Sławy
 Powiązał wstęgami Dniepru i Mołdawy,
 Górą odgrodził od dalekich światów,
 Grzbietami Kerkonosz, śnieżystych Karpatów.
 I ta myśl szczęśliwa, co z nieba przybywa,
 Jak wietrzyk chwalony w upalone żniwa.

I wdzięcznie po świecie gęśł stara zagędzie,
 I świat się podziwi słowiańskiej kołędzie.
 Na gęśli pięćstrunnój przeczyście zanuci
 Złota polska struna, co się krwawo smuci.
 Zawtórzą jěj Czechy, starosławne Czechy,
 Jak białemu słońcu ptaszkowie z pod strzechy.
 Ruś na trzeciój strunie o sławie zadzwoni,
 Od krzyku orlego, od tabunnych koni.
 A Serbia rycerska, a święta Morawa
 Dźwięcznym struny basem zaśpiewają: sława!
 I po naszej gęśli brzękną struny boże,
 A gdzie Bóg zagrywa, tam car nie pomoże.

I obszedłem Czechy i te Serby całe
 I wszędy słyszałem swobody pochwałę.
 Jeden krzyk serdeczny zgoda! zgoda! zgoda!
 Każda wydawała i góra i woda.
 Tak żem i uwierzył, że mi w uszach dzwoni
 Zapomniana nuta z starych czasów toni.
 I ludzie się snuli jacyś dobrzy, czuli,
 W kierpcach podkarpackich, w mazurskiej koszuli,
 I gospodarz stary, dziaduch opasany,
 I jakieś poważne siwobrode stany.
 Głowę mi zdurzyły te miodowe chmiele,
 Jakbym ja zaciągnął na Słowian wesele.

Ślubowali Bogu na braterstwo wieczne,
 A chaty a chramy słuchały bezpieczne.
 I dzwony dzwoniły po świata przestworze,
 I orły z wieściami latały za morze.

I z każdej mnie fali, z każdego tam wału
 One morskie dziwy wstawały pomału.
 Otrząsały głowy wodniki w podziwie,
 Zadzierzały konie o srebrzystej grzywie,
 I po Czarnem morzu roznosili wieści
 O swobodnej pieśni, o słowiańskiej cześci.
 I carów nie było, ni grzesznych dusz pychy,
 Pogodą, swobodą pokraśniał świat cichy;
 Od morza do morza, od brzegu do brzegu
 Obcego nie było, ni cara, ni szpiega.
 Bo co nam po carskiej, biesowskiej wielmoży,
 Nie z piekła przywłoki, my stary lud boży.
 Do serc nam nie trafi brzęk złudny a chytry,
 Z Krakowa po Kijów, od Skadry do Nitry
 Bóg tylko na niebie i człowiek przy pracy.

Hej! bracia Czechowie, Serbowie, Rusacy,
 Hej bracia Morawcy i bracia od Bosni,
 I kiedyż my k'sobie poskoczym radośni,
 I kiedyż to nasze zgromadzi się wieco?
 Wciąż wieki się wałą i wody wciąż lecą,
 I zbrodnie się carskie wciąż mnożą a mnożą,
 I cary nas łudzą ojczyzną niebożą,
 Ojczyzną bezsławną, spodloną, bezczelną.
 Odziewać nas radzi odzieżą śmiertelną,
 Niewoli i hańby ściągają k'nam czarę.
 Swoboda, swoboda, hej! Czechy wy stare,
 Hej! Serby rycerskie, car podły nas łudzi:
 Swoboda czy Moskwa, dziś próba na ludzi.

Swoboda! swoboda! niewola niech zginie,
Gdy cary przepadną, Słowiaństwo zasłynie:
Nie Niemce, nie Czudy,
My słowiańskie ludy.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

PRZYPISY.

1) Roman Zmorski, autor pieśni o „Wieży siedmiu wodzów“.

2) *Węże zielone* nie są jadowite, takimi je wszakże chce mieć pieśń gminna, której się autor trzymał, a która brzmi następnie:

Idź do sadu wiśniowego
Ujmij węża zielonego,
Ugotuj go w słodkim miedzie,
I daj bratu jak przyjedzie,
I brat pije z konia leci.

3) Haleny—płaszcze.

4) Niemcy do boju wiązali szeregi rycerzy idących ścianą jednym łańcuchem żelaznym; czytaj opisy bitw Cymbrów w wojnie z Maryuszem.

SPIS PRZEDMIOTÓW

w tomie II zawartych.

	Stron.
Wezwanie	1
Wanda. Historya o smoku	5
Dziewosłab	21
Wiece	39
Niemcy	63
Wanda	81
Spotkanie	109
Mogiła Krakusa	131
Dumka wygnańca	141
Matko moja! matko!	143
Jaskółka	145
Za Aniołem	147
Kołysanka	149
Orzeł Polski	159
Nowy nastrój	163
Kurpie	167
Koń przyjaciel	171
Kosynierka	175
Pożegnanie	179
Marcin Borelowski Lelewel	183
Niech żyje Polska!	205

	Stron.
Złota Hramota	209
Bończa	229
Wojciech pocziwy	233
Rozmowa ze słowikiem	239
Dzwony	241
Z wygnania	243
Zagrodowa	247
Hanka Zabuzanka	251
Targ na konie	255
Siostra szpitalna	265
Grabarz	269
Rawicz	273
Zrozpaczona	277
Żóraw	281
Krakowiak	293
Do Karola Szajnochy	197
Nad Wisłą	305
Moja nuta	309
Tam daleko	311
Doczynek do pieśni „Hej tam na górze“	313
Duch zabitego	317
Bywało	321
Kochanka, Siostra i Matka	323
Muzur	327
Kołodziej	331
Nasza dziewczyna	334
Sen	339
Do Braci rodu Słowiańskiego	341



